

irene



CAO

SŁYSZE
cię

irene

CAO

SŁYSZĘ
cię

Z włoskiego przełożyli
Marta Natalia Wróblewska, Wojciech Wąsowicz



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
IO TI SENTO

Copyright © 2013 RCS Libri S.p.A., Milano
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wy-
dawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by
Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Dariusz Sikora
Zdjęcie autorki: © Giuli Barbieri

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7999-164-8

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

Skład i łamanie:
Wydawnictwo Sonia Draga

Katowice 2015. Wydanie I

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

[12](#)

[13](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Tej autorki:

Widzę Cię
Słyszę Cię
Pragnę Cię

Moim przyjaciółkom

1.

Muska moje czoło delikatnym pocałunkiem, a palcami sunie powoli po łuku mojego biodra i błądzi pod koszulą. Jego koszulą. Otwieram oczy i napotykam jasnozielone oczy, które od razu rozpromieniają mój poranek. Dotykam dłonią jego twarzy, gładkiej jak u dziecka. Na początku myślałam, że wstaje w nocy i goli się po kryjomu, potem się przekonałam, że taką ma skórę: jego broda jest tak miękka i niewidoczna, że nawet zaraz po przebudzeniu wydaje się ogolony.

Leżymy na boku, naprzeciwko siebie, dotykając się stopami. Nasze ciała mają ten sam zapach. Kochaliśmy się wczoraj wieczorem. Za każdym razem jest coraz piękniej, odkrywamy smak przyjemności, której nie sposób się oprzeć. Teraz jego dłoń dotyka mnie mocniej i powoli mną potrząsa.

– Bibi, obudź się... – jego głos jest jak delikatny szmer.

Zamykam oczy, żeby uszczknąć dodatkowe kilka minut snu, i pod drżącymi powiekami wyobrażam sobie ten dzień, i każdy następny, z nim.

Z Filippem.

– Tak, jedną chwilkę... – mruczę, przewracając się na drugi bok.

Całuje mnie jeszcze w kark, wstaje i przymyka drzwi do pokoju, dając mi czas, bym sama strząsnęła z siebie resztki snu. Jestem wciąż zaspana, ale podejmuję ten ogromny wysiłek i opieram się plecami o wezglowie łóżka. Wpadające przez okno promienie słońca pieścą moją twarz. Jest piękny majowy poranek, godzina ósma, zrobiło się już ciepło, a światło na zewnątrz niemal oślepia.

To nowy dzień mojego nowego życia.

Po moim przyjeździe do Rzymu i wizycie na budowie trzy miesiące temu stało się coś, o czym nie śmiałam nawet marzyć: Filippo nie tylko mi wybaczył, ale wysłuchał mnie, zrozumiał i sprawił,

że znów poczułam się kochana. W jego ramionach nie miałam wątpliwości, że wróciłam do domu, że po chwilowym zbłądzeniu odnalazłam siebie. Wystarczyło jedno spojrzenie prosto w oczy i już wiedzieliśmy, że wciąż chcemy być razem. I w ten sposób zostawiłam Wenecję, by przenieść się tu, do jego rzymskiego mieszkania, które teraz stało się naszym mieszkaniem. To nastrojowe, pełne światła poddasze z widokiem na sztuczne jeziorko dzielnicy EUR. On je urządził. W naszym gniazdku podoba mi się wszystko. W każdym kącie widać coś naszego, coś z naszego sposobu myślenia, z naszych pasji: zaprojektowana przez Filippa biblioteczka z syntetycznej żywicy, lampy z papieru ryżowego, który pomalowałam w japońskie ideogramy, plakaty z naszych kultowych filmów. Lubię nasze okna bez zasłon, a nawet klaustrofobiczną windę, w której zawsze się boję, że utknę. Ale najbardziej mi się podoba, że to nasz pierwszy wspólny dom.

Wstępuję do łazienki, pospiesznie poprawiam rozczochrane włosy, odgarniając je z oczu i spinając na karku. Bob z minionej weneckiej jesieni jest już tylko wspomnieniem, teraz moje nieposłuszne czarne kędziory opadają miękko aż za ramiona, choć nadal uparcie staram się je okiełznać za pomocą spleatanych naprędce warkoczy i innych absurdalnych fryzur.

Wkładam spodnie od dresu i szurając kapiami, dołączam do Filippa w kuchni.

– Dzień dobry, suśle – wita mnie, nalewając sobie szklanekę soku pomarańczowego.

Jest już gotowy do wyjścia, wyperfumowany, ubrany w beżowe bawełniane spodnie, niebieską koszulę i krawat w geometryczny wzór. Krawat to znak, że dziś idzie do pracowni, a nie na budowę – już się tego nauczyłam. Strasznie mu zazdroszczę jego porannej skuteczności: w porównaniu z nim przypominam snującego się po domu żółwia.

– Dzień dobry – odpowiadam. Przecieram oczy i ziewam tak potężnie, że grozi mi

zwichnięcie szczęki. Siadam na stołku, opierając się łokciami o betonową wyspę kuchenną. Sen wciąż wydaje mi się nieodpartą pokusą. Podnoszę wzrok w stronę kuchenki, gdzie w garnuszku gotuje się już woda na moją herbatę. Filippo rozpieszcza mnie tak od pierwszego poranka, którego obudziliśmy się wspólnie. To drobny gest, ale mówi o nim wszystko.

Wyłącza kuchenkę, zanim woda się wygotuje.

– Wsypiesz narkotyki sama? – pyta.

Uśmiecham się. Filippo utrzymuje, że jestem uzależniona od zielonej herbaty i ziół. I może ma rację: piję je litrami i uwielbiam kupować wciąż nowe odmiany. Podchodzę do półki i biorę jeden z wielu pojemniczków pełnych suszonych liści. Dziś mam chęć na mieszankę ajurwedyjską: zieloną herbatę o aromacie róży i wanilii. Podejmuję próbę:

– Chcesz?

Filippo kręci głową, popijając swoją kawę.

– Spróbuj, jest naprawdę dobra! – podsuwam mu puszkę pod nos.

– Pewnie... zostałaś też dilerką? – pyta, ostrożnie zbliżając nos. – Pachnie zdechłym kotem – wyrokuje, krzywiąc się.

Kręcę głową – w tej bitwie jestem skazana na klęskę – i siadam z powrotem na stołku z parującym kubkiem, uważając, by nie poparzyć sobie rąk. Z tego miejsca przyglądam się Filipowi: zgrabny i umięśniony, blond włosy, lekko przygładzone żelem. Podoba mi się coraz bardziej, lubię dzielić z nim codzienne rytuały, znajomy wszechświat naszych małych zwyczajów. Może każda miłość powinna być taka. Im więcej mija czasu, tym bardziej nabieram przekonania, że my dwoje możemy być razem przez całe życie i nie popadniemy w rutynę, która dopada tyle par.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – pyta, marszcząc brwi.

– Patrzę na ciebie, bo jesteś przystojny – odpowiadam, popijając powoli herbatę.

– Co za lizuska! – podchodzi, by uszczyplnąć mnie w boki i pocałować w szyję.

Potem siada na stołku obok mojego, włącza iPad i bierze się za przeglądanie dzienników, na które ma abonament. Jego zwyczajowy poranny przegląd prasy.

– Nie wiem, jak możesz czytać na tym czymś – rzucam zde gustowana.

– To dużo wygodniejsze od gazety, nie zajmuje tyle miejsca i jest bardziej ekologiczne – dotyka palcami ekranu, jakby grał na fortepianie.

– Ja wolę papier – oświadczam z przekonaniem.

– Bo lubisz starocie – Filippo jednym łykiem dopija swoją kawę i na jego ustach pojawia się uśmiech zadowolenia. – W końcu jesteś restauratorką...

– Nie odpowiadam na zaczepki – odcinam się, demonstrując swoją wyższość.

Między nami trwa wciąż ożywiona dyskusja: który z naszych zawodów jest ważniejszy

i bardziej potrzebny – ja konserwuję przeszłość, a on projektuje przyszłość. To dwa przeciwległe bieguny i nasza debata najprawdopodobniej nigdy nie zostanie rozstrzygnięta.

– Co robimy wieczorem? – pytam, maczając w herbacie ciasteczko ryżowe.

– Nie wiem, kochanie... Nie wiem nawet, o której skończę w pracowni – odpowiada roztargniony, nie odrywając nawet oczu od tabletu.

– Ech, ci architekci wizjonerzy, którzy projektują przyszłość, a nie potrafią wybiec myślami do siódmej wieczorem... – komentuję szeptem, nadgryzając ciasteczko i starając się ukryć sarkastyczny uśmiezek.

Nie odpowiadam na zaczepki, ale jeśli trafi się okazja, nie rezygnuję z małych uszczypliwości.

Filippo podnosi w końcu wzrok znad ekranu. Punkt dla mnie.

Targam go za włosy, wiedząc, że to doprowadzi go do ostateczności. I rzeczywiście –

przechyla się w moją stronę, chwytając mnie za ramię i unieruchamia mi je za plecami:

– Dobrze, Bibi, sama tego chciałaś.

Drugą ręką łaskocze mnie po żebrach i u podstawy szyi, a ja zaczynam się śmiać i ciskać jak węgorz. Nie wytrzymuję: natychmiast proszę o litość. Nagle Filippo puszcza mnie i spogląda na zegarek.

– Cholera, strasznie już późno! – w mgnieniu oka wyłącza iPad i odkłada go do futerału, jakby to była jakaś relikwia.

– Lecę się przebrać – mówię, uświadomiwszy sobie, że jestem wciąż w piżamie. – Jeśli poczekaś, wyjdziemy razem.

– Nie mogę, Bibi – wzdycha, rozkładając ręce. – Za pół godziny muszę być w pracowni. Mam spotkanie z klientem. Wyznaczył taką wczesną porę, niech go diabli...

– OK – kiwam głową, starając się wzbudzić jego litość smutną, zrezygnowaną minką, którą robię, kiedy chcę go rozczulić. – Więc idź... a ja

będę musiała radzić sobie sama... – mówię płaczącym głosem.

– Cóż, może już się nauczyłaś, jak działa metro – kpi.

No właśnie, być może Filippo ma rację, brak mi harcerskiego zmysłu orientacji – prawdę mówiąc, zdradzam wyraźną skłonność do gubienia się i wsiadania do niewłaściwych środków transportu – ale przejście od kompaktowej Wenecji do chaotycznego Rzymu jest chyba okolicznością łagodzącą, prawda?

– Głupek! – krzywię się i przyciągam go do siebie. – Miłego dnia – szepczę, zbliżając do jego ust swoje.

– Do zobaczenia wieczorem, Bibi. – Jego pocałunek pozostawia mi w ustach przepyszny smak kawy zmieszanej z pastą do zębów.

Dzień zaczął się dobrze, a teraz ruszam w kierunku stacji metra zdecydowanym krokiem, jakbym miała wyzwać na pojedynek groźnego przeciwnika.

Ale dam radę, wiem to, choć słońce, teraz już wysoko na niebie, mówi mi jasno, żebym zwolniła i cieszyła się spacerem. EUR to nowoczesna dzielnica. Żywa zieleń skwerów przeplata się z asfaltem chodników i betonem budynków, dając, wbrew chaotycznemu ruchowi ulicznemu, poczucie racjonalnego spokoju. Dla mnie, przyzwyczajonej do zupełnie innego pejzażu miejskiego – pustych placyków, tramwajów wodnych, które przyjeżdżają, kiedy chcą, mostów, przez które przelewają się tłumy turystów – wszystko jest nowe i nadal w drodze z domu do pracy cały czas rozglądam się dookoła. Schodzę do metra i bez wahania zagłębiając się w tunel prowadzący w kierunku Rebibbii. Boję się zawsze, że coś mi się pomyli: tu pod ziemią wszystko jest takie poplątane. Nieraz już zdarzyło mi się zgubić, ale największą pomyłką był telefon o pomoc do Filippa: po tym jedynym, rozpaczliwym SOS pozostanę przedmiotem jego żartów już (chyba) do końca życia.

Czekając na metro, siadam na jednej ze stojących na peronie metalowych ławek. Obserwuję ludzi wokół siebie i staram się odgadnąć, dokąd jadą i gdzie pracują. To gra, w którą grałyśmy z Gaią jako małe dziewczynki, wracając *vaporetto* ze szkoły. Ciekawe, co ona w tej chwili kombinuje. Wyobrażam sobie, jak mknie po ulicach Wenecji w sukience i butach od Jimmiego Choo z obcasem dwunastką, towarzysząc kolejnej japońskiej milionerce w wyczerpującej sesji porannego shoppingu. Mimo że często się kontaktujemy, bardzo mi jej brakuje: jej szczerego uśmiechu, soczystych określeń, gwałtownych uścisków, nawet jej tyranii w kwestii mody i stylu. Jej przyjaźń to chyba jedyny związany z Wenecją aspekt, za którym naprawdę tęsknię. Od całej reszty – nie licząc oczywiście rodziców – chcę się jak najszybciej uwolnić. Gdy myślę, że dokładnie za pięć dni skończę trzydzieści lat, nie chce mi się w to wierzyć. Zdmuchnę swoje trzydzieści świeczek w Rzymie i na myśl o tym wpadam w euforię.

A wcześniej nigdy nie lubiłam urodzin. Doszłam do kluczowego momentu w swoim życiu, czuję to. Wypłynięcie poza bezpieczne brzegi trzeciej dekady życia to dla kobiety zawsze pewna trauma, ale ja jestem pewna, że dokonałam ostatecznego wejścia w dorosłe życie, i to na najlepszych fundamentach: w nowym mieście, z nową miłością i nowym życiem. Jeśli istnieje szczęście, nie może być daleko stąd.

W końcu przyjeżdża moje metro. Jest godzina szczytu, ale zostało jeszcze kilka wolnych miejsc siedzących. Wchodzę niemal na siłę, przepychając się przez tłum, i jakimś cudem wciskam się między kobietę przy kości a pryszczatego nastolatka. Przede mną odwrócony plecami stoi chłopak w cienkiej koszuli. Swoją masą zasłania mnie całą tak, że nie widzę nawet wyświetlacza pokazującego przystanki. Do Koloseum będzie ich przynajmniej dziesięć. Cóż, policzę je na palcach, z nadzieją, że się nie pomylę.

Nagle zdaję sobie sprawę, że nie mogę oderwać oczu od pleców chłopaka. Tak jakby urzekło mnie coś znajomego: ta koszula, te ramiona, te ciemne włosy. Gdyby nie był tak młody, to mógłby być Leonardo. Myśl o nim jak błyskawica przelatuje mi przez głowę i czuję, jakbym osuwała się w mrok. Wszystko wokół staje się matowe. W moim umyśle materializują się wspomnienia wspólnie spędzonych chwil, migawki w czerni i bieli, które opadają mnie jak natrętne owady. Odganiem je szybko, potrząsając głową.

– Prehistoria – mruczę.

Nie ma już sensu zadawać sobie pytania, gdzie jest Leonardo i czy nasz związek mógł się skończyć inaczej. Nie ma też co wpadać w tęsknotę za emocjami, które we mnie budził: motylami w brzuchu przed spotkaniem, fascynacją dokonywanymi odkryciami i podnieceniem, jakie wywoływały nasze potajemne spotkania. To już skończone, stracone na zawsze.

Może nie jestem jeszcze gotowa spojrzeć za siebie i zobaczyć całej tej historii z absolutnym dystansem. Ale przynajmniej kiedy teraz zdarza mi się o nim myśleć, nie wpadam w kolejny kryzys i bezwład, z kłuciem w sercu i ściśniętym żołądkiem, jak bywało jeszcze trzy miesiące temu. Stanęłam na nogi i zaczęłam od początku, trochę tak, jakbym dochodziła do zdrowia po wyjątkowo paskudnej grypie. Nauczyłam się radzić sobie z tymi emocjami, rozmontowywać je kawałek po kawałku. Z czasem ból zaczął ustępować, tak jak dzieje się zawsze – nawet jeśli zaraz po doznanym urazie pokonanie go wydaje się niemożliwe – i w końcu potrafię dojrzeć, kim naprawdę jest Leonardo: miłością starej Eleny, pomyłką, która już się nie powtórzy. Ale widzę też siebie jako kobietę mądrzejszą i pewniejszą siebie. Stojącą u boku lepszego mężczyzny. U boku Filipa.

Wysiadam na stacji Koloseum i wychodzę na via dei Fori Imperiali, gdzie zatrzymuje się autobus,

którym jeżdżę do pracy. Przyglądam się Rzymowi, który przepływa przed moimi oczami: każdego dnia jego wspaniałe, zaniedbane piękno zadziwia mnie i oczarowuje. Warstwy sztuki i historii wyrosły chaotycznie jedna na drugiej – to miasto przypomina damę, która postanowiła założyć naraz wszystkie ubrania ze swojej garderoby, mieszając epoki i style, niezdecydowana, czy chce się okryć, czy odsłonić.

Autobus, turkoczając kołami po bruku, powoli wjeżdża na rondo przy piazza Venezia, gdzie samochody kręcą się dniem i nocą w niekończącym się walcu. Wsiadam na largo Argentina i z głównej arterii, corso Vittorio Emmanuele, zagłębiam się w jedną z odchodzących od niej wąskich uliczek. Centrum Rzymu to labirynt pokręconych zaułków, które oszałamiają i sprawiają, że traci się orientację, lecz w końcu zawsze wypływają człowieka na wspaniały, przestronny plac i pozostawiają w stanie radosnego urzeczenia. Nauczyłam się już, że nie należy się ich bać. Nawet jeśli wciąż będę

się gubić i błędzić różnymi szlakami, wiem, że w końcu z którejś strony pojawi się dodający otuchy zarys Panteonu lub wydłużony kształt piazza Navona, potwierdzający, że jestem na właściwej drodze.

I oto docieram do celu mojej podróży, na piazza San Luigi dei Francesi, z ledwie dziesięciominutowym spóźnieniem. Wyjaśniono mi, że w Rzymie przychodzenie piętnaście minut po czasie jest normą, jeśli nie wręcz obowiązkiem: w mieście o tak zawiłym planie i niemrawym ruchu ulicznym nikt nie oczekuje punktualności, a rygorystyczne przestrzeganie umówionej godziny może być nawet uważane za małostkowość i oznakę złego wychowania.

Mijam grupkę duchownych, pośród których rozpoznaję ojca Sèrge'a, jednego z księży sprawujących posługę w San Luigi.

– *Bonjour, mademoiselle Elenà* – wita mnie śnieżnobiałym uśmiechem, odcinającym się od jego ciemnej skóry.

San Luigi to kościół wspólnoty francuskiej w Rzymie, a proboszcz jest Francuzem senegalskiego pochodzenia. Odpowiadam mu skinieniem głowy i szybkim krokiem kieruję się do wejścia. Gdyby nie wyrazisty krzyż na dachu, fasada z kolumnami korynckimi i kamiennymi posągami umieszczonymi w eleganckich niszach przywodziłaby na myśl raczej neoklasycystyczny pałac niż miejsce kultu.

Popycham drewniane drzwi i ze światła dziennego przechodzę w panujący wewnątrz półmrok. Każdego ranka myślę sobie, że to niesamowity przywilej móc wejść do tej świątyni sztuki. Są tu przechowywane trzy najsłynniejsze obrazy Caravaggia: *Męczeństwo św. Mateusza*, *Św. Mateusz i anioł* oraz *Powołanie św. Mateusza*. Studiowałam je godzinami w podręcznikach, ale nie widziałam ich na żywo, dopóki nie przyjechałam tu do pracy,

i teraz wydaje mi się nieprawdopodobne, że przechodzę przed nimi codziennie, zdążając do znajdującej się tuż obok kaplicy, której restauracją się teraz zajmuję. Z tego powodu, mimo wilgoci, kurzu i szkodliwych dla mojej superwrażliwej skóry rozpuszczalników, woskowanego kombinezonu, który tworzy wokół mojego ciała prawdziwy efekt cieplarniany, chwiejnych rusztowań, ojca Sèrge'a, który co godzinę przychodzi skontrolować postęp prac, a także bez przerwy kręcących się tu ludzi, jestem naprawdę szczęśliwa, że mogę tu pracować.

Dostałam to zlecenie z polecenia pani Borraccini, która jako dyrektorka weneckiego Instytutu Restauracji Zabytków ma wielu wpływowych znajomych w świecie kultury. Po tym, jak zadzwoniłam do niej z pytaniem, czy ma zamiary na jakąś pracę w Rzymie, za pomocą kilku telefonów zdołała znaleźć mi to prestiżowe zlecenie, nie wstając nawet zza biurka w swoim weneckim gabinecie.

– Mam to, czego szukasz – oznajmiła przekonującym, pewnym głosem po niecałej godzinie od mojego telefonu. – Tylko mnie nie zawieźdź, moja droga. Będiesz pracowała z Paolą Ceccarelli. Kiedyś była moją uczennicą, a teraz jest jedną z najlepszych restauratorek w Rzymie. Z reguły woli pracować sama, ale jeśli nie dasz się przepłoszyć, a przede wszystkim wpędzić w depresję jej okropnemu charakterowi, wiele się od niej nauczysz. – Zakończenie wzbudziło mój niepokój.

W ten sposób dzięki wstawiennictwu najgroźniejszej profesorki w Wenecji znalazłam się tutaj: balansuję na niestabilnym rusztowaniu z gąbkami, pędzelkami i gumą szlifierską w ręku i zajmuję się *Pokłonem Trzech Króli* Giovanniego Baglione, rzymskiego malarza żyjącego między końcem piętnastego a pierwszą połową szesnastego wieku. Choć ostatecznie został on jednym z najważniejszych biografów Caravaggia, swego czasu był też jego największym wrogiem

i wytoczył mu nawet proces. Jak zwykle, nieprzewidywalny temperament lombardzkiego artysty podgrzał nastroje: Caravaggio napisał tomik wierszy satyrycznych, w których ośmieszał Baglione i oskarżał go o plagiat. Ten pozwał go o zniesławienie, co kosztowało Merisiego¹ miesiąc więzienia. W tym kościele kilka wieków później dwaj nieprzejednani wrogowie znajdują się jeden obok drugiego, oddzieleni od siebie jedynie ścianą. I jeśli tamten świat rzeczywiście istnieje, Caravaggio musi teraz triumfować, sądząc po liczbie gości, którzy przychodzą codziennie podziwiać jego kaplicę, a dzieło biednego Baglione obrzucają jedynie przelotnym spojrzeniem.

– Zaczynamy czy stoimy tak do wieczora i kontemplujemy?

Głos Ceccarelli, najlepszej restauratorki i – jak szybko odkryłam – najgorszego charakteru w Rzymie, wyrywa mnie z rozmarzenia. Mówi jak zwykle zniecierpliwionym tonem, z wyraźnym rzymskim akcentem. Od kiedy ją poznałam, nie

jestem pewna, czy Borraccini rzeczywiście chciała oddać mi przysługę, czy też wystawić moje nerwy na ciężką próbę.

Odwracam się gwałtownie i czuję, jak przyszpila mnie swoimi surowymi oczami, częściowo zakrytymi przez dziwaczne okulary w jasnozielonych oprawkach. Paola ma czterdzieści lat, jest wysoka, a jej ruchy są swobodne, lecz odrobinę nieskoordynowane. Ma blond włosy z jaśniejszymi refleksami, prawie zawsze związane w koński ogon lub upięte, co upodabnia ją do rzymskiej matrony. Choć sztywna i drażliwa, w swojej dziedzinie naprawdę jest mistrzem. Zna tajemnice kolorów jak mało kto, potrafi wyczuć głębię duszy fresku i każdemu detalowi przywrócić cały jego splendor. Niestety, doskonale zdaje sobie sprawę ze swojego talentu i natychmiast przywołuje mnie do porządku, kiedy tylko zauważy, że pomyliłam coś w mieszance kolorów lub gdy zacynam się przy jakimś szczególe. Mówi mało, ale kiedy już to robi, jest cięta i bezpośrednia i za

każdym razem udaje jej się obudzić we mnie coś na kształt pełnej szacunku obawy. Intuicja podpowiada mi jednak, że tak naprawdę Paola może się diametralnie różnić od wizerunku, który wykreowała.

– Elena, co ty, do diabła, robisz? – jej głos za moimi plecami jest jak fala uderzeniowa. Zabierałam się właśnie za pokrycie kolorem płaszcza Maryi. Odwracam się natychmiast z uniesionym pędzelkiem w dłoni i napotykam jej brązowe oczy, które rzucają gromy zza szkieł okularów, podczas gdy wokół jej subtelnych ust zarysowują się dwie głębokie zmarszczki niezadowolenia. – Zrób najpierw próbę. Nie jestem przekonana, czy ten kolor jest identyczny. – Wskazuje podbródkiem mój pojemniczek z niebieskim barwnikiem.

– W porządku... – odpowiadam pojednawczo, mimo że zrobiłam już tysiąc prób.

Maluję delikatną kreskę na szacie Maryi.

– Nie wydaje mi się, żeby bardzo się różnił...
– zauważam. W rzeczywistości kolor idealnie pokrywa się z oryginalnym.

Paola podchodzi bliżej, żeby przeprowadzić kontrolę. Spogląda najpierw na próbkę, potem na mnie i dopiero po chwili, która wydaje mi się wiecznością, jej twarz przybiera zwykły wyraz – wkurzony nie tylko na mnie, ale generalnie na cały świat.

– Pamiętaj, żeby zapisać w notatniku dokładne proporcje barwników – przypomina, wracając do *Zwiastowania* Charlesa Mellina, swojego fresku znajdującego się na innej ścianie kaplicy.

– OK, potem się tym zajmę.

Mam ochotę powiedzieć, że nie trzeba mi tego za każdym razem powtarzać i że znam je na pamięć, ale siedzę cicho.

To, co Paola nazywa notatnikiem i przechowuje z nabożną czcią, to duży nieliniowany zeszyt w twardej kartonowej okładce. Codziennie rano przed rozpoczęciem pracy zapisuje na początku

strony datę i tuż pod spodem notuje – lub zmusza do tego mnie – ilość każdego z barwników użytych do przygotowania mieszanki. Wydawało mi się, że to ja jestem najlepszym przykładem chorobliwej dokładności i perfekcjonizmu, ale od kiedy spotkałam Paolę, zmieniałam zdanie. Istnieją przypadki o wiele gorsze. Na początku jej posunięta do granic skrupulatność przerażała mnie, potem się do niej dostosowałam, a w końcu – z rozwiniętym w pełni syndromem sztokholmskim – nauczyłam się ją doceniać.

Poza pracą nie było okazji do pogłębienia znajomości z Paolą. Próbowалам się z nią zaprzyjaźnić, zapraszałam na coś do picia albo na przechadzkę po centrum podczas przerwy, ale ona za każdym razem odmawiała. Wydaje mi się, że zależy jej na zachowaniu dystansu i ograniczeniu naszych stosunków do chłodnych relacji zawodowych. A jednak – i naprawdę nie potrafię podać przyczyny, rzeczywistość sugeruje bowiem coś dokładnie przeciwnego – jestem przekonana, że za

tą żelazną maską kryje się wrażliwa dusza. Wyczuwam to po sposobie, w jaki trzyma pędzel, i gracji, z jaką przeciąga nim po fresku – pieści kontury i cienie z lekkością piórka.

Pracujemy przez cały ranek odwrócone do siebie plecami, każda skupiona na swoim fresku. Jedyne docierające do nas hałas to kroki ludzi chodzących wzdłuż nawy i brzęk monet wrzucanych do automatu, który zapala światło nad dziełami Caravaggia. Robię przerwę, żeby dać oczom chwilę odpoczynku i wkropić do nich nawilżający płyn, a także by sprawdzić komórkę. Jest na niej wiadomość od Filippa.

Po uważnych i dogłębnych analizach, wizjoner i projektant przyszłości opracował plan na wieczór: aperitif na mieście i kino. W Farnese puszczają Tarantina. Zobaczymy się u mnie?

Pracownia Filippa znajduje się na via Giulia, parę kroków stąd. Często po pracy chodzę po niego, idziemy na aperitif na Campo de' Fiori, a potem do kina na pierwszy seans, dzięki czemu zdążamy jeszcze wrócić do domu metrem. Teraz, kiedy wieczory są ciepłe, żadne z nas nie ma ochoty zamykać się w domu, a więc propozycja mi się podoba, jak zwykle.

OK. Do zobaczenia później. Buziak.

Odkładam telefon i rzucam się znów w wir pracy.

– Mogliby wymyślić jakiś program w stylu Photoshopa także dla nas – myślę na głos, rozprawiając nieco bieli na szacie Maryi. – Byłoby ekstra, nie?

Na twarzy Paoli pojawia się uśmiech.

– E, chyba nie... Tęskniłabym za pracą manualną.

Potem zbliża się do miejsca, którym się zajmuję, badając je z uwagą centymetr po centymetrze.

– Radzę ci wyczyścić dobrze plamki osadu. – Odzianą w rękawiczkę dłonią wskazuje punkt na ścianie. – W przeciwnym wypadku, kiedy położysz kolor, będzie problem.

– Oczywiście.

Doskonale wiem, co powinnam zrobić, ale ona nie przepuści żadnej okazji, żeby mi o tym przypomnieć. Potem zdejmuje rękawiczki i zaczyna układać przybory.

– Już idziesz? – pytam, wybałuszając oczy. Paola zawsze opuszcza posterunek po mnie.

– Tak. Nie pamiętasz? – potrząsa głową, uwalniając włosy od spinki. – Dziś po południu mnie nie ma.

– No tak, prawda.

Pewnie... kilka dni temu powiedziała mi, że jest umówiona. Nie mam najmniejszego pojęcia,

o co może chodzić, i pilnowałam się, żeby nie wypytywać.

– A więc do zobaczenia jutro.

– Do jutra – żegna mnie skinieniem ręki i wychodzi w swoich trampkach.

Po południu nie udaje mi się wiele osiągnąć, trochę dlatego, że rozprasza mnie ojciec Sèrge odprawiający dla licznej grupy wiernych strasznie długą mszę po francusku, a trochę z powodu spadku koncentracji i zmęczenia oczu, które z coraz większym trudem skupiają się na detalach. I tak, czekając na wybicie szóstej trzydzieści, aby móc iść do Filippa, przyglądam się w zamyśleniu ludziom, wypełniam skrupulatnie notatnik, przygotowuję barwniki, których użyję jutro, i układam wszystkie przybory z większym niż potrzeba spokojem.

Od czasu do czasu mój wzrok natrafia na spojrzenie chłopaka, który od kilku dni przychodzi do kościoła i godzinami wpatruje się w obrazy

Caravaggia, nie zważając na przechodzących przed nim turystów.

Zauważyłam, że ma dziwny szkicownik z okładką w żywym niebieskim kolorze i robi w nim notatki i szkice ołówkiem. Potem wyrywa kartki i wkłada je do tekturowej teczki z gumką. Daję mu góra dwadzieścia lat, ale może jest nawet jeszcze młodszy. Dziś ma na sobie džinsy rurki wpuszczone w kraciaste tenisówki all star i czarną koszulkę bez napisów. Na nadgarstku nosi dwie sznurkowe bransoletki, a w jego lewej brwi błyszczą kolczyki. Nie jest bardzo wysoki, za to szczupłutki; ma klasyczną posturę genialnego i trochę neurotycznego studenta – mięśnie ramion są ledwie zarysowane, skóra blada, sylwetka lekko przechylona do przodu.

Właśnie się do mnie uśmiechnął. Nieśmiały, prawie niezauważalny uśmiech to odpowiednik powitania. Znaczący: „Możemy się już przywitać... Jesteśmy znajomymi, w końcu spotykamy się w tym samym miejscu piąty dzień z rzędu”.

Podobają mi się jego duże, ciemne oczy – błyszczą i są pełne życia – a także brwi, bardzo gęste, podobnie jak brązowa, lekko falująca czupryna. Duże, pełne usta dodają jego twarzy czegoś egzotycznego.

Może nie jest studentem, tylko początkującym malarzem. Wielu młodych przychodzi tutaj podziwiać te arcydzieła, on jednak jest inny: studiuje obrazy ze szczególnym zacięciem, zapisuje gorączkowo strony notesu albo godzinami czyta podręczniki, podkreślając, jakby chciał wyryć sobie w głowie każdą linijkę tekstu.

Jest szósta piętnaście i chłopak zbiera się do wyjścia. Ja robię to samo – na dziś dałam z siebie wystarczająco dużo, zresztą zostawanie dłużej nie miałoby sensu... jestem wykończona. Ściągam kombinezon, poprawiam włosy i ruszam wzdłuż nawy. Podeszwy moich skórzanych sandałów wydają na marmurowej posadzce odgłos, który rozbrzmiewa w całym kościele, i reflektuję się, że muszę stąpać ciszej.

W chwili, kiedy przechodzę obok niego, zauważam, że z teczki wypadła mu jedna z zapisanych kartek. Podnoszę ją i przyspieszam, żeby chłopak mi nie uciekł, a wreszcie dotykam dwoma palcami jego pleców. Odwraca się zaskoczony.

– Przepraszam, ale coś ci wypadło – mówię, podając mu kartkę.

– Dziękuję. Nie zauważyłem.

Czerwieni się. Wydaje się trochę onieśmielony. Drapie się po głowie, potem bierze kartkę, składa ją na pół i wsuwa za gumkę teczki.

– Zauważyłam, że przychodzisz tu od kilku dni – kontynuuję, kiedy wychodzimy z kościoła. – Studiujesz?

– Tak. Na pierwszym roku Akademii Sztuk Pięknych.

Jest spięty, wyczuwam to po tym, że bez przerwy się rozgląda.

– Robię studium cyklu o świętym Mateuszu – uściśla, odchrząknąwszy.

– Tak myślałam – uśmiecham się do niego przyjaźnie. Instynktownie jestem do niego dobrze nastawiona.

– A ty jesteś restauratorką. – Przygląda mi się z podziwem, co sprawia mi przyjemność. Potem podaje mi dłoń i grzecznie dodaje: – Jestem Martino.

– Elena. – Ściskam jego ciepłą dłoń.

– A ten akcent? Skąd jesteś?

– Z Wenecji.

– No tak... Pewnie przeniosłaś się tu z powodu pracy?

– Nie tylko – uśmiecham się. – Także z powodu mojego chłopaka.

– Aha – kiwa głową. Wydaje się lekko zawiedziony.

Przez chwilę panuje cisza, jakby każde z nas zastanawiało się, co powiedzieć, a wreszcie ja się odzywam:

– A więc pewnie będziemy się często widywać w najbliższych dniach.

– Tak, też mi się tak wydaje. – Jego oczy błyszczą.

– Uciekam, idę w tę stronę – mówię, wskazując swój kierunek.

– A ja w tę – odpowiada pospiesznie, jak gdyby nagle się ocknął.

– A więc do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Robi dwa kroki w tył i odchodzi ze wzrokiem wbitym w ziemię. Idzie lekko kołyszącym się krokiem, typowym dla kogoś, kto nosi all stary. Patrzą na niego przez chwilę i widzę, że odwraca się raz jeszcze, jakby chciał się upewnić, że sobie poszłam. Uśmiecham się, on uśmiecha się do mnie, ale idąc z odwróconą głową, wpada zaraz na jakiegoś przechodnia. Przeprasza, zmieszany, i rusza dalej, z zakłopotaniem spuszczać wzrok.

Ta jego słodka niezdarność budzi moją sympatię – nieśmiali ludzie rozumieją się od razu. Do zobaczenia, Martino. Wydaje mi się, że od dziś mam nowego przyjaciela.

2.

Dziś Martino przyszedł wcześniej, z małą skórzaną saszetką przyczepioną do paska dżinsów. Co dwie minuty wyciąga z niej monetę, po chwili rozlega się suchy brzęk metalu upadającego na metal, a potem pstryknięcie zapalającej się lampki i święty Mateusz, jak w magicznym przedstawieniu, wyłania się z ciemności.

Martino wpatruje się, studiuje, rozkłada każdy detal na części pierwsze, potem z trudem toruje sobie drogę wśród turystów, przysiada na schodkach i zaczyna pisać na swoich luźnych kartkach. Minęło już pięć dni, odkąd oficjalnie się sobie przedstawiliśmy i jego obecność stała się czymś znajomym, przyjemnym i dającym wytchnienie od ciągłej presji ze strony Paoli.

Od czasu do czasu zagląda do naszej kaplicy; zdarza się, że rozmawiamy wtedy o technikach

restauracji i teorii koloru, podczas gdy moja współpracowniczka milczy, zajęta swoimi sprawami. Czasem natomiast Martino przygląda mi się uważnie, jakbym i ja stanowiła dzieło do oglądania. Nie przeszkadza mi to, bo ma inteligentne i ciekawe oczy kogoś, kto pragnie jedynie zrozumieć wszystkie tajemnice sztuki. Jest inny od swoich rówieśników, którzy włączają się po via del Corso albo śmigają po mieście na swoich tuningowanych skuterach, nie zważając na nikogo. Martino dziwacznie się ubiera, jest nieśmiały, ale bardzo dobrze ułożony.

– Widzę, że dziś jesteś przygotowany – mówię, wskazując podbródkiem na jego saszetkę.

Uśmiecha się.

– Nie wiem, dlaczego to światło musi świecić się tak krótko...

– Zapytaj ojca Sèrge'a – komentuję ze śmiechem, który natychmiast wprawia w irytację Paolę. Ignoruję jej pomruki i zaczynam mieszać czerwone barwniki na szatę Maryi.

– Chcę taką lampę jak wasza – Martino wskazuje palcem reflektor halogenowy, który oświetla kaplicę i sprawia, że przypomina ona plan zdjęciowy.

– Jestem pewna, że ojciec Sèrge nie byłby zadowolony.

Kiedy to mówię, w myślach pojawia mi się migawka: zadowolony uśmiech księdza, który przed zamknięciem kościoła opróżnia skarbonkę. Podejrzewam, że płótna Caravaggia i aparatura oświetleniowa odpowiadają za znaczną część dochodów kościoła San Luigi dei Francesi.

– No tak, ale to rozbój w biały dzień! – protestuje Martino, parskając. – To studium kosztuje mnie fortunę... – dodaje, potrząsając prawie pustą już szaszetką. – Mam przynajmniej nadzieję, że na coś się przyda. Bonfante, mój profesor, nigdy nie jest zadowolony z tego, co piszę!

– Ja też miałam taką profesorkę, którą nie sposób było zadowolić – dodaje z miną kogoś, kto

już przez to przeszedł. – Gabriella Borraccini. Miała opinię strasznej kosa...

Nagle Paola odwraca się w moją stronę.

– Co tam? – pytam w obawie, że nasze pogaduszki mogą jej przeszkadzać.

– Nic... Możesz mi podać czerwony barwnik? – pyta z niespotykaną uprzejmością.

Podaję jej pigment. Dziwne, wydała mi się wręcz zmieszana, ale nie mam czasu tego przeanalizować, bo natychmiast z powrotem odwraca się do ściany. Kontynuuję rozmowę z Martinem.

– Koniec historii jest taki: całymi miesiącami systematycznie ignorowała każde moje pytanie, a ja godzinami przesiadywałam w kolejce do jej gabinetu w czasie dyżuru. Wreszcie przedstawiłam jej pracę o Giorgione, nad którą ślęczałam nocami, spędziłam niezliczone popołudnia na szkicowaniu w Galerii Akademii i żmudnych poszukiwaniach w najodleglejszych bibliotekach Wenecji. Tego dnia pani profesor zaczęła uważać mnie za uczennicę na miarę jej oczekiwań.

– Miejmy nadzieję, że w moim przypadku też tak będzie! Bonfante to twarda sztuka... – Martino kiwa głową. Potem przygląda się z zainteresowaniem, jak mieszam barwniki z wodą.

– Do czego używasz tej karafki? – pyta.

– Jest w niej filtr, który zatrzymuje nieczystości – podnoszę zatyczkę i pokazuję mu. – Kamień jest zabójczy dla kolorów. Nauczyłam się tej sztuczki w Wenecji.

– Można trochę ciszej? – burczy Paola, nagle rozdrażniona.

– Racja, przepraszam – próbuje ją udobruchać Martino.

Wzruszam ramionami i mrugam porozumiewawczo, dając mu do zrozumienia: „Daj spokój, ona taka już jest”.

Paola nie przestaje narzekać:

– Robicie więcej hałasu niż gęsi kapitolinijskie.

Kiedy jest zdenerwowana, zaczyna mówić jak rodowita Rzymianka.

– Może już pora na przerwę – ryzykuję, w końcu jest już po jedenastej, a Paola jeszcze ani na moment nie oderwała się od pracy. – Idziemy na kawę? – pytam, spoglądając porozumiewawczo na Martina.

– Idź ze swoim kolegą – odpowiada Paola niewzruszona. – Ja muszę tu skończyć – dodaje poirytowanym głosem, nie odrywając wzroku od fresku.

– Dobrze, to ja idę. Wracam niedługo.

Ściągam kombinezon, biorę torebkę ze schowka za ołtarzem i razem z Martinem na paluszkach wychodzimy z kościoła.

– *Mamma mia*, ale jędza z tej twojej koleżanki...

Kiedy jesteśmy na zewnątrz, Martino dmuchnięciem przesuwając kosmyk włosów, który spadł mu na oczy, po czym spogląda na mnie, czekając na instrukcje.

– Chodźmy do Sant’Eustachio – proponuję.

To bar znajdujący się parę kroków od kościoła San Luigi, na placu o tej samej nazwie. Jak głosi wieść, podają tam najlepszą kawę w Rzymie.

Słońce stoi już wysoko, a czyste niebo wydaje się wręcz namalowane. O tej porze roku pogoda w stolicy jest idealna – ciepło, ale nie za bardzo, z delikatną bryzą, która od czasu do czasu dociera tu z nad morza.

Idziemy via della Dogana Vecchia, lecz kiedy dochodzimy do placu, nagle czuję, że brakuje mi oddechu. Przez chwilę mam wrażenie, że wyczuwam w powietrzu znajomy zapach, TEN zapach – ambra zmieszana z drugą, bardziej wyrazistą i przenikliwą wonią. Leonardo. W jednej chwili się zatrzymuję, a moje serce bije jak oszalałe, jednak pośród otaczających ludzi nie ma nikogo choćby trochę podobnego. Potem jakaś wysoka modelka, ubrana w czarne, niewiele pozostawiające wyobraźni legginsy, przechodzi koło mnie, zacierając wszelkie ślady swoim własnym, bezczelnym zapachem.

– Co się stało? Wszystko w porządku? – pełen przejęcia głos Martina przywraca mnie gwałtownie do rzeczywistości.

Niemal zapomniałam, że jest tu ze mną.

– Tak, tak... Czemu pytasz?

Staram się sprawiać wrażenie, że nic się nie stało. Ale chyba mi nie wychodzi, bo nawet taki młody chłopak jak on zauważył, że coś nie gra.

– Pobladłaś.

– Nie, coś ty... Wydawało mi się po prostu, że zobaczyłam znajomego, ale się pomyliłam.

Uśmiecham się nieznacznie, próbując ukryć swoje poruszenie.

– Może to Paola nas śledzi – żartuje Martino.

Śmieję się razem z nim, usiłując oderwać wszystkie zmysły i cząstki mojego ciała od wspomnienia o Leonardzie.

Docieramy do baru, zajmujemy pierwszy wolny stolik na zewnątrz i składamy zamówienie u kelnera, mężczyzny o siwych włosach i rumianych policzkach, wyglądającego, jakby się urodził,

by wykonywać ten właśnie zawód. Zamawiam kawę zbożową, a Martino – *chinotto*.

– Wiosną Rzym jest piękny – wzdycham, rozglądając się wokoło.

– Pewnie, ale domyślam się, że Wenecja też – zauważa Martino. – Wiesz, że byłem tam tylko raz, na wycieczce szkolnej w liceum? I oczywiście pamiętam tylko wielkie picie i wymiotowanie w hotelu...

– Koniecznie musisz pojechać jeszcze raz, jest tam tyle dzieł sztuki, że nie wiedziałbyś, co wybrać... – zakładam nogę na nogę, poprawiając się na krześle z kutego żelaza. – A jeśli się tam wybierasz i potrzebujesz jakichś wskazówek, pytaj śmiało. Wiesz, znam to miasto dość dobrze...

– Może mogłabyś być moją przewodniczką – rzuca nieśmiało, a jego spojrzenie zjeżdża na mój dekolt. I natychmiast ucieka gdzie indziej... Jest w końcu nieśmiały i muszę przyznać, że jego niewinność mnie ujmuje.

Uśmiecham się, bardziej rozczulona niż zakłopotana.

– Może... – odpowiadam niezobowiązująco i poprawiam koszulkę pozornie tylko przypadkowym gestem.

Tymczasem przychodzi kelner i z gracją stawia tacę na naszym stoliku.

– Oto państwa zamówienia – mówi głębokim barytonem i obsłużwszy nas, zastyga przed nami w oczekiwaniu na zapłatę.

Martino zaczyna pospiesznie grzebać w saszetce, ale szybko go powstrzymuję.

– Daj spokój. Ja zapłacę – podaję kelnerowi banknot dziesięcioeurowy. – Dziś są moje urodziny... – dodaję szeptem.

– Naprawdę? – pyta zdziwiony. – Czemu nie powiedziałaś wcześniej?

Po odejściu kelnera Martino wstaje i składa mi życzenia, całując nieśmiało w oba policzki.

– Wiem, że kobiet nie pyta się o wiek, ale...

– Okrągła trzydziestka – odpowiadam, zanim zdąży skończyć zdanie.

Przyznaję, że jego zaskoczone spojrzenie mi schlebia.

– Kurczę, nie wyglądasz!

– Dziękuję.

Kobiecie po trzydziestce zawsze miło to słyszeć.

– Szesnasty maja... Jesteś Bykiem.

– Zgadza się. A ty? – podpytuję.

– Waga. Trzeciego października skończę dwadzieścia.

On też nie wygląda na swój wiek, ale zachowuję tę myśl dla siebie, wyobrażam sobie, że nie sprawiłoby mu to równej przyjemności. Wypijam ostatni łyk kawy i rozgrzebuję łyżeczką resztki cukru trzcinowego, które zostały na dnie filiżanki. Nie mogę się powstrzymać – myślę znów o zapachu sprzed chwili. Wrócił do mnie nagle, tak jakby moja pamięć była nim przesiąknięta.

– I znowu – Martino obserwuje mnie, jakbym była zagadkowym obiektem badań.

– Co? – pytam zaskoczona.

– Od czasu do czasu na twojej twarzy pojawia się taki dziwny wyraz. Widzę to, wiesz? Nagle stajesz się nieobecna, jakbyś goniła jakieś odległe, nieosiągalne pragnienie. Zdarzyło ci się to też przed chwilą, kiedy stanęłaś na ulicy. – Przygląda mi się, mrużąc oczy, które zmieniają się w dwie szparki. – Wydajesz się smutna, Eleno. Można by pomyśleć, że męczy cię jakiś skrywany ból.

Jego słowa mnie poruszają. Bo są prawdziwe. Uświadamiam sobie teraz, że w moim sercu wciąż jest otwarta rana: Leonardo. Choć niechętnie to przyznaję, nie zagoiła się dotąd i prawdopodobnie nigdy nie zblizni się całkowicie.

– Tego jeszcze nikt mi nigdy nie powiedział – zauważam, maskując zakłopotanie uśmiechem.

– To komplement – odpowiada Martino, również się uśmiechając. – Ta dziwna melancholia sprawia, że jesteś jeszcze piękniejsza... –

Czerwieni się, jakby zawstydziły go słowa, które mu się wymknęły.

– Cóż, dziękuję. Ten komplement to mój pierwszy dzisiejszy prezent! – Śmiechem rozładowuję atmosferę i wstaję. – Późno już. Lepiej wracajmy, bo Paola się wkurzy...

– Tak, chodźmy – Martino nie oponuje i zbiera w pośpiechu swoje rzeczy.

Jak na jeden dzień odważył się aż na zbyt wiele.

Kiedy późnym popołudniem wracam do domu, zastaję Filipa, który czeka już na mnie, wyciągnięty na kanapie, z zamkniętymi oczami i głową na poduszce z czarno-białym nadrukiem przedstawiającym Manhattan. Zdjął marynarkę oraz krawat i rzucił je na fotel. Rozpiął też koszulę pod szyją. Wygląda, jakby spał, i dopiero po chwili zauważam, że rusza bosą stopą i podśpiewuje cicho *Via con me* Paola Conte, jedną z naszych

ulubionych piosenek. Istotnie, w uszach ma słuchawki, których z początku nie zauważyłam.

Przyglądam mu się przez prawie minutę. Miękkie światło pada na jego delikatną twarz, a obserwowanie go w niewyjaśniony sposób wprawia mnie w pogodny nastrój. Może naprawdę jestem szczęśliwa, po raz pierwszy w życiu. Szczęśliwa, że należę do niego, do tego miejsca, zadowolona z tego wszystkiego, co mnie otacza. Gdy tylko zbliżam się do kanapy, Filippo natychmiast otwiera oczy. Przeciąga się, uśmiecha i mówi:

– Wszystkiego najlepszego, Bibi.

– Dziękuję, Fil! Mimo że złożyłeś mi już życzenia rano... – odpowiadam szeptem, odkładając torbę na dywan w groszki.

Filippo wzdycha i rozkłada ramiona.

– Chodź tu, przytul się do mnie!

Przyciąga mnie do siebie, a ja osuwam się na jego ciepłe ciało. Pieści moje usta czułym

pocałunkiem, a potem wyciąga spod poduszki białą kopertę z rysunkiem stokrotki.

– To dla ciebie – szepcze, uśmiechając się szeroko i prezentując swoje perfekcyjne uzębienie.

Otwieram kopertę i znajduję w środku kupon na weekend w Toskanii.

– Wow, Fil, dzięki! A więc jedziemy? – wykrzykuję, przytulając go energicznie. To dopiero niespodzianka... Całuję go namiętnie, ciesząc się na wspólny wieczór, który spędzimy, wcinając jakieś świństwa i kochając się.

Jednak to nie koniec urodzinowych prezentów. Filippo zorganizował na moją cześć kolację z przyjaciółmi w jednej z najlepszych rzymskich restauracji.

– Trzydziestka to trzydziestka – stwierdza z emfazą. – I powinna być obchodzona jak należy... To najskromniejsza rzecz, jaką mogę zaproponować!

– Uważaj... Nie za bardzo mnie rozpieszczasz?

Szczerze mówiąc, wolałabym spędzić ten wieczór we dwoje, ale to też jest wspaniały pomysł i nie mam najmniejszego zamiaru psuć jego planów. Obejmuję dłońmi jego twarz i zasypuję ją całusami.

– Jestem taka szczęśliwa... Bo ty jesteś ze mną.

– Ja też, Bibi – dotyka palcami moich włosów. – I jeśli mam być szczerzy, cieszę się też, że nie jesteś już wegetarianką. Wcześniej trudno było wybrać odpowiednią restaurację...

Uśmiecham się na myśl o wszystkich dziwactwach, które Filippo musiał znosić w czasie obiadów i kolacji przez wszystkie lata naszej przyjaźni. A wiem, że w tej kwestii byłam nieustępliwa i drobiazgowa jak mało kto... na szczęście zmieniłam poglądy.

– Jesteś jedyną znaną mi osobą, która zmienia zdanie w podobnej sprawie tak ni stąd, ni zowąd – ciągnie, gdy podnosimy się z kanapy. – Nigdy nie pojąłem, co ci się stało, tak nagle.

– Ja też nie – udaje mi się wykręcić żartem, ale w środku czuję, jak do mojego umysłu wkrada się myśl o Leonardzie, jak zawsze natrętna i wszechogarniająca. Gdybym go nie spotkała, może wciąż byłabym wegetarianką. Gdybym go nie spotkała, byłabym nadal starą Eleną, a mój świat byłby wciąż czarno-biały, bez smaku, bez konsystencji, bez zapachu.

Przed wyjściem znajduję chwilę, żeby porozmawiać z Gaią na Skypie. Żartujemy trochę na temat mojego wieku – ona skończy trzydziestkę za pół roku, czuje się więc upoważniona do odgrywania roli młódki. Potem każę sobie opowiedzieć ostatnie wieści o jej związku z kolarzem, Belottim. Słuchanie jej barwnych, pikantnych relacji daje mi zawsze trochę zdrowej radości. Poza tym nas dwie łączy więź – jestem szczęśliwa, kiedy ona jest szczęśliwa. Nie chcę, żeby robiła głupstwa dla kogoś, kto jak dotąd nie do końca mnie przekonuje i kto być może wcale na nią nie zasługuje.

– Więc widzieliście się czy nie? – pytam, umierając z ciekawości.

– Tak, raz – odpowiada, zawijając blond kosmyk wokół palca.

Zauważam jej czerwony lakier, ulubiony Belottiego, o czym stale mi przypomina.

– A gdzie, jeśli mogę wiedzieć?

– Pojechałam do jego apartamentu w Monte Carlo, niedługo przed rozpoczęciem Giro. Kochaliśmy się przez całą noc. I następny dzień.

W jej zielonych oczach błyszczy czysta radość.

– Ele, było fantastycznie.

Pewne miny Gai wystarczają za całą opowieść. Najwyraźniej Samuel Belotti, poza tym że przystojny, jest także fenomenalny w łóżku.

– I co teraz?

– Teraz jest niedostępny – wzdycha. – Myślisz, że mogę się z nim spotykać podczas Giro d'Italia? Zakazał mi do siebie przyjeżdżać. Mówi, że mogłabym mieć zgubny wpływ na jego kondycję.

– Bez sensu...

– Może i tak, ale ma usprawiedliwienie: to zarządzenie menedżera zespołu! W tej sytuacji zapominam o nim do połowy czerwca – wzrusza ramionami. – Ale wiesz, od tamtej nocy kontaktujemy się dużo częściej niż przedtem.

– To jakiś plus.

Może Belotti ma poważne zamiary, ale nie dałabym za to głowy.

– A o Brandolinim nie myślisz już wcale? Możesz nie odpowiadać, jeśli nie chcesz.

– Czasami. Spotkałam go nawet na Rialto parę dni temu – masuje sobie czoło, jakby myśl o tym była dla niej trudna. – Ale nie ma już powrotu. Gdybym z nim została, byłabym hipokrytką.

Potakuję ze zrozumieniem.

– A jak się układa z Filippem? – pyta, jakby chciała zmienić temat.

– Dobrze – kiwam głową, uśmiechając się. – Tak dobrze, że aż nie chce mi się wierzyć.

Muszę wyglądać promieniejąco, bo teraz ona też się uśmiecha.

– Ja zawsze powtarzałam, że jesteście dla siebie stworzeni. Widzę, że jesteś szczęśliwa, Ele. Zasługujesz na to, naprawdę.

Gaia jest jedyną osobą, która wie o Leonardzie i była przy mnie bardzo blisko po naszym rozstaniu. Wiem, że naprawdę odczuwa ulgę, widząc, że udało mi się wydostać z tunelu bólu i niepewności, w którym się pogrążyłam.

– A kiedy do nas przyjedziesz?

– Niedługo, obiecuję.

– Czekaam na ciebie. Tylko mnie nie zwódź...

Spoglądałam na zegarek w rogu ekranu i orientuję się, że jest już ósma trzydzieści. Późno, muszę się pośpieszyć.

– Będę musiała cię teraz zostawić. Filippo zorganizował na moją cześć kolację z przyjaciółmi.

– A po kolacji? Będziecie świętować dalej we dwójkę? – pyta swawolnym tonem.

– Nie wiem... ale mam nadzieję, że tak. – Puszczam do niej oko. – A teraz, jeśli pozwolisz,

pójdę jak najlepiej opakować to stare i zmęczone trzydziestoletnie ciało.

– Bawcie się dobrze. I zróbcie wszystko to, co zrobiłabym ja... Do zobaczenia wkrótce.

– Buziak, Gaia.

– Cześć, Ele. Buzi!

Po zakończeniu rozmowy idę przygotować się na wieczór. Wybieram czarną sukienkę na cienkich ramiączkach, jedwabne bolerko i jasnoniebieskie sandały, których obcasy podnoszą mój wzrost do metra siedemdziesiąt pięć. Rozpylam trochę Chloé na wierzchu dłoni, Gaia nauczyła mnie tej sztuczki w liceum. „Ponieważ mówiąc, bez przerwy gestykulujesz, dzięki temu rozsiewasz zapach swoich perfum w powietrzu”. Wciąż mam w głowie te jej słowa wypowiedziane na szkolnym korytarzu.

Następnie wpadam do łazienki umyć zęby – jestem jak zawsze spóźniona – i przystępuję do wykonania makijażu, zgodnie z instrukcjami Gai:

starannie rozprowadzam na ustach szminkę w kolorze brzoskwiowej róży, a potem kilkakrotnie przyciskam do nich papierową chusteczkę i wieńczę dzieło bezbarwnym błyszczkiem. Dodaję intensywności spojrzeniu, nakładając cień do powiek (czy aby nie przesadzam?), po czym przyprószam różem policzki, czoło i podbródek. Jeszcze trochę korektora i jestem gotowa. Mam nadzieję, że nie wyglądam jak kłown... ale gdy tylko odnajduję w lustrze swoje spojrzenie, uśmiecham się i stwierdzam, że jestem całkiem niezła. W czcigodnym wieku lat trzydziestu być może i ja opanowałam sztukę makijażu.

Wracam do pokoju i grzebię w szafie w poszukiwaniu niebieskiej skórzanej kopertówki, szalonego zakupu z Wenecji, który teraz chcę odkurzyć. Znajduję ją całkiem spłaszczoną pod stosem „Architectural Digest”. Pomstuję przez chwilę na Filippa i jego bałagan, kilkoma klepinięciami przywracam torebkę do właściwego kształtu, po czym wkładam do niej iPhone’a, błyszczyk,

lusterko, plastry na odciski (zabieram je zawsze, kiedy wychodzę na szczydłach!) i opakowanie pałeczek lukrecyjnych (zawsze noszę je ze sobą, zupełnie jakby były moim talizmanem). Koper-tówka ledwie się zamyka.

Zakładam na lewy nadgarstek bransoletkę z kryształków, którą podarował mi Filippo, po tym jak wróciliśmy do siebie, wstuwam stopy w sandałki i idę do salonu. On czeka na mnie, wciąż na kanapie, ubrany w niebieskie bawełniane spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami, ze spokojem kogoś, komu przygotowanie zajęło kilka chwil. Takiemu to dobrze – wystarczy, że nałoży odrobinę żelu, i już jest piękny jak młody bóg.

Restauracja, którą wybrał Filippo, podoba mi się od pierwszej chwili. Jest elegancka i oryginalna, ale, w przeciwieństwie do wielu modnych lokali, nie sterylna. Urządzona w stylu secesji – ze stanowiskiem pracy cukierników za taflą szkła,

podświetlonym barem z onyksu, za którym wyłożono setki butelek wina, salą jadalną ze sklepieniem, białymi krzesłami i obrusami z dekoracją w postaci świeżych kwiatów. Na piętrze mieści się rozległy taras z cudownym widokiem na Testaccio – właśnie tam zjemy kolację.

Wszyscy przy stole są pogodni i odprężeni. Towarzystwo można uznać za miłe, choć trudno mi zachowywać się całkiem swobodnie. Znam dość dobrze kolegów z pracy Filippa, spotykałam się już z nimi przy innych okazjach, ale tak naprawdę pozostają dla mnie obcy. Alessio to przystojny trzydziestosiedmiolatek, nieco przykości, mąż Flavii, wpadającej w oko blondynki, która pracuje w lokalnej telewizji. Giovanni zaś jest wątlym chłopakiem w wieku Filippa, z lekkimi zakolami. Przyszedł z narzeczoną Isabellą, bardzo miłą dziewczyną, która niedawno skończyła medycynę. Riccardo, szef, to wieczny kawaler, zdecydowany nie rezygnować ze swojego statusu pomimo siwych włosów i czterdziestki na karku.

Za każdym razem pojawia się w towarzystwie innej „przyjaciółki”. Dziś przyszła kolej na rudą, cichą, z pięknymi nogami i najprawdopodobniej poprawianymi policzkami. Choć wszyscy starają się jak mogą, być dla mnie mili – i naprawdę są sympatyczni i interesujący – chwilami odnoszę wrażenie, że nigdy nie będę jedną z nich, a to z braku tego niemal chemicznego pokrewieństwa rodzącego się tylko między ludźmi, którzy znają się od dawna i niejedno razem przeszli. Właśnie w takich chwilach najbardziej tęsknię za Gaią.

Po długim namyśle nad kartą win i menu wybieramy przystawki: *arancini*² z *caciocavallo*³ i szafranem, a potem zapiekanka z botargą⁴ z tuńczyka, cytryną, pomidorem i bazylią. Następnie Filippo zamawia najlepszego szampana. Kelner w białej marynarce i jedwabnej muszce szepcze komplementy o doskonałym wyborze. Kilka minut później pojawia się znów przed nami z talerzami i butelką najlepszego rocznika Piper-Heidsieck.

Podczas gdy Alessio napełnia szampanem kieliszki, Filippo prostuje się na krześle, a jego twarz przybiera wręcz uroczysty wyraz. Wznosi w górę szkło, wykrzykując z przekonaniem: „Za moją narzeczoną”, i wszyscy przyłączają się do toastu.

W ciągu sekundy robię się czerwona jak cegła, aż muszę przysłonić twarz ręką. Nie wiem, czy mam ochotę go zabić, czy obsypać pocałunkami. Po raz pierwszy słyszę, jak wymawia to słowo. Chociaż mieszkamy razem od półtora miesiąca, a nasz związek od samego początku jest oficjalny, nie mogę pozostać obojętna wobec tego, co właśnie powiedział.

Z wymuszonym uśmiechem podnoszę swój kieliszek i stukam się nim z pozostałymi. Filippo całuje mnie w usta, a ja odwzajemniam pocałunek, mimo że zwykle takie publiczne manifestacje śmiertelnie mnie krępują.

W końcu zaczynamy jeść, ale zaraz po toaście doznaję uczucia jakiejś niespodziewanej melancholii. Być może to urodziny zmuszają człowieka,

by rozliczył się z mijającego czasu, być może czuję się trochę obca w tym miejscu, wśród osób, których nie znam, a może to szampan powoduje, że smutne myśli wypływają na powierzchnię... W każdym razie w pewnej chwili znowu odczuwam tę dziwną nostalgię, która ogarnęła mnie dziś rano, tę, którą zauważył Martino. Czuję się odległa, nie na miejscu, jak nie zdarzało mi się od dawna. Wmawiam sobie – lecz nie potrafię samej siebie oszukać – że to hormony i zbliżający się okres, jednak w głębi duszy wiem, że nie może chodzić tylko o to. Wbrew uśmiechom, które rozdaję na prawo i lewo, te trzydzieste urodziny mają słodko-gorzki smak i nawet przepyszny ryż z pesto z cytrusów, awokado i mięty nie jest w stanie go przyćmić.

Kiedy wjeżdża wspaniały tort z gruszkami i czekoladą, który Filippo kazał przygotować specjalnie dla mnie, gaszę świece wśród rozradowanych spojrzeń całego towarzystwa, a na myśl

przychodzi mi tylko jedno życzenie – niech ten wieczór skończy się jak najszybciej.

Tort wędruje do kuchni, skąd wróci pokrojony i rozłożony na talerzykach ze szlachetnej porcelany. Kiedy kelner przynosi nasze porcje, zauważam coś dziwnego: na moim talerzu pojawił się kwiat ułożony z ziaren granatu.

– Zobacz, Bibi, jak fajnie! – komentuje siedzący obok mnie Filippo. – Prezent dla jubilatki.

– Tak... to bardzo miłe.

Uśmiecham się z trudem, ale czuję, że mina mi rzednie. Sięgam drżącą ręką po kieliszek i zmuszam się do wypicia odrobiny szampana. Mam wrażenie, że moje serce, targane sprzecznymi emocjami, zaraz eksploduje mi w piersi. Ziarna granatu. To nie może być przypadek, to znak, wiadomość od Niego, wiem to... a jednak nie mogę w to uwierzyć.

Próbuję wyrzucić Leonarda ze swoich myśli, skupiając się z całą mocą na Alessiu, który

proceedzi ożywioną dyskusję o projekcie rewitalizacji opuszczonego parku, ale jego gadanina o eco-designie i budownictwie ekologicznym wcale mnie nie wciąga. Zaczynam tracić kontrolę i postanawiam, że nie mogę czekać ani chwili dłużej.

Muszę wiedzieć. Teraz.

Upuszczam widelec na talerzyk i gwałtownie wstaję.

– Idę na chwilę do łazienki – wyjaśniam w odpowiedzi na pytające spojrzenia współbiedadników.

Wchodzę do wnętrza restauracji, mijam drzwi łazienki i zdecydowanym krokiem podążam dalej w stronę kuchni. Idę szybko, nerwowo i rozglądam się dookoła, trzymając w spoconych rękach torebkę. Może to szaleństwo, wytwór mojej wyobraźni. Jeśli natomiast to, co myślę, jest prawdą, popełniam potworny błąd. Zupełnie jakbym oglądała jeden z tych niedorzecznych horrorów, w których bohaterka słyszy w środku nocy

niepokojący hałas i postanawia otworzyć drzwi, by sprawdzić, co się dzieje, zamiast czym prędzej zadzwonić na policję. Ale co innego mogłabym zrobić? Wprost wychodzę z siebie.

Zbliżam rozpaloną twarz do okrągłego kuchennego okienka, ale niewiele udaje mi się zobaczyć. Biorę więc głęboki oddech i popycham drzwi, które otwierają się jak w saloonie. O mało nie zderzam się z kelnerem, wychodzącym właśnie z czterema parującymi półmiskami, ale szczęśliwie udaje mi się uskoczyć na bok i go ominąć. Panuje tu takie zamieszanie, że czuję się ogłuszona: zgiełk, para, zapachy, brzęki. Zastęp pomocników uwija się wokół centralnego stołu i kuchenek: jeden kroi, drugi gotuje, inni panierują i wkładają do pieca, dekorują i posypują. Ale tylko jeden człowiek dyryguje tą doskonale zgraną orkiestrą.

– Jesteśmy cholernie spóźnieni ze wszystkim! Ruszcie się, ludzie.

Jego głos jest niczym grzmot.

Widzę go i czuję, że brakuje mi tchu. Leonardo. Ma na sobie biały uniform i białą opaskę na czole, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy widziałam go w akcji podczas przyjęcia w Wenecji. Skrzzące się, czujne, ciemne oczy, kilkundniowy zarost, jak zwykle, i czoło zroszone potem. Krąży wśród swoich współpracowników, charyzmatyczny i autorytarny, ale nade wszystko wzbudzający szacunek. Dostrzegam to w sposobie, w jaki wydaje rozkazy, oraz w spojrzeniach, z jakimi zostają one przyjęte. Patrzę na niego, ale on nie zauważa, że jestem tu, przed nim.

– Langusta do stolika czwartego jest gotowa od trzech minut. Ugo, zamierzamy podać ją zimną? Gdzie oni cię znaleźli, na święcie kartofla?

– Już się robi, szefie. Sekundkę, tylko udekoruję talerz. Zamyśliłem się na chwilę – odpowiada Ugo, a po jego wysokim czole spływają krople potu.

– Ach, zamyśliłeś się, tak? Nie ma problemu, Ugo, w McDonalddie ciągle szukają zdolnych

chłopaków do smażenia frytek... rusz się z tym carpaccio z tuńczyka, już!

– Tak, szefie. Już się robi, szefie!

– A ty, Alberto, za dużo sosu do tych *garganelli*⁵. Mniej, mniej!

Jest właśnie taki, jak go zapamiętałam, ale w jakiś sposób jeszcze bardziej pewny siebie i imponujący. Jego włosy wydają mi się nieco ciemniejsze, szczęka mocniejsza, a mięśnie bardziej napięte – ale to zapewne chwilowe wrażenie. Rodzaj halucynacji.

Jeszcze mnie nie zobaczył i to sprawia, że czuję się pewniej. Ale gdy tylko jego oczy spotykają moje, nogi mi miękną i zaczynam drżeć. Leonardo lekko się uśmiecha i dużymi krokami rusza w moją stronę. Stoję w miejscu, nie mam siły na jakikolwiek ruch. Wdech, wydech, wdech.

Jestem przerażona, wstrząśnięta, wściekła, sama już nie wiem, co jeszcze. Z moich ust nie wydobywa się nawet słowo, ani jeden dźwięk. Przez chwilę mam chęć złapać któryś z talerzy

i rzucić w niego, jak w najgorszych włoskich komediach, a zaraz potem nachodzi mnie ochota, by sobie stąd pójść. Ale zanim ta myśl zostaje wcielona w czyn, Leonardo staje przede mną i powstrzymuje mnie, chwytając za rękę. Ten dotyk wystarcza, by wymazać całą otaczającą mnie rzeczywistość. Zapomniałam już, jak potężne są jego dłonie. Jak bardzo są zawsze ciepłe. Próbuje się oswobodzić, ale nie udaje mi się.

– Cześć – mówi po prostu, ze swoim zwykłym, beczelnym uśmiechem, a w jego oczach pojawia się dziwny błysk.

Jak zawsze ukazują się jego zmarszczki mimiczne, przypominając mi, jak bardzo jest sexy – tak piękny, że dech mi zapiera.

– Cześć – mamroczę, z niedowierzaniem i złością zarazem. Nie widzieliśmy się od trzech miesięcy, podczas których podważyłam każdy element mojego życia i odbudowałam je kawałek po kawałku, a teraz on przyjmuje mnie jak gdyby nigdy nic tym rozbrajającym „cześć”, które wydaje się

idealnym powitaniem. Nagły dreszcz biegnący wzdłuż pleców sprawia, że sztywnieję i zaciskam pięści prawie do bólu.

– Co się stało, jesteś... zaskoczona? – pyta, obserwując moją twarz.

– Oczywiście, że tak – odpowiadam, unosząc nieco podbródek.

– No cóż, ja również – mówi, bardziej rozbawiony niż przejęty.

Widzę, jak kąciki jego ust ściągają się w pełnym zadowolenia uśmiešku i w tym momencie wybucham:

– Można wiedzieć, co, do cholery, tutaj robisz?

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie, zważywszy, że to moja restauracja – ripostuje z niewinną miną, rozkładając ramiona.

Patrzę na niego, nie mówiąc ani słowa. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Leonardo może mieć restaurację w Rzymie. A tym bardziej, że trafię do niej właśnie w dniu swoich urodzin.

– To moja baza, kiedy nie jeżdżę po świecie w związku z pracą. Ale może nigdy ci o tym nie wspominałem...

Z moich ust wydobywa się nieartykułowany dźwięk. Kręcę głową, starając się uspokoić. Ale jestem skazana na porażkę. On natomiast patrzy na mnie, jakbym była pięknym, niespodziewanym prezentem.

– Widziałem cię wcześniej, kiedy wchodziłaś. Wiesz, czasem lubię wyjrzeć przez drzwi, żeby zobaczyć, jak idą sprawy na sali... – ujmuje mnie w talii i odsuwa na bok, robiąc miejsce dla jednego ze swoich asystentów. Uśmiecha się do mnie. – Nie mogłem pozwolić, żebyś po prostu odeszła... to przeznaczenie cię tu przyprowadziło.

– Ach, naprawdę? A z jakiego powodu? Oświeć mnie. – Mój głos jest twardy, pogardliwy.

– Skąd mogę wiedzieć? – wzrusza ramionami, parszkając śmiechem.

Zaraz stracę resztki panowania nad sobą, które jak sobie wmawiam, wciąż jeszcze mam.

– Może tylko po to, żeby z nas zażartować. Ale tak ironicznemu przeznaczeniu należałoby wyjść naprzeciw, nie sądzisz?

– Boże! – mam ochotę wyć z wściekłości. – Co cię tak bawi?! – krzyczę, wcale się już nie hamując. – Zdajesz sobie sprawę, przez co przesłam z twojego powodu? Masz jakiegokolwiek pojęcie o tych koszmarnych dniach, które spędziłam, starając się zapomnieć o tobie, przekonać samą siebie, że byłeś zwykłą pomyłką? A ty teraz zjawiasz się i zaczynasz opowiadać mi o przeznaczeniu... Wiesz co, Leonardo? Niech cię szlag. Ciebie, przeznaczenie, to miejsce i przede wszystkim mnie za to, że tu przysłam!

Jestem nieubłagana. Nie potrafię i nie chcę powstrzymywać tego wybuchu, nie zważam nawet na kucharzy, którzy unoszą głowy z niedowierzaniem, zaskoczeni moimi wrzaskami. Leonardo cofa się o krok, jak porażony, ale zaraz chwytam mnie za ramię, ciągnie w kierunku małych drzwi

po naszej prawej i popycha mnie do ciasnego i ciemnego magazynku.

– Uspokój się, Eleno. Proszę – pochyła się nade mną, wystarczająco blisko, żeby dotarł do mnie zapach jego skóry i oddech, w którym czuć brandy. – Robimy scenę przy wszystkich.

Wbijam w niego płonące spojrzenie.

– Mam to gdzieś!

– Możemy na chwilę zmienić ton i porozmawiać spokojnie?

– Nie, Leonardo, nie mam najmniejszego zamiaru z tobą rozmawiać, nie mam ochoty słuchać, co masz mi do powiedzenia i nie mam nic...

Ale zanim kończę zdanie, Leonardo kładzie mi rękę na ustach, a potem, bez uprzedzenia, jego wargi lądują na moich. Całuje mnie, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Jestem całkowicie rozbrojona, ale znajduję jeszcze siłę, by oderwać się od jego natarczywych ust i wymierzyć mu głośny policzek.

Leonardo się uśmiecha, masując policzek dłonią.

– Tęskniłem za tobą – mówi szeptem. – Smakujesz dobrze jak zawsze.

Patrzę na niego bez słowa. Tęsknił za mną?

– Przyjmij do wiadomości, że teraz jestem z innym – mówię cierpko i zdecydowanie.

– Przykro mi, Eleno – ciągnie dalej.

– Z jakiego powodu jest ci przykro? – pytam.

To właśnie cały on i jego sposób szybkiego załatwiania sprawy – jemu jest przykro, a ja spędziłam trzy miesiące, płacząc.

– Że tak się ułożyło między nami. Przepraszam za wszystko – jego spojrzenie jest nieustępliwe i szczerze.

Potem zapada nagle cisza. Jestem zdezorientowana. Nie spodziewałam się, że nadal będzie działał na mnie w ten sposób. Czuję jego rękę na bransoletce od Filippa. Mam w gardle wielki węzeł i z ust wychodzi mi tylko szept:

– Dobrze. Twoje przeprosiny są najlepszym prezentem urodzinowym, jakiego mogłam oczekiwać – kończę i odchodzę, nie odwracając się za siebie.

Wracam do stołu blada i wzburzona, z tajemnicą, której oczywiście nie będę mogła wyjawic nikomu. Staram się udawać, że nic się nie stało, i z entuzjazmem przyjmuję podany właśnie sorbet cytrynowo-jaśminowy. Filippo pyta, czy wszystko w porządku, bo tak długo byłam w łazience, a ja odpowiadam mu z wymuszonym uśmiechem, że tak, wszystko świetnie. To pierwsze kłamstwo w trzydziestym pierwszym roku mojego życia.

Kiedy wracamy z Filippem taksówką do domu, wciąż biję się z myślami. Co to za przewrotny żart zgotował dla mnie los? Wszystko szło tak dobrze... Wydawało mi się, że zaczęłam nowe życie, że odkryłam, co naprawdę znaczy miłość. Dlaczego Leonardo musiał wrócić i wprowadzić chaos tam, gdzie ja już zrobiłam porządek?

Nienawidzę go za to, że pojawił się znowu w ten absurdalny sposób. I nienawidzę siebie samej, że uległam pokusie i chciałam wiedzieć.

W spokojnej, zadrzewionej alei, przy której mieszkamy, wyciągając z torebki klucze do domu i podając je Filippowi, myślę sobie, że gdy tylko znajdziemy się w środku, zapalę kilka świec, otworzę butelkę wina na specjalną okazję i znajdę właściwą ścieżkę dźwiękową, by wymazać z pamięci pozostałe jeszcze ślady przeszłości. Chcę, żeby reszta wieczoru należała do mnie i do mężczyzny, który w tej chwili otwiera drzwi. Do mężczyzny, którego kocham.

Kiedy odkorkowuję butelkę Masseto dell'Ornellaia, Filippo kładzie się na kanapie z całkowicie rozpiętą koszulą. Dołączam do niego z dwoma kieliszkami, które stawiam na stoliku. Uśmiecham się uwodzicielsko, zdejmuję sandały i zsuwam mu się na kolana, patrząc w jego oczy. *È l'uomo per me*⁶... Głos Miny płynie przytłumiony z głośników

wieży. Nucąc pod nosem, całuję go w policzek, potem w szyję, w końcu w klatkę piersiową.

Filippo uśmiecha się, zamyka oczy i szepcze:

– Mmm, podoba mi się to...

– To też? – pytam, liżąc jego ucho.

Desperacko staram się usunąć z mojej głowy myśl o Leonardzie. Ale, jak dzieje się często, kiedy chce się przegonić jakąś myśl, ta staje się coraz bardziej uporczywa. Próbuję nie myśleć o niczym, naprawdę staram się, jak mogę. Całuję Filippa znowu, tym razem w usta, i powoli twarz i wargi Leonarda rozplývają się w chmurze dymu.

Filippo ściąga mi sukienkę zdecydowanym, gwałtownym ruchem, a ja zdejmuję jego koszulę i spodnie. Obejmujemy się mocno, przywieramy do siebie. Wymawiam na głos jego imię. Leonarda już nie ma, w końcu zniknął.

– Och, Eleno – wzdycha Filippo, jego dłonie przylegają do moich pleców, a penis do mojego brzucha. Pragnie mnie, czuję to przez materiał. To

właśnie w takich chwilach używa mojego imienia, a nie przezwiska.

Otwieram oczy i proszę, by na mnie spojrzął.

Patrzę na niego intensywnie i mówię:

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odpowiada. Jego twarz ma szczery, uszczęśliwiony wyraz.

Zaciskam mocno oczy, czując, jak Filippa coraz bardziej podnieca mój dotyk. Siadam na nim, zaczynam się poruszać i szepczę znowu jego imię. Imię mojego narzeczonego. Filippo. Wiem dokładnie, z kim jestem w tej właśnie chwili. Kogo kocham. I nadal tak jest, kiedy on zanosz mi do naszego pokoju, odsuwa kołdrę i kładzie mnie na miękkim prześcieradle.

Teraz jesteśmy nadzy. Myślę o tym, że to łóżko jest święte, jest nasze. Leonardo odszedł. Już go tu nie ma. Nigdy nie było i nigdy nie będzie. Niech idzie do diabła!

Filippo porusza się we mnie, a ja czuję, że jestem w domu, otoczona jego ramionami, jego

zapachem, jego miłością. Czymś, czego nikt nigdy nie zdoła mi odebrać.

3.

Grzebię w kieszeni ogrodniczek w poszukiwaniu pudełeczka z lukrecjowymi cukierkami, ale kiedy je otwieram, okazuje się, że jest zupełnie puste. Niech to. Jest czwarta po południu: w ciągu pół dnia wsunęłam całe opakowanie Amarelli, w wyniku czego zamiast żołądka mam teraz otchłań, a ciśnienie podwyższyło mi się tak, że kręci mi się w głowie. Ale to nie tylko wina lukrecji, lecz także efekty wczorajszego wieczoru i nieprzespanej nocy. Ponowne spotkanie z Leonardem było szokiem, ale w końcu mogłam przewidzieć, że to się kiedyś wydarzy. Powtarzam sobie wciąż, że wszystko w porządku, że Filippo to ten jedyny, ale nie ma sensu okłamywać samej siebie. Po raz trzeci z rzędu – ku wielkiej radości Paoli – pomyliłam się przy mieszaniu barwników, dodając biel zamiast granatu. Nie jestem już

w stanie skupić się na pracy – to ostateczny dowód, gdyby w ogóle był jeszcze potrzebny. Co, do diabła, się ze mną dzieje? Myślami jestem gdzie indziej, podróżuję w stronę tej zakazanej krainy, którą jest Leonardo. Muszę się chronić, dbać o siebie. Myśleć o czymś innym.

Jak gdyby tego było mało, do stanu ostatecznej fiksacji doprowadzają mnie dwie panie i siostra karmelitanka od pół godziny odmawiające na głos różaniec dokładnie na wprost kaplicy. Monotonna francuska modlitwa dudni mi w skroniach. Mogłyby się chociaż zreflektować i trochę ściszyć głos, ale w swoim zapamiętaniu pewnie przestały myśleć o otaczającym świecie. Odwracam się w ich stronę i kręcę głową, szukając jednocześnie odpowiedniego odcienia dla ożywienia loków utrzymanego przez Maryję Jezuska.

Nie ma dziś Martina. Nie mogę się nawet odprężyć przy wspólnej pogawędce. Jego obecność jest już stałym elementem moich dni i dziś, kiedy nie widzę, jak wrzuca tony monet do automatu

albo przelewa rzeki tuszu na te swoje latające kartki, czuję się trochę samotna. Kto wie, czy jeszcze wróci, może postanowił zabarykadować się w domu i uczyć do egzaminu u straszego Bonfante.

– Eleno, co ty, do cholery, robisz? – czyjaś ręka zatrzymuje mój nadgarstek i odsuwa go od niewłaściwego pojemnika. To Paola. Niech to szlag! Zamiast w wodzie chciałam umoczyć pędzelek w rozpuszczalniku.

– Co się z tobą dzieje?! – krzyczy. Jej głos jest tak ostry, a uścisk tak agresywny, że o mało nie spadam na ziemię z przerażenia.

– Przepraszam – mówię cichutko, spuszczaając wzrok, i czuję, że od stóp do głowy robię się czerwona. – Dzisiaj w ogóle nie myślę.

– Zauważyłam. Nigdy nie widziałam cię tak rozkojarzonej. – Jej głos wydaje się teraz mniej cięrpki niż zwykle i pojawia się promyk nadziei na miłosierdzie. – Szalona noc, hm? – Patrzy na mnie,

jakby obejrzała pełną relację filmową z moich urodzin.

– Rzeczywiście, poszłam spać dość późno – przyznaję, nie wchodząc w niewygodne szczegóły.

– Może lepiej pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Idź, idź. I obudź się w końcu!

Nie przebieram się z ogrodniczek i ruszam do wyjścia. Wychodzę na zewnątrz i robię parę kroków po kościelnym dziedzińcu. Rozsuwam zamek, zdejmuję bluzę i przewiązuję ją wokół bioder, zostając w samej koszulce. Oddycham głęboko, podziwiając otaczające budynki. Niebo pachnie już latem, a powietrze jest rześkie, ale ja wciąż nie potrafię się uspokoić. Szkoda, że nie palę, to byłby idealny moment na papierosa. Jestem tak zdenerwowana i oszołomiona, że w zasadzie mogłabym zacząć palić teraz. Wiem, że za rogiem jest *tabaccheria*... Mogłabym skoczyć po paczkę długich vogue'ów lilas, takich jakie pali Gaia. Ale ochota przechodzi mi w jednej chwili,

gdy dostrzegam zbliżającego się ojca Sèrge'a, niosącego pudełko pełne parafialnych broszurek. Ma na sobie szary lniany habit z długim rękawem. Nie wiem, jakim cudem nie jest mu gorąco.

– *Elenà, ça va bien?* – uśmiecha się, pokazując bielusieńkie zęby i wiem, że w rzeczywistości pyta, dlaczego jestem tu na zewnątrz zamiast w środku przy pracy.

– *Oui, tout va bien. Merci...* – zaczynam, ale mój francuski jest tak kulawy, że szybko porzucam ten pomysł. – Robię sobie pięć minut przerwy – usprawiedliwiam się, a moja twarz przybiera umęczony wyraz, jakbym chciała powiedzieć: „Spróbuj sam postać na tych rusztowaniach trzy godziny bez przerwy”.

– Oczywiście, trzeba się oderwać od czasu do czasu – mówi i korzysta z okazji, żeby wcisnąć mi broszurę. – To program na czerwiec, prosto z drukarni – wyjaśnia z triumfalnym uśmiechem.

– Dziękuję. Przeczytam – rzecz jasna kłamie, ale to jedyny sposób, by zadowolić ojca Sèrge’a, któremu, jak się wydaje, bardzo na tym zależy.

– Świetnie. Idę przygotować się do mszy – zegnają się i wchodzi do kościoła krokiem atlety.

– Do zobaczenia później.

Mimo że jest nieco wścibski – i nadal nie rozumiał, że związki z wiarą zerwałam już dawno temu – ojciec Sèrge wydaje mi się sympatyczny. Ma zawsze wesołą twarz i ten afrykański francuski akcent, który dodaje jego głosowi przyjemnego zaśpiewu, kiedy mówi po włosku.

Zastanawiam się, czy wrócić do środka, czy zostać jeszcze trochę na zewnątrz, kiedy mój iPhone zaczyna dzwonić. Na wyświetlaczu pokazuje się numer z prefiksem 340. Nie mam go w kontaktach, ale obawiam się, że wiem, do kogo należy. Skasowanie go na nic się zdało: znam ten numer na pamięć, niestety, pamiętałabym go nawet całkowicie pijana. Przez długą chwilę stoję

przekonana, że nie chcę odbierać, ale zaraz potem ta pewność znika.

Po piątym sygnale odkasłuję, po czym wydaję z siebie słabe „Słucham?”.

– Cześć! – odzywa się Leonardo. – To ja.

– Wiem – odpowiadam. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam chodzić w tę i z powrotem, nerwowo się rozglądając.

– Jak się masz? – pyta.

– Dobrze – odpowiadam szybko.

W rzeczywistości mogłabym powiedzieć wszystko, tylko nie to, że mam się dobrze. Ale chcę go spławić jak najszybciej.

– Jesteś w pracy?

– Tak...

Może powinnam od razu chwycić się tej wymówki, by skończyć rozmowę i zacząć na nowo oddychać – serce przestało mi bić, a ja nawet tego nie zauważyłam – ale Leonardo nie traci czasu. Nie bawi się we wstępy i przechodzi od razu do sedna.

– Spotkamy się dziś wieczorem? – pyta.

– Dziś wieczorem...? – powtarzam z wahaniem.

– Tak, dziś wieczorem... – potwierdza. Jak zwykle mówi pewnym, stanowczym tonem.

Podsumowując: ten facet uważa, że może ni stąd, ni zowąd pojawić się w moim życiu, rozbić moje serce na miazgę, odejść, a potem po kilku miesiącach wrócić jak gdyby nigdy nic i zapytać, czy mam ochotę się z nim zobaczyć. Dziś wieczorem. I może jeszcze oczekuje, że będę skakać z radości. „Grubo się mylisz” – taką odpowiedź podpowiada mi duma. Ale oto w moje myśli wkrada się pełzające, podstępne pragnienie – tak naprawdę mogłabyś się z nim spotkać, tylko jeden raz, tylko żeby porozmawiać i może wyjaśnić sobie to, co nie zostało wyjaśnione na koniec naszego związku. Nie byłoby w tym nic złego...

– Nie wiem, czy mogę – daję sobie jeszcze kilka sekund na zastanowienie, podczas gdy duma i emocje zmagają się ze sobą.

– Eleno, tak albo nie.

Chyba tak. Albo przynajmniej bardziej tak niż nie. Myślę, że jestem wystarczająco silna, by dojrzałe, na chłodno stawić czoło Leonardowi. Być może przeznaczenie postawiło go na mojej drodze po to, by dać mi możliwość ostatecznego zakończenia tej historii i uwolnienia się na zawsze od jego widma.

– Dobrze – ustępuję w końcu.

Emocje – duma: jeden do zera.

– Przyjadę po ciebie motorem. Gdzie jesteś?

Motorem? Tego nie wzięłam pod uwagę.

– Pracuję w San Luigi dei Francesi, ale trochę ciężko dojechać tutaj motorem...

– Żaden problem. Czekaj na mnie o ósmej na corso Vittorio. Przed Sant'Andrea della Valle.

Rozpoznaję ten jego typowy, nieznoszący sprzeciwu rozkaz. Na fali jego głosu wyłaniają się znowu wspomnienia minionych miesięcy.

– OK – odpowiadam.

I już tego żałuję.

Przed powrotem do pracy dzwonię do Filippa, żeby uprzedzić go, że spędzę wieczór na mieście. Pierwszą wymówką, jaka przychodzi mi do głowy, zważywszy na to, że nie znalazłam jeszcze w Rzymie żadnych przyjaciółek, jest posłużenie się Paolą. Mówię mu więc, że idę na pizzę z moją jędrzowatą koleżanką z pracy, która na jeden wieczór postanowiła zdjąć maskę pitbulla i otworzyć się na świat. Filippo nie wydaje się bardzo zmartwiony i każe mi bawić się dobrze oraz pomóc Paoli trochę się rozerwać, „bo może tego jej potrzeba”.

Tak, stałam się już profesjonalnym kłamcą...

– Pewnie! – odpowiadam, śmiejąc się z jego żartu, ale mój śmiech jest udawany, niemal histeryczny.

Nie lubię kłamać i mam nadzieję się poprawić. Nie zdarzało mi się to od miesięcy, a ostatni raz też był z powodu Leonarda. Wystarczyło, że raz go spotkałam, a już wynikła taka konieczność. Ta myśl wywołuje we mnie nieprzyjemne uczucie.

Ale teraz, choć tak naprawdę za każdym poprzednim razem było podobnie, czuję, że nie mam innego wyjścia. Zakazanie sobie tego spotkania nie zdałoby się na nic. Wiem, że i tak bym o nim myślała, a mój umysł zafiksowałby się na tym niespełnionym pragnieniu. Chcę zrozumieć, nic poza tym. Albo przynajmniej tak sobie wmawiam. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak stawić czoło potworowi.

Od kilku minut czekam na niego na placyku przed bazyliką Sant'Andrea della Valle. Przechadzam się nerwowo wokół fontanny i spoglądam ukradkiem za siebie, jakbym była przestępcą i w każdej chwili groziło mi aresztowanie. Wciąż się zastanawiam, czy dobrze postąpiłam, przyjmując to zaproszenie, ale odpowiedź nadal pozostaje ta sama – nie. W jednym z moich snów na jawie widzę rękę Filipa, który łapie mnie za szlufkę jeansów i ciągnie do siebie jak hak holowniczy: „Nie rób tego, Bibi! Chodź do mnie!”.

Ryk motoru przywraca mnie do rzeczywistości. Przede mną zmaterializował się centaur, z twarzą ukrytą w zamkniętym kasku, siedzący na ducati monster, prawdziwe widowisko mięśni, skóry i metalu.

Leonardo gasi silnik i podnosi wizjer, odsłaniając swoje magnetyczne oczy. One również wydają się zrobione z połyskującego metalu. Jak na potwora jest piekielnie przystojny. Uśmiecha się, wita mnie i nie schodząc z motoru, podaje mi kask, który miał zawieszony na przedramieniu. Nie znam się na motocyklach, ale pamiętam – dzięki letniemu romansowi z pewnym dość gadatliwym motocyklistą – że te mające maszynę na widoku w slangu nazywane są „naked”. I ja czuję się goła, kiedy on obejmuje mnie spojrzeniem. Nagle staję się mała i bezbronna. Zakładam kask; jest ciężki. On pomaga mi zapiąć go pod brodą i robi mi miejsce na siedzeniu. Na szczęście mam na sobie jeansy, a nie spódnicę. Ogrodniczki nie eksponują szczególnie kobiecych wdzięków.

Opieram jedną nogę na pedale i wczepiwszy się w plecy Leonarda, drugą nogą wykonuję zamach. Hurra, siedzę i udało mi się nie narobić obciachu! Motor może i jest ładny, ale nie można powiedzieć, żeby był wygodny. Zaczynam się bać, zanim jeszcze ruszamy, i przytulam się do Leonarda.

– Gotowa?

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– To niespodzianka.

Jeśli mnie pamięć nie myli, kiedy Leonardo odpowiada w ten sposób, należy zacząć się bać.

– Tylko jedź powoli – błagam, obejmując go w pasie. Kontakt z jego ciałem nadal robi na mnie pewne wrażenie. Jest taki mocny...

– Boisz się? – drwi, głaszcząc mnie po łydce, jakby chciał mnie uspokoić.

– Trochę – przyznaję.

– Bez obaw. Nie będę jechał szybko.

Leonardo uruchamia zapłon. Ryk silnika mnie elektryzuje, wprawiając w lekką wibrację moje

ciało, a strach w jednej chwili przeradza się w ekscytację. Z piskiem ruszamy corso Vittorio.

Rześkie wieczorne powietrze pieści moją twarz, czuję się wolna. Trzymam się mocniej, przyciskając kolana do jego nóg. Serce podchodzi mi do gardła, szczególnie na zakrętach, ale jednocześnie jestem spokojna, bo on jest za kierownicą. Jego ruchy są tak pewne, że mogę całkowicie mu zaufać. Ducati pruje po asfalcie i zuchwale tnie powietrze, przejeżdża przez Ponte Sisto, pozdrawiając Tybr dźwiękiem klaksonu, po czym wspina się w stronę Gianicolo. Pokonujemy serię szerokich zakrętów i oto naszym oczom ukazuje się Il Fontanone⁷, w całej swej magicznej potędze. Leonardo parkuje na placyku, zsiada pierwszy i ująwszy mnie w tali, pomaga mi zejść.

Przez chwilę poddaję się urokowi zapierającej dech scenerii i szumu wody wypływającej z kranów do znajdującego się poniżej basenu. Aż przychodzi ochota się w nim zanurzyć. Nie potrafię wytłumaczyć mojego zauroczenia rzymskimi

fontannami. Chcą, żeby ich słuchać, wydaje się wręcz, że coś szepczą. Ale dziś wieczorem nie chcę się dowiadywać, co ma mi do opowiedzenia Il Fontanone.

– Pięknie tu – mówię, rozglądając się dookoła. Zdejmuję kask i staram się poprawić włosy, które jak się domyślam, są teraz żałośnie przyklepane.

– Nie byłaś tu nigdy? – Leonardo przyczepia mój kask do swojego i przymocowuje je do motoru.

– Nie... Mieszkam w Rzymie dopiero od paru miesięcy.

Muszę natychmiast odpędzić natrętną myśl: dlaczego Filippo nigdy mnie tu nie zabrał?

– Nie widziałaś jeszcze najlepszego – uśmiecha się i spogląda na mnie swoimi ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami. – Przejdźmy się kawałek do punktu widokowego, dobrze?

– OK – odpowiadam, czym prędzej odrywając wzrok od jego oczu.

Idziemy wzdłuż linii murów. Podejście o tej porze jest przyjemne. Słońce prawie już zaszło, zostawiając na niebie czerwone smugi. Spacerujemy powoli, w odpowiedniej odległości od siebie, a ja co krok pozeram oczami nowe, poruszająco piękne widoki.

Dotarwszy na szczyt, stoimy przez kilka minut na Belvedere di Monteverde. Widok z tego miejsca jest niesamowity. Mam wrażenie, że jednym mrugnięciem powiek obejmuję cały Rzym. Nie mam słów. Wydaje się, że miasto zasypia, podczas gdy światła zaczynają się zapalać. Po raz pierwszy odkąd tu przyjechałam, patrzę na Rzym i mam wrażenie, że go rozumiem. Chaotyczna, skomplikowana metropolia, jaką znałam, z góry nie wygląda tak groźnie i leży teraz, pozornie potulna, u moich stóp.

– Nigdy nie patrzyłam na to miasto w ten sposób... – mówię do Leonarda. – Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś.

On się uśmiecha i przesywa moją duszę, nie pytając o pozwolenie. Uśmiechanie się w ten sposób, w tym miejscu, przy takim zachodzie słońca powinno być zabronione.

Idziemy jeszcze kawałek i siadamy na ławeczce. Rozbłyskują pierwsze wieczorne gwiazdy, a podnoszący się znad morza *ponentino* pieści nasze twarze jak lekka, ciepła fala.

Żeglujemy ku bezpiecznym portom, rozmawiając o pracy. Tego rodzaju konwersacje prowadzi się z kimś spotkanym po raz pierwszy, kogo chciałoby się poznać lepiej, albo z dawno niewidzianym przyjacielem. Ślizgamy się po powierzchni różnych tematów, a naturalny strumień pytań i odpowiedzi przerywany jest tylko krótkimi chwilami milczenia.

– Jesteś teraz szczęśliwa? – pyta niespodziewanie. I zaraz potem dodaje: – Twój chłopak wydaje się w porządku.

Ze sposobu, w jaki to mówi, wnioskuję, że musiał nas obserwować z kuchni.

– Tak, to prawda – potwierdzam i zaczynam opowiadać mu tyle, ile mogę, o Filippie i naszym związku.

Leonardo natomiast wyjaśnia mi, że mieszka w Rzymie od lat, razem ze współnikiem otworzył tu restaurację i właśnie jej poświęca większość swojego czasu. Niekiedy jednak, gdy znajdzie stymulujące wyzwanie zawodowe lub gdy po prostu chce zmienić otoczenie, wyjeżdża na „misje”. Właśnie tak było z Wenecją.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś... – komentuję.

To dziwne, mimo że intymnie byliśmy tak blisko, że bliżej się nie da, nigdy nie poznałam tych szczegółów z jego życia.

– Bo nigdy nie pytałaś – zauważa, wzruszając ramionami.

– Tak niechętnie mówiłeś o sobie, że w końcu zrezygnowałam z zadawania pytań – przyznaję.

– Może masz rację. To też moja wina.

Uśmiecha się znowu, tym razem jednak gorzko.

– Wiesz, w ostatnich miesiącach dużo o tobie myślałem.

Na chwilę spuszcza wzrok, jak gdyby chciał odnaleźć jakieś wspomnienie. Potem głaszcząc się po podbródku i dodaje:

– Tysiąc razy już miałem do ciebie dzwonić.

– I dlaczego nigdy tego nie zrobiłeś? – słowa, niemal piskliwe, wychodzą mi z ust bez mojej woli.

Daremnie czekałam na jego telefon, a teraz dowiaduję się, że on też chciał mnie usłyszeć.

– Bo za każdym razem myślałem o tym, co mógłbym ci powiedzieć, i orientowałem się, że nasza rozmowa nie różniłaby się od tych sprzed kilku miesięcy.

Opiera się na ławce i przez chwilę nic nie mówi.

– Rozczarowałbym cię znowu, a tego nie chciałem.

– A więc nie odzywałeś się do mnie dla mojego dobra. To chcesz powiedzieć?

To przypomina scenariusz kiepskiego wyciskacza łez i głęboko w środku wzbiera we mnie złość. Staram się ją opanować, bo teraz to już nie ma sensu, ale niestety chcę zrozumieć. Przynajmniej to. A on wie, że jest mi winien wyjaśnienie.

– Nie, Eleno. Zrobiłem to dla własnego dobra. Kręcę głową. Nic już nie rozumiem.

– Chciałem o tobie zapomnieć, nie chciałem, żeby którekolwiek z nas pozostało uwikłane w ten romans. Wcześniej czy później wyjechałbym, a wtedy i tak musielibyśmy się rozstać. Nie mogliśmy tego ciągnąć i jedynym wyjściem było ucieść to całkowicie – wzdycha. – Moje życie jest skomplikowane, Eleno. Jestem nomadą, wiecznie w drodze, od jednego miasta do drugiego. A mimo to pozostaję związany obowiązkiem, od którego nie mogę i nie chcę się uchylić...

Wydaje się, że do czegoś zmierza, ale w końcu opuszcza wzrok i milknie.

– O jakim obowiązku mówisz? – pytam zafrapowana.

Ze wzrokiem utkwionym w horyzont rozważa, czy odpowiedzieć, czy nie. Potem spogląda na mnie z rozbajającym uśmiechem.

– Dajmy temu spokój. Jaki sens ma mówienie o tym teraz?

– Dla mnie jednak miałyby sens – nalegam. Nie dam się zbyć. – Ja wciąż tylko ponosiłam konsekwencje twoich decyzji... Może jesteś mi winien chociaż małe wyjaśnienie.

Staram się mówić stanowczo, ale przy nim to nigdy nie wychodzi. Leonardo spogląda na mnie lekko zdziwiony, potem głaszcze mnie po policzku, jak czyni się z kapryśnym dzieckiem.

– Wyjaśnienia niczego nie ułatwiają, Eleno. Wręcz przeciwnie, sprawiają, że wszystko staje się jeszcze smutniejsze.

Przy jego dużej, ciepłej dłoni moja twarz wydaje się buzią dziecka. Gubię się w tym. Ten mężczyzna nie chce mi powiedzieć, kim naprawdę jest. Dostyc, nie nalegam, to i tak byłoby

bezcelowe, a poza tym nie chcę mu dawać satysfakcji.

– Dobrze było zobaczyć cię znowu wczoraj wieczorem – mówi, unosząc brwi.

– To było coś wręcz surrealnego, Leonardo. I bolesnego – stwierdzam.

Myślę, że swoje trzydzieste urodziny zapamiętam na zawsze.

– Ale musisz to przyjąć, Eleno. Bo bez względu na to, ile robimy planów, ile decyzji wydaje się nam, że podejmujemy, to i tak wyłącznie kwestia losu. I nic na to nie możemy poradzić.

– Co za obłąd – wzdycham.

– A może wielkie szczęście – odpowiada w zamyśleniu.

Przez chwilę siedzimy w ciszy, patrząc, jak niebo przed nami ciemnieje. Z zewnątrz możemy wydawać się parą przyjaciół, którzy przeżyli razem coś ważnego i, choć sprawili sobie ból, nadal mają ochotę siebie słuchać. Być może to ostatni akt

naszej historii, a ta gorzka tkliwość to resztki niedawnej niepokromionej pasji.

A jednak wciąż pali się we mnie płomień, ukryty pod warstwami rozsądku i instynktu samozachowawczego, i wystarczy, że lekko dotykamy się ramionami, a on rozpala się na nowo. Obserwuję Leonarda, jego ostry profil, nieodgadnione spojrzenie, zaciśniętą szczękę. Wydaje się posągiem pozbawionym emocji, a ja oddałabym całe złoto świata, żeby się dowiedzieć, co w tej chwili czuje.

Zamykam na chwilę oczy i napawam się dotykiem jego skóry. Rozkazuję sobie odsunąć rękę. Mam narzeczonego. Kocham Filipa. Myśli krzyczą w mojej głowie. Ale to na nic. Nie jestem w stanie się stąd ruszyć.

Nasze małe palce ledwie się dotykają, potem jeden delikatnie opiera się o drugi, jak gdyby jakiś prąd pchał nas ku sobie. Ale to trwa tylko chwilę. Nagle Leonardo wstaje.

– Idziemy? – pyta.

Poprawia skórzaną kurtkę, nie patrząc mi w oczy. Podnoszę się od razu.

Ruszamy w stronę Il Fontanone. Niebawem wsiądę z nim na motor, on odwiezie mnie do metra i tam pożegnam go na zawsze. Za mniej niż godzinę będę znowu w domu i zapomnę o ciepłe jego dłoni, energii jego oczu, zapachu jego skóry.

Myślę o tym, idąc obok niego, i niemal nie mogę się doczekać zamknięcia tego rozdziału na zawsze. I wtedy nagle czuję jego dłoń na ramieniu. Nim zdążę się zorientować, Leonardo odwraca mnie i przyciąga do siebie. Gwałtownie otacza mnie ramionami i zagłębia język w moich ustach. Daję się porwać, nie stawiając żadnego oporu, i całuję go w uniesieniu, tak jak pragnęłam przez wszystkie te miesiące i od pierwszej chwili, w której ponownie go zobaczyłam.

– Och, Eleno... – wzdycha. Potem patrzy na mnie błyszczącymi oczyma, zalewając mnie

swoim ciepłem. – Jesteś zbyt mocną pokusą – szepcze. – Staralem się jej oprzeć, ale nie potrafię.

Czuję się zagubiona, zmieszana. Umieram ze strachu i pożądania na poboczu jakiejś drogi. Nogi mi drżą, a całe moje ciało poniżej pępka chwyta skurcz. To absurdalne, ale pragnę go tak bardzo, że aż boli.

– Czuję cię, Eleno... – mówi, łapiąc mnie za nadgarstki, a potem, kryjąc w ramionach, prowadzi mnie na bok, na porośniętą trawą łączkę na skraju drogi. – Musisz być moja, teraz.

Opiera mnie o drzewo, rozsuwa zamek mojej kurtki i wsuwa dłoń między piersi. Oddycha głęboko, dużo głośniej ode mnie.

Wszystko, co powiedzieliśmy sobie wcześniej, straciło sens. Jesteśmy jak dwa przyciągające się magnesy, wbrew zakazom i postanowieniom, lekceważymy zasady i konsekwencje. Pragnienie tego mężczyzny rozpala moją krew. Widzę, jak moje ruchy odbijają się w nim, w jego ciemnych oczach, które płoną w moich i połyskują światłem

latarni, i nie jestem już w stanie się kontrolować. Popęłniam błąd. Wielki, straszny błąd.

– Nie mogę, Leo.

Filippo boleśnie wciska się w przestrzeń pomiędzy nami. Próbuje się uwolnić.

– Nie mogę – powtarzam, tłumiąc jęk.

Leonardo przestaje na chwilę, patrzy na mnie, potem opiera czoło o moje. Ale jego usta są zbyt blisko, jego zapach jest zbyt dobry. Przygryza język. Pożądanie jest silniejsze od rozumu. I całujemy się znowu, bo to jedyna rzecz, jaką możemy zrobić, jedyna, jakiej pragnę w tej chwili. Mam nadzieję, że ciemność sprawi, że będę czuła się mniej winna, że to, co się dzieje, stanie się mniej realne. Ale w rzeczywistości jest odwrotnie – wszystko zdaje się prawdziwsze, intensywniejsze, a ukrywające nas cienie sosen nadmorskich chronią gwałtowność naszej żądzы jedynie przed niedyskretnymi spojrzeniami.

Leonardo unosi moją nogę, oplata ją wokół swoich. Czuję jego twardą, dominującą męskość, a moje sutki rozpoznają znajomy dotyk jego dłoni.

Osuwamy się na wilgotną trawę. Leonardo zdejmuje skórzaną kurtkę, rozpościera ją na ziemi i układa mnie na niej na plecach. Całuje mnie dziko, siedząc na mnie okrakiem, a jego palce przeczesują moje włosy, zjeżdżają szybko do mojej twarzy, a potem znów ześlizgują się pod koszulkę i pieścą moje piersi. Chwytam go za kark. Chcę czuć, jak jego wargi zaciskają się i ssą, aż zacznę jęczeć z rozkoszy.

– Elena, twoje piersi... – szepcze, oddychając ciężko. – Są cudowne, takie, jak je pamiętam. Chcę je lizać. Chcę cię lizać całą.

Rozpina mi dzinsy, po czym stanowczym ruchem wjeżdża dłońią pod moją bieliznę i wsuwa palce w wilgotną waginę. Przez kilka chwil pozostaje w tym ciepłym miejscu, poruszając się w środku, podczas gdy jego język szuka mojego. Jego oddech w moich ustach staje się coraz

cięższy, mocniejszy. Potem jednym, niemal brutalnym ruchem zdziera ze mnie wszystko, spodnie, majtki i buty, pozostawiając nagą od pasa w dół. Następnie odpina dżinsy, uwalniając swoją erekcję.

Patrząc na mnie, rozchyła moje nogi i nie odrywając oczu od moich, wchodzi we mnie zdecydowanym pchnięciem. Obejmuję go mocno za szyję, zamykam oczy i delektuję się tym wrażeniem wypełnienia, szalonym uczuciem bycia w jego posiadaniu. Czuję, jak pulsuje we mnie, wsłuchuję się w każdy centymetr jego skóry. Porusza się lekko, do przodu i do tyłu. Każdy ruch jest jękiem, falą ognia, który płonie wewnątrz mnie. Boże, jak mi tego brakowało...

Wiem, że nie wytrzymam długo. Leonardo przyspiesza, jakbyśmy musieli nadrobić cały ten czas, gdy byliśmy daleko od siebie. Moje nogi napinają się pod nim, rwie mi się oddech.

Teraz odpływam. Teraz nie liczy się już nic, tylko ten moment, ten kawałek ziemi, który staje

się naszym gniazdem, i nasze ciała, znów złączone i pulsujące. To zespolenie. Rozkosz, którą tylko on potrafi mi dać.

Mój orgazm jest silny, rozpaczliwy, wściekły. Leonardo podąża za mną, wychodzi ze mnie szybko i oblewa mój brzuch ciepłym nasieniem. Potem jego głowa opada na moją szyję.

Ściska mnie w żołądku, kiedy uświadamiam sobie, że czuję się jak po naszym pierwszym razie. Wtedy też byliśmy na ziemi, w holu, na posadzce brudnej od kurzu i tempery, i pamiętam dokładnie, jak leżałam obok niego bez ruchu i w milczeniu zadawałam sobie jedno jedyne pytanie: „I co teraz?”.

Teraz pytanie jest to samo, ale odpowiedź zupełnie inna: to nie początek, ale koniec. To chwila, w której puszczę rękę Leonarda i powiem mu „żegnaj”. Na zawsze. To był jeden wyskok, zdrada nie tylko Filippa, ale przede wszystkim siebie samej. Ale to pierwszy i ostatni raz, przysięgam.

Ubieram się bez pośpiechu. On zatrzymuje mnie jeszcze na chwilę blisko siebie, być może wyczuwając moje zmieszanie, i wielokrotnie całuje mnie w kark. Na szczęście nic nie mówi. Nie może powiedzieć nic, co sprawiłoby, że poczuję się lepiej.

Podnosimy się i ruszamy w kierunku motoru. Leonardo proponuje, że odwiezie mnie do domu.

Patrzę na niego i chce mi się płakać, ale udaje mi się powstrzymać łzy.

– Dzięki, ale wolę zadzwonić po taksówkę i wrócić sama – kiedy to mówię, coś chwyta mnie za gardło.

– Jak wolisz – odpowiada. – Ale poczekam razem z tobą.

Wiem, że nie mogę się sprzeciwić.

Leonardo zamawia dla mnie taksówkę i czekamy, stojąc przy krawędzi Il Fontanone. To krótkie oczekiwanie wydaje się nie mieć końca. Wokół nas panuje obciążona poczuciem winy cisza, przełamana jedynie pluskiem wody,

rozchodzącej się nieskończonymi kołami. On wydaje się dość spokojny. Palcem muska moje ramię, nie zdając sobie sprawy, że nawet ten drobny dotyk jest dla mnie trucizną. Zagryzam wargi, zamykam oczy i czuję, jak w moje rzęsy zaplątuje się ła. Leonardo chwytą mnie za ramiona i zbiera ją ustami.

– Nie chciałem, żebyś była smutna, Eleno. Nigdy tego nie chciałem.

Potem mocno mnie przytula, a ja mu się poddaję, w euforii i rozpaczycy jednocześnie.

W końcu przyjeżdża moja taksówka. Leonardo odciska mi na czole miękką pocałunek i pozwala odejść. Wsiadam do samochodu, nie oglądajęc się już za siebie.

W czasie jazdy z Gianicolo do EUR-u chwile podniecenia przeplatają się we mnie z momentami przejmującej melancholii. Każdy metr jest krokiem w stronę żalu za grzechy i odkupienia. Myślę o Filippie. Wyobrażam sobie, jak teraz wygląda nasze

mieszkanie: światła zgaszone, oprócz tych w salonie, pokój pogrążony w ciszy. I on w białej koszulce, śpi zwinięty w naszym łóżku.

Wyrzuty sumienia nie dają mi spokoju i wszystko to wina Leonarda. A może też trochę moja... Ale to on postawił mnie pod ścianą, wznosząc niewidzialną barierę między mną a osobą, którą kocham. Bo kocham Filipa. A to, co stało się przed chwilą, to tylko głupi wypadek przy pracy.

Kiedy otwieram drzwi domu i zastaję go czekającego na kanapie, śpiącego, tak jak sobie wyobrażałam, moje poczucie winy w końcu osiąga pełnię. Czuję się bardzo źle, lecz przyjmuję to niemal z ulgą, jako dowód, że nie jestem całkiem zgubiona.

– Hej, Bibi – mruczy Filippo, wyłaniając się kto wie z jakich snów. Siada na łóżku. Jego zielone oczy uśmiechają się do mnie zza zasłony snu. – Jak

było? Dobrze się bawiłaś z Paolą? – jego głos jest trochę zachrypnięty.

– Tak. Poza pracą to zupełnie inna osoba. – Na moich ustach pojawia się lekki uśmiech, który ma smak kłamstwa. – Ale nie musiałeś na mnie czekać...

Jak dziecko przeciera pięściami oczy.

– Oglądałem telewizję, jeden z tych usypiających programów, i zasnąłem – mówi, tłumiąc ziewnięcie.

Uśmiecham się, tym razem szczerze. Rozbraja ją mnie te jego miny. Nie byłabym w stanie bez nich żyć.

– Chodź – delikatnie wyciągam do niego rękę. – Idziemy spać.

Wchodząc pod kołdrę i udając, że nic się nie stało, czuję rozdzierający ból, ale pociesza mnie fakt, że ten wieczór to jedynie ostatni akt absurdalnej historii.

Od tej chwili moje życie toczyć się będzie bez Leonarda.

4.

W ciągu następnych dni robię, co w mojej mocy, by nie zboczyć z wyznaczonej drogi. Co rano po przebudzeniu przypominam sobie wszystkie postanowienia na przyszłość, powtarzam mantrę o „odgrzewanych kotletach” i „rozpoczęciu nowego rozdziału”. Krótko mówiąc – jeśli tylko będę naprawdę chciała, uda mi się zapomnieć o Leonardzie na zawsze.

Ale na niewiele się to zdaje. Mimo chęci i najlepszych zamiarów czuję się coraz bardziej zagubiona, balansuję na zawieszonej w powietrzu linie. Mam nieodparte wrażenie, że na tamtym trawniku na Gianicolo byłam naprawdę sobą, dużo bardziej niż przez cały ostatni okres, ale wiem też, że tamten wieczór był błędem. Jednym z tych błędów, które, jeśli nie zapobiegnie się im w porę, mogą wywołać niebezpieczną reakcję łańcuchową.

Jednym z tych, które budzą w sercu ból i powodują, że myśli się o przeszłości i źle żyje w teraźniejszości.

Szczęście Filippa, które w tych dniach graniczy z euforią, sprawia, że czuję się jeszcze bardziej osamotniona. On jest ciągle zadowolony. Ze swojej pracy, z życia, które prowadzi, z nas. Podśpiewuje więcej niż zwykle, od Luciego Battisti po Black Eyed Peas. Podśpiewuje w domu, na schodach. Podśpiewuje, gdy wychodzi do pracy albo pograć w piłkę z kolegami z pracowni. Ten jego entuzjizm niemal mnie irytuje. Ale czym prędzej przeganiam tę mimowolną myśl tam, skąd przyszła.

Jedna rzecz dodaje mi otuchy – co prawda od tamtej nocy wszędzie czuję zapach Leonarda, ale on sam przynajmniej się do mnie nie odezwał. Być może on także uważa, że nie miałoby sensu zbliżyć się do mnie na nowo, biorąc pod uwagę mój

aktualny status kobiety będącej w szczęśliwym związku.

Dokańczam właśnie odświeżanie błękitu płaszcza Maryi, próbując przekonać samą siebie o absolutnej prawidłowości swojego rozumowania. Jest prawie dziewięta trzydzieści, a Paola jeszcze nie przyszła. Obawiam się, że dziś rano już się nie zjawi, ale pilnuję się, by nie dzwonić do niej z pytaniem o wyjaśnienia. Skoro jej nie ma, musi istnieć jakaś ważna przyczyna: nie należy do osób, które nie przychodzą do pracy z powodu zwykłego bólu głowy. W porządku, jeśli zajdzie potrzeba, zadzwoni sama. To oznacza, że dziś będę pracowała w spokoju, wolna od jej czujnego spojrzenia.

A jednak nie jest mi to dane – przygotowując nową mieszankę barwników, podnoszę wzrok i dostrzegam zbliżającego się Leonarda. Ma na sobie dżinsy i koszulkę w kolorze wojskowej zieleni, porusza się z typową dla siebie pewnością i uśmiecha do mnie jak demon.

– Cześć – mówi.

– Cześć... Co tu robisz? – pytam nerwowo, próbując ukryć zaskoczenie i mieszając kompulsywnie w pojemniczku.

– Mam wolny dzień i zastanawiałem się, czy masz ochotę się gdzieś przejechać – odpowiada naturalnie.

– Właśnie pracuję – informuję, jakby nie było to dość jasne.

Podchodzi krok bliżej i wkłada ręce do kieszeni.

– Chodź... jest zbyt ładnie, żeby siedzieć tu w zamknięciu!

– Niestety, nie mam innego wyjścia.

Próbuję się wymknąć, odwracając się do ściany: dla mnie dyskusja jest zamknięta. Praca, wiemy to oboje, jest tylko wymówką – w rzeczywistości jego nie powinno tu być, a ja nie powinnam czuć tego ukłucia w żołądku.

Skupiam się znowu na kolorach albo przynajmniej udaję, że to robię, czuję jednak ciężącą nade mną obecność. Leonardo przybliżył się i podaje mi

białą torebkę z czarnym logo Dolce & Gabbana. Odwracam się znowu w jego stronę.

– A to co?

– Otwórz.

W środku jest przepiękne czarne bikini. Kręcę głową.

– Ale co to ma znaczyć?

– Jedziemy nad morze – mówi, spokojny i pewny siebie.

– Zwariowałaś?

Histeryczny śmieшек wydobywa mi się z ust. Cofam się o kilka kroków i odkładam torebkę na stopień drabiny.

Leonardo staje przede mną z wyzywającą miną, uroczysty, jak tylko on potrafi być.

– No, chodź... to tylko pół dnia. Wybrzeże o tej porze roku jest niesamowite.

Kiedy to mówi, jego wargi są nieznośnie zmysłowe.

– Lepiej nie, ty też o tym wiesz – odpowiadam poważnie. Potem postanawiam stawić mu czoło. –

Nie chodzi o czas. Rzecz w tym, że nie powinniśmy się widywać i kropka.

– Eleno – zbliża usta do mojego ucha i muska mnie swoim zapachem, nie robiąc sobie zupełnie nic z tego, co przed chwilą powiedziałam. – Pojedź ze mną, ten jeden raz.

Chciałabym nie czuć tego wiru w brzuchu, chciałabym dać mu w twarz i odepchnąć go daleko od siebie. A poza tym chciałabym, żeby mnie porwał i zabrał ze sobą.

Z niewypowiedzianym wysiłkiem odsuwam się i próbuję trzymać mojego postanowienia.

– Słuchaj, nie mam ochoty.

– Ależ masz ochotę – uśmiecha się, jakby nakrył mnie na kłamstwie. Zbliża się i powoli odsuwa mi kombinezon, przesuwając po mnie wzrokiem. – No już, zdejmij to – nalega. – Jeśli mnie zmusisz, żebym cię rozebrał, już mnie nie powstrzymasz...

Patrzy na mnie, ja patrzę na niego. Uśmiecham się mimo woli. Waham się, a on doskonale o tym

wie. Z głębokim westchnieniem kręcę głową, odsuwam jego rękę od zamka i jednym ruchem rozpinam go do końca. Ustąpiłam, a on z zadowoleniem patrzy, jak wychodzę ze swego pancerza i oddaję się w jego ręce, uległa, bezbronna. Niech go, znowu wygrał...

– Ale obiecaj mi, że wrócimy przed siódmą! – zastrzegam, zbierając swoje rzeczy.

– Jasne, co tylko chcesz – zgadza się szybko, nawet nie słuchając, a potem łapie mnie za rękę i ciągnie wzdłuż nawy w kierunku wyjścia.

Serce bije mi w piersi jak zwariowane. To szaleństwo, wiem o tym, ale przez moment mam znowu piętnaście lat, jak wtedy, gdy na chwilę przed wejściem do klasy Gaia przekonywała mnie, żeby iść na węgry. Doświadczam tego samego uczucia wolności, czuję tę samą ekscytację, jaką daje czas odebrany obowiązkom, tych kilka godzin pełnych obietnic, kiedy wydaje się, że wszystko może się zdarzyć.

Na schodach kościoła spotykamy Martina. Właśnie nadchodzi, zdyszany jak zwykle, z teczką pod pachą i skórzaną torbą na pasku. Ujrzawszy mnie obok Leonarda, posyła mi spojrzenie, które od zdumienia szybko przechodzi w rozczarowanie.

– Cześć, Martino – wołam, zostawiając Leonarda, i wychodzę mu naprzeciw.

– Już sobie idziesz? – pyta.

Z jego tonu wnioskuję, że chciał ze mną spędzić trochę czasu.

– Tak – odpowiadam, rozkładając ręce, jakbym się usprawiedliwiała. – Dzisiaj robię sobie dzień wolny.

– Aha – kąciki jego ust opadają, kiedy ukradkiem przygląda się Leonardowi.

Potem znów spogląda na mnie, jakby szukał wyjaśnienia, ale ja nie wiem, co powiedzieć, i wzruszam ramionami z uśmiechem, który ma oznaczać przeprosiny.

Martino kiwa głową, jakby wszystko zrozumiał.

– W porządku, idę do świętego Mateusza...

Żegna mnie skinieniem ręki i nie oglądając się, rusza w stronę wejścia.

– Do następnego! – krzyczę z daleka, ale on idzie prosto przed siebie.

– Kto to był? – pyta Leonardo, biorąc mnie znowu za rękę.

– Student ASP, przychodzi tu oglądać obrazy Caravaggia.

– Jest w tobie po uszy zakochany, wiesz o tym, prawda?

– Coś ty... – kwituję machnięciem ręką. – Ma dopiero dwadzieścia lat.

– No właśnie – odpowiada z przekonaniem.

Kręcę głową i lekko się uśmiecham. W rzeczywistości dotychczas niewiele o tym myślałam, ale wyraz, jaki przybrały oczy Martina, kiedy na mnie patrzył, czynią tę hipotezę więcej niż wiarygodną. Mam nadzieję, że nie zrobiłam mu przykrości.

Wszystkie myśli się rozplywają, kiedy wsiadam na ducati i przytulam się do Leonarda. Przyciśnięta do jego pleców czuję się wolna i bezpieczna. Mkniemy w stronę wybrzeża, poranna bryza łaskocze nasze twarze, a na błękitnym niebie nie ma ani jednej chmury. Dobrze się czuję na tym motorze. Dobrze się czuję z nim i uświadamiam sobie, że nie chciałabym być nigdzie indziej. Już kiedy jedziemy Pontiną⁸, powietrze zaczyna pachnieć solą, glonami, lasem piniowym. Morzem.

Przed nami zarysowuje się Sabaudia, która ze swoją nierealną atmosferą wygląda jak z obrazu De Chirica. Teraz rozumiem, dlaczego rzymscy intelektualiści w latach pięćdziesiątych obrali ją za swoją metę. Jest w tym miejscu coś magicznego, fascynująca mieszanka morza, jeziora, mokradeł, lasu i pustyni. Ducati sunie po asfalcie nabrzeża, wzdłuż którego kilometrami ciągną się pokryte makią wydmy, aż w końcu dojeżdżamy do Monte Circeo, gdzie połączana biel piasku ustępuje zieleni nadmorskich skał.

Leonardo parkuje motor na placyku przy drodze, a stamtąd ruszamy na piechotę i schodzimy drewnianymi schodkami, które prowadzą na plażę. On co kawałek z troską podaje mi rękę, pomagając przy zejściu. Jest uważny, sprawia, że czuję się bezpieczna. Kiedy przebywam z nim, nie brakuje mi niczego. To okropne, że to mówię, ale nie brakuje mi nawet Filippa.

– Boże, jakie piękne są te wydmy! – wołam z oczami pełnymi zachwytu.

Wiatr pozostawił na bielusieńkiej plaży rysunki i arabeski, które przypominają prawdziwe dzieła sztuki. Oddycham głęboko, a słone powietrze spływa mi do płuc.

– Mówiłem ci, że warto... – mówi Leonardo, pieszcząc mnie spojrzeniem.

Potrzebowałam świeżego powietrza, naturalnego światła. Kocham swoją pracę, ale niszczy mi ona oczy, skórę – zawilgocone ściany, rozpuszczalniki, kurz, rusztowania, pędzelki do czyszczenia... Wydzierająca się Paola. Brakowało mi

przebywania na powietrzu, a to miejsce, z dziką naturą i przezroczystą wodą, jest rajem.

Chłopak z wypożyczalni leżaków wychodzi nam naprzeciw. Choć mamy dopiero maj, jest już opalony, a jego włosy – rozjaśnione od słońca. Wskazuje dwa leżaki nad samym brzegiem i pyta, czy chcemy coś do picia. Zamawiamy dwa pro-secco, po czym chłopak zostawia nas samych. Wokół jest niewiele osób: mama z dwójką małych dzieci i starsza para o zaczerwienionej skórze, być może Niemcy.

Leonardo rozpina koszulę, zbliża się do wody, podwija spodnie i zanurza stopy w morzu. Wygląda, jakby był w swoim żywiole: ze swoim kilkudniowym zarostem i opaloną klatką piersiową mógłby być marynarzem. Odwraca się w moją stronę.

- Nie chcesz włożyć kostiumu?
- A ty?
- Ja mam swój pod spodem.

Biorę torbę i idę się przebrać do jednej z kabin. Muszę przyznać, że Leonardo ma dobry gust: bikini jest piękne, z klasą. Górę zawiązuje się na karku, to mój ulubiony model: podkreśla plecy, jedyną, obok ramion, część mojego ciała, którą naprawdę lubię. Przesiadując godzinami z napiętymi mięśniami na rusztowaniach albo drabinie wyrobiłam sobie ramiona jak pływaczka!

Dobrze, jestem gotowa. Teraz muszę tylko wrócić tam, rozłożyć się na leżaku i odprężyć. Przez chwilę widzę uśmiech Filippa, jego dołączki, jego jasnozielone oczy, a potem ta łagodna twarz staje się lodowata. Lecz kiedy otwieram drzwi kabiny, oślepia mnie światło słoneczne i z miejsca wymazuje tę wizję.

Leonardo czeka na mnie przy leżaku, w okularach przeciwsłonecznych i z kieliszkiem w ręku. Zdjął ubranie i został w samych kąpielówkach. Jego ciało jest masywne, pełne i szalenie seksowne. Niewiarygodnie seksowne. To nie jest jedno z tych

wyćwiczonych na siłowni, przerysowanych ciał; jego mięśnie wyglądają bardziej na uformowane przez wysiłek na świeżym powietrzu niż godziny treningu. Ma lekko zaznaczony brzuch, jak przysłało na kucharza i człowieka o jego naturze – czyli takiego, który umie cieszyć się życiem. A tatuaż na plecach dodaje mu nieodpartego uroku: nie potrafię oderwać od niego oczu.

Biorę swój kieliszek, stojący na stoliku obok miseczki z orzeszkami ziemnymi.

Leonardo przygląda mi się z zadowoleniem, a ja nagle zdaję sobie sprawę, że nie jestem całkiem gotowa, by pokazać się w kostiumie kąpielowym. W ciągu ostatnich miesięcy, nie bez związku z rozprężającym poczuciem pewności u boku Filippa, trochę przestałam się pilnować przy stole...

– Dobrze wyglądasz w tym bikini – chwali mnie Leonardo, a jego spojrzenie zatrzymuje się na moich piersiach.

Rzeczywiście, ten kostium naprawdę czyni cuda – przekształcił moją dwójkę w pełną trójkę. Zresztą i tak zauważyłam już, że nie wiem co prawda dlaczego, po tym jak się kochaliśmy, mój biust zyskał pół numeru.

Moim słabym punktem, który doprowadza mnie do rozpacz, pozostaje natomiast pupa: nigdy nie będzie krągła i jędrna, tak jak bym chciała. A do tego z tyłu ud mam jeszcze ten okropny celulit, który może nie rzuca się w oczy, ale sprawia, że czuję się niedoskonała i skrepowana. Na dodatek nie mogę się go pozbyć, mimo używania drogich i ohydnych preparatów z błota termalnego, które poleciła mi Gaia. Jasne, może powinnam używać ich bardziej regularnie – nałożyłam trzy razy, za czwartym zrezygnowałam, bo zaczęłam mieć dość upapranej piżamy i łóżka oraz budzenia się z lepką skórą.

Tymczasem Leonardo, sądząc po spojrzeniu, jakim mnie obrzuca, zdaje się cieszyć każdym fragmentem mego ciała. Schlebia mi to i daje

satysfakcję. Chyba nic nie przynosi takiego zadowolenia jak świadomość, że podobasz się mężczyźnie – obiektowi twoich pragnień.

– Chodźmy – mówi nagle, łapiąc mnie w tali, i ciągnie w stronę wody.

Zanurzamy się razem w zielonkawym, ciepłym Morzu Tyrreńskim. Leonardo goni mnie i ochlapuje, wznosząc rękami strumienie wody, a ja czuję się lekka, żywa, inna. Potem szukamy się pod wodą i splatamy ręce i nogi, jakby to były macki. Odgarniam mu z twarzy mokre włosy i całuję go w usta, które teraz mają słony smak. On przyciąga mnie za uda i pozwala mi poczuć swoją twardą męskość, potem odsuwa mój kostium i zaczyna drażnić jeden z sutków. Drugą ręką dotyka moich pośladków.

Oboje jesteśmy podnieceni i już mamy zamiar zrobić kolejny krok, ale nadejście matki z dwójkiem dzieci każe nam porzucić wszelkie fantazje. Uśmiejemy się do siebie i wychodzimy z wody, odkładając wszystko na potem.

Odciskam wodę z włosów i mam zamiar położyć się na leżaku.

– Chodź tutaj – woła mnie, robiąc miejsce obok siebie.

Obejmuje mnie ramieniem. Ja zaś przytulam się do jego ciepłego ciała. Siedzimy tak w ciszy, kołysani szumem fal i własnymi oddechami. Stopą dotykam drobnutkiego piasku i kopię w nim dołek. Przypominam sobie, jak w dzieciństwie bawiłam się na plaży na Lido, aż miałam ziarenka wszędzie, ku rozpaczy mojej matki. Czasami, tak jak teraz, trochę tęsknię za rodzicami. Ciekawe, co teraz robią? Mogę powiedzieć z dużą dozą pewności, że moja mama jest w kuchni i przygotowuje jedno ze swoich kulinarnych arcydzieł albo robi zakupy. Tata natomiast może być u Antonia, swojego najlepszego przyjaciela, także byłego marynarza, i wspólnie spisują listę nowych chętnych do oddziału wolontariuszy Protezione Civile. Wiem, że teraz aktywnie poświęca się wolontariatowi (dużo bardziej niż majsterkowaniu!). Nie

mają w zasadzie żadnego pojęcia o tym, co się ze mną działo w ciągu ostatnich miesięcy, i na pewno myślą, że żegluję teraz po bezpiecznych wodach razem z Filipem, podczas gdy w rzeczywistości jestem tutaj, nad wspaniałym morzem, w ramionach mężczyzny, który dosłownie wywrócił do góry nogami moje życie. Nie ma sensu zaprzeczać, Leonardo wciąż jest częścią mnie, pozostał na mnie jak przyklejony do skóry piasek.

– Jak się czujesz? – pyta w pewnej chwili, wpatrzony niezmiennie w jakiś punkt na horyzoncie.

Jego pytanie, choć tak ogólne, wprawia mnie w zakłopotanie. Zastanawiam się, co też naprawdę chce wiedzieć.

– Masz na myśli, jak się czuję teraz?

– Tak, ale nie tylko – mówi i zwraca się w moją stronę, spoglądając na mnie, jakby chciał wyczytać we mnie odpowiedź. – Jak się czujesz teraz i jak się czujesz ogólnie, po tamtym wieczorze.

Tego pytania wolałabym uniknąć. Żeby udzielić odpowiedzi, musiałabym wprowadzić minimum porządku w chaos moich myśli i uczuć, które kotłują się we mnie od kilku dni. Próbuję to zrobić i nieoczekiwanie czuję, jak opanowuje mnie dziwna euforia. Bo pomimo poczucia winy i ciężaru zdrady, od dawna nie zdarzyło mi się przeżywać chwili w sposób tak intensywny. Być może odkąd przestałam się spotykać z Leonardem.

– Kiedy jestem z tobą, jest mi dobrze – odpowiadam. – Ale tylko jeśli nie myślę o całej reszcie.

Kiwa głową, może on też czuje to samo.

– A ty? – pytam, jakbym szukała potwierdzenia.

– Ja staram się wycisnąć z tego życia to, co najlepsze, Eleno, tak robię zawsze. I przynajmniej dziś wydaje mi się, że się udało.

Pod jego ciemnymi brwiami gęstnieje przez chwilę ponury cień. Potem Leonardo się uśmiecha, a cień znika.

– Chodź, przejdziemy się – rzuca, zaczynając się ubierać.

Idziemy kawałek wzdłuż brzegu, pozwalając pieścić się falom. Z dziecięcym entuzjazmem przyglądam się, jak ślady naszych stóp znikają na wilgotnym piasku. Leonardo bierze mnie za rękę, jakby zamierzał mnie zaprowadzić w jakieś konkretne miejsce.

Plaża w Sabaudii ma ulotną atmosferę; niewiele tu osób, niewiele spojrzeń, niewiele głosów. Z jednej strony morze, z drugiej wydmy i rząd luksusowych willi, azyl rzymskich wyższych sfer, o tej porze roku wciąż jeszcze świecący pustkami.

W oddali przed nami widać niewielki ponton przycumowany przy brzegu. Docieramy do niego, po czym Leonardo obchodzi go i przygląda się mu uważnie, jakby się upewniał, czy wszystko w porządku.

– Przepłyniemy się, co ty na to? – proponuje.

Temu zaproszeniu nie jestem w stanie się oprzeć.

– A to nie należy do kogoś? – pytam, starając się nie ustąpić od razu.

– Należy do Saporetiego, właściciela tamtej restauracji – wskazuje na stojącą sto metrów od nas chatkę.

Po chwili na werandzie pojawia się mężczyzna. Widzę, jak wymachuje do nas na powitanie. Domyślam się, że to właśnie właściciel lokalu, a także pontonu.

– To mój przyjaciel – wyjaśnia Leonardo. – Zaraz ci go przedstawię.

Saporetto podchodzi do nas i wita się serdecznie. Mówi z silnym akcentem z Lacjum, ale nie z Rzymu. Ma jakieś sześćdziesiąt lat, spaloną słońcem skórę i całkiem białe włosy oraz szerokie i kordialne gesty człowieka, który zwykł przebywać z ludźmi i wciąż, po tylu latach pracy, lubi mieć z nimi kontakt. Wygląda na to, że zna się z Leonardem od dawna, a po sposobie, w jaki

rozmawiają, można by sądzić, że niejedno razem przeszli.

– Płyńcie, ależ oczywiście – zachęca, wskazując ponton. – Popływajcie, ale potem wpadnijcie w porze obiadu na spaghetti allo scoglio... Wiesz, o czym mówię, prawda, Leona’? – skraca jego imię z regionalną manierą.

– Nie musisz dodawać nic więcej – Leonardo się poddaje i unosi rękę.

Saporetty żegna się z nami, zapraszając na później, a Leonardo odwiązuje sznur pontonu i wypycha go na wodę. Wciąż jestem pod wrażeniem siły jego ramion, jakbym widziała je po raz pierwszy: ma się wrażenie, że jego mięśnie zaraz rozsadzą skórę.

Pomaga mi wsiąść, po czym wybija się mocno i ląduje obok mnie, a następnie włącza silnik i wypływamy na morze.

Jest prawie południe, ale słońce nie pali, łagodzone przyjemnym wiatrem dochodzącym z nad Circeo. Fale rozbijają się o ponton, wyrzucając nas

leciutko w górę. Krople wody lądują na mojej twarzy, a ja pozwalam im się pieścić, szczęśliwa, że oddycham wolnością. Na myśl, że powinnam być teraz w pracy, pod surowym okiem Paoli, przebiega mnie dreszcz. To jest moja mała, choć z pewnością nie niewinna, ucieczka. I muszę starać się nią cieszyć.

Po kilku minutach docieramy do zatoczki położonej poniżej szczytu cypla. W tym miejscu góra rzuca się w morze w niezwykłym mariażu ziemi z wodą. Ta pierwotna, dzika natura jest czystą energią, która dodaje mi wigoru.

Leonardo gasi silnik. Ściągamy znowu ubrania i poddajemy się kołysaniu fal. Kładę się, opierając głowę na brzegu pontonu, i wystawiam się na słońce, zakrywając ręką oczy. Mija chwila, po czym Leonardo unosi mój podbródek i całuje mnie namiętnie, wsuwając w moje usta swój rozpalony język, i przyciąga do siebie za kosmyk jeszcze wilgotnych włosów. Ten pocałunek jest pełen pasji, niecierpliwym: Leonardo dopomina się o mnie.

Dosłownie tracę oddech. Potem podnosi się, przesywa mnie płonącym wzrokiem i wskakuje do wody.

Może to zaproszenie. Może to spojrzenie i ten pocałunek oznaczają: „Chodź ze mną, na co czekasz?”. Rozpinam więc koszulę i skaczę za nim. Podpływam do niego, a woda lśni od światła. Leonardo obejmuje mnie swymi mocnymi ramiunami i w tym momencie czuję, że chcę dać się ponieść, chcę stać się z nim jednością, tu, pośród morza, gdzie wokół jest tylko woda i słońce. Moja skóra przy jego skórze, która teraz stała się łagodną, ciepłą falą.

Między nami jest przyciąganie, gra, ogień. Leonardo wpycha mnie kilka razy pod wodę i śmieje się za każdym razem, gdy się wynurzam, wymachując rękami. Potem przyciąga mnie tyłem do siebie i czuję, jak jego ręce unoszą mnie do góry, a jego męskość przesuwa się między moimi pośladkami. Agresywny pocałunek w szyję, potem ugryzienie, które jakby razi mnie prądem. Jego

kolano dotyka mnie między nogami, moja mokra wagina płonie, a całe ciało przebiega dreszcz, który pnie się od brzucha aż do głowy.

I wtedy Leonardo zostawia mnie i rusza wplaw do skał u stóp wzniesienia. Płynę za nim. Trzymając się przywiązanej do brzegu liny, wspina się na kamienie i dociera do fragmentu skały o gładkiej powierzchni. Podaje mi rękę, pomagając wyjść na brzeg, po czym przyciska do siebie, całując zapalczywie. Potem odwiązuje mi górę bikini i pewnym ruchem ściąga dół.

Stoję przed nim naga, a jego oczy, płonące żarem silniejszym niż ogień, rozgrzewają moje ciało. Przygląda mi się, jakby w całym swoim życiu nie pożył niczego innego.

– Mógłbym tak patrzeć na ciebie przez cały dzień – mówi.

Potem ujmuje moją dłoń i przyciska do swojej męskości, pozwalając mi poczuć przez spodenki, jak bardzo mnie pragnie. Zdejmuję je, rzucam na mój kostium i przywieram do jego nagiego ciała.

Muszę zostawić na nim swój ślad, ślad swojego pożądania. Wygląda nadzwyczajnie sexy, młodo i lekkomyślnie. Zapach jego mokrej skóry jest upajający jak nigdy. Uśmiecha się do mnie swoimi ciemnymi oczyma i uśmiechają się też zmarszczki wokół jego oczu, co od zawsze doprowadzało mnie do szaleństwa.

Leonardo delikatnie układa mnie na gładkiej, rozgrzanej skale – parzy, ale moje ciało jest nie mniej gorące. Kładzie się na mnie, unieruchamiając moje dłonie nad głową i przytrzymując moje uda między swoimi kolanami.

– Masz pojęcie, jak na mnie działasz? – wzdycha.

– Nie – oddycham z trudem, a moje ciało całe się pod nim napręża.

Leonardo się uśmiecha.

– A właśnie, że masz. – Wsuwa dwa palce między moje nogi, a drugą dłoń kładzie na moich ustach.

Zaczynam jęczeć, odpowiadając na głębokie ruchy jego wprawnych palców. Jak gdyby chciał doprowadzić mnie do końca w ten sposób, nie wchodząc we mnie. A ja chyba już tracę kontrolę. Chociaż nie chcę dojść w ten sposób: pragnę poczuć w sobie jego erekcję.

Jestem już prawie u kresu, gdy Leonardo kładzie się na mnie i wypełnia mnie swą mokrą, płonąca żądzą. Kładzie moją rękę na swojej talii i przytrzymuje ją u podstawy pleców, po czym, trzymając mnie owiniętą w ten sposób wokół siebie, wchodzi we mnie jeszcze mocniej. Porusza się w rozdzierającym rytmie. Nasze oddechy łączą się w jedność i stają się coraz bardziej chrapliwe i urywane. Czuję to znajome ciepło, które ogarnia mój brzuch, zaciska się wokół mnie i ogłusza, wymazując wszystko, co dzieje się poza moim ciałem.

To właśnie robi mi Leonardo. Nie pyta o pozwolenie, nie pozwala sobie poznać, zrozumieć, ale przywłaszcza mnie sobie – bierze, nie napotykając

oporu, a ja nie jestem już w stanie myśleć o niczym. Istniejemy tylko ja i on na tym zagubionym skrawku świata, na tej rozpalonej skale, wobec tego morza, które asystuje przy spektaklu naszej namiętności i zdaje się zachęcać nas swoimi falami.

Poruszam się pod nim, dołączając do jego rytmu. Coraz bardziej podniecona, domagam się orgazmu, którego obietnicę mi daje.

– Jeszcze, proszę, nie przestawaj, pieprz mnie – szepczę mu do ucha.

Potem w jednej chwili obraca mnie i pochyła w przód – zgniata mnie niemal swoim ciężarem i swoją siłą. Bierze mnie od tyłu, a ja nie mogę uciec, jestem więźniem jego pragnienia. Jest brutalny i teraz chce mnie właśnie w ten sposób.

Oddaję się zupełnie, aż dochodzimy razem, upojeni wzajemną rozkoszą.

– Boże, Eleno – szepcze, obsypując pocałunkami moje plecy. – Jesteś jak narkotyk, przy

tobie tracę kontrolę, jak nigdy dotąd, i nachodzą mnie takie myśli... Nie mogę ci się oprzeć.

Patrzę na niego, po cichu liczę do trzech, a potem mówię to, czego nie powinnam:

– Więc nie rób tego.

Skaczymy raz jeszcze do wody, tym razem nago. Teraz już nic nie wydaje mi się zakazane. Z nim, jemu, dla niego zrobiłabym wszystko. Wyłaniamy się z fal, kładziemy się na skałach i schniemy na słońcu. Potem wracamy pontonem i tak jak obiecaliśmy, zatrzymujemy się u Saporetiego na obiad.

Leonardo opowiada mi, że ta stojąca na piasku drewniana chata to historyczny lokal: przychodzili tu Pasolini i Moravia, Fellini i Bertolucci. W środku ogarnia mnie wrażenie, że cofnęłam się w czasie, że jestem we Włoszech lat sześćdziesiątych, z tymi obrusami w biało-niebieską kratkę, z lampami z trzciny, krzesłami z lakierowanego drewna.

Saporetti przyjmuje nas z ciepłym uśmiechem i nie czekając, aż zamówimy, oznajmia, że nasze spaghetti już się robi. Wygląda na to, że to jego danie popisowe. A jeśli tak twierdzi Leonardo, można być tego pewnym... Mimo że, na ile zdążyłam się zorientować, jego własna kuchnia jest dużo bardziej wyszukana i eksperymentalna. W skrócie, Saporetti to tradycja, Leonardo – nowatorstwo.

Czekając, próbujemy przepysznego białego wina Circeo.

– Dziwne – odzywa się Leonardo, prawie jakby mówił do siebie. – Nie wiem już, czy jesteś tą samą Eleną, którą poznałem, wydajesz mi się... inna. I nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale to bardzo silne przeczucie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że wydajesz się bardziej kobieca, jakbyś w krótkim czasie dojrzała... Wiem, że cię to rozśmieszy.

Obserwuję, jak pociąga łyk z kieliszka i nagle widzę siebie jego oczami. Jaką byłam, kiedy mnie poznał, i jaką jestem teraz: Elenę sprzed siedmiu miesięcy – samotną, niezdecydowaną dziewczynę – i dzisiejszą Elenę, w szczęśliwym związku i z większym bagażem doświadczeń. Są tak różne, lecz pod jednym względem przeraźliwie identyczne – nieodparcie i niezdrowo fascynuje je ten mężczyzna.

– Tak, być może się zmieniłam, na dobre albo na złe, w każdym razie masz w tym swój udział – przyznaję w końcu, a w głowie pojawiają mi się migawki z naszego romansu, szczegóły, które wcześniej wymazałam lub po prostu zapomniałam.

Zapada cisza.

Przerywa ją Leonardo.

– Nadal mnie nienawidzisz?

– Oczywiście, że cię nienawidzę, ale jeśli miałabym się cofnąć, wszystko zrobiłabym tak samo. Niczego nie żałuję – odpowiadam, patrząc mu w oczy, tak pewna siebie, jak nie byłam od dawna.

Złość, którą nosiłam w sobie, ustąpiła czemuś w rodzaju zauroczenia, świadomego zagubienia, które sprawia, że nieco drżą mi nogi. Ale już się nie boję.

– Proszę bardzo! – wraz z nadejściem Saporetiego atmosfera pryska, a nasza uwaga przenosi się na dwa wspaniałe talerze makaronu, na których, niczym na wystawie, wyeksponowane są wszystkie stworzenia żyjące w Morzu Śródziemnym.

– Jesteś głodna? – pyta Leonardo, widząc, jak niezręcznie próbuję nawinąć na widelec zbyt dużą porcję makaronu.

– Nie wiesz, że morskie powietrze zaostrza apetyt? – odpowiadam z uśmiechem.

Wczesnym popołudniem wracamy do domu. Nie mam wyboru, muszę wstąpić do Leonarda. Muszę wziąć prysznic i zmienić styl plażowy na miejski, żeby móc wrócić do Filippa i nie wzbudzić podejrzeń. Gdyby zobaczył mnie teraz, w ciągu sekundy zorientowałby się, że nie byłam w pracy.

Poza tym na mojej skórze pozostała szkarłatna litera zdrady i nie chodzi tylko o piasek, sól i opaleniźną – to zapach Leonarda, jego pot, jego dłonie, które wciąż czuję na sobie.

Mieszkanie znajduje się na Zatybrzu, kilka kroków od placu Trilussa, na trzecim piętrze stojącej nad rzeką kamienicy bez windy. Pełen światła apartament, niedawno odnowiony, ze wspaniałym widokiem na miasto i luksusowymi wykończeniami – cedrowym parkietem, kuchnią z blatami z marmuru kararyjskiego, antresolą w kolorze czerwieni pompejańskiej i wielkim łóżem małżeńskim na środku.

– Chcesz czegoś do picia? – pyta Leonardo, wskazawszy mi miejsce na kanapie.

– Tak. Poproszę szklanke wody. – Dzisiejszy dzień w przyjemny sposób mnie odwodnił.

– Nie przesadzasz przypadkiem? – komentuje drwiąco.

Chyba próbuje rozluźnić nieco atmosferę.

Pogwizdując jeden z tych nieznośnych letnich przebojów, który chyba znam, Leonardo otwiera lodówkę i wyciąga butelkę schłodzonej Fillico King. Czy to możliwe, żeby musiał odróżniać się wszystkim, nawet wodą? Dołącza do mnie z dwoma kieliszkami. Wychyłam swój duszkiem i nim zdąży mi przeszkodzić, biegnę do łazienki się ogarnąć.

Przeglądając się w lustrze obramowanym weneckimi sztukateriami, stwierdzam, że zamiast policzków mam dwa ognistoczerwone pomidory. Nie wiem, jak długo utrzyma się ten efekt, ale mam nadzieję, że zniknie całkowicie, nim wrócę do domu. Odkręcam prysznic i zamierzam pozostać pod nim przez dłuższą chwilę.

Zdjąwszy górę od kostiumu, dostrzegam w lustrze Leonarda, który stanął na progu łazienki. Przypatruje mi się z łobuzerską miną i drapieżnym uśmiechem na ustach.

Rzucam mu pytające spojrzenie, ale doskonale wiem, czego chce – mówią mi to jego pełne

pożądania oczy, oddech na mojej szyi, palce muskające moje sutki. Zanim zdążę wypowiedzieć jakiegokolwiek słowo, on chwyta mnie i popycha pod ścianę.

Jego dłonie znów są na mojej wciąż nagrzanej od słońca skórze. Jesteśmy dwoma magnesami, dwiema elektrodami, dwiema nutami, których nie sposób rozdzielić. Jego nienasycone usta domagają się mnie.

W tym momencie powstrzymuję go. Czuję, że tym razem to ja chcę być panią sytuacji. Chcę, żeby był mój.

Moja dłoń momentalnie przesuwa się na jego pośladek. Instynktownie przyciskam biodra do jego. Leonardo mnie pragnie, czuję to. Jego żądza drży niecierpliwie pod materiałem spodni. Jestem ogłuszona i podniecona, kiedy zdaję sobie sprawę, jak gwałtownie mnie potrzebuje. Moje palce wplątują się w jego włosy i ciągną je mocno, utrzymując go tuż przy mnie.

– Czy to możliwe, że nigdy się tobą nie nasycę? – dyszę mu w twarz.

Wiem, że on czuje to samo. I mówię mu to oczami, a krew w moich żyłach płonie. Rozsuwam zamek jego spodni, by dostać się do twardej, rozpalonej męskości. Leonardo odchyła głowę do tyłu, a rękami opiera się o ścianę za mną. Przesuwając plecami po płytkach, zsuwam się na podłogę, a w końcu kucam przed nim i wtedy mój język leciutko go muska. Potem pozwalam mu wsunąć się między moje wargi, rozkoszując się smakiem jego ciała z domieszką soli morskiej. Czuję, jak Leonardo drży z rozkoszy, dotykam jego nóg, zaciskam dłonie na jego pośladkach, ssąc powoli. Sycę się tym podskórnym dreszczem, który w nim wyzwoliłam. On gładzi moje włosy, a potem ciągnie je, niemal do bólu, popycha moją głowę ku sobie, chce, żebym doprowadziła go do końca, a kiedy jest już prawie u szczytu, odsuwa mnie delikatnie i całuje. Całuje swoją rozkosz, swój smak, trzymając mnie wciąż za włosy, potem

odchyła mi głowę na tyle, by móc spojrzeć mi w oczy, zarazem groźny i posłuszny.

– Oszaleję przez ciebie.

Wreszcie przyciąga mnie gwałtownie i zatapia zęby w mojej szyi.

– Nie... proszę! – błagam w niesamowitym przeblysku trzeźwości umysłu. – Nie zostawiaj mi śladów!

Bierze mnie za ramię i popycha pod prysznic, gdzie wciąż leje się woda. Dociska mi twarz do ściany, a potem, w niemal zwierzęcym porywie, chwytając mnie za biodra i zmuszając, bym wygięła plecy. Bez ceremonii wchodzi we mnie, ostro, brutalnie i szalenie podniecająco. Porusza się we mnie, dyszy, jego biodra wsparte na moich, jego pierś na moich plecach, a woda oblewa nas, lecz nie może ugasić ognia, który mamy w sobie.

Jego dłonie szukają moich warg, które rozchylają się posłusznie, by jego palce mogły zacząć zabawę z moim językiem, a z moich ust

wydobywają się dźwięki, o które nawet bym siebie nie podejrzewała.

– Dalej, Eleno! – warczy mi do ucha. – Chcę słyszeć, jak jęczysz!

I wtedy, niczym instrument posłuszny jego rozkazom, moje ciało wytwarza wszechogarniający orgazm, który wypełnia mi duszę i wychodzi przez gardło głębokim, ochryłym krzykiem.

Leonardo, zupełnie oszalałam na twoim punkcie.

Dokładnie w chwili, kiedy się ubieramy, przychodzi SMS. Mój iPhone, leżący na umywalce, podświetla się na czerwono. Domyślam się, kto to może być o tej porze, lecz w duchu mam nadzieję, że się mylę. Niestety, nie.

Bibi, jak idzie?

Kolacja w domu czy na mieście?

Buziak

Czuję ukłucie w sercu. Jestem suką. Zdrajczynią. Podciągam ramiączko stanika i walczę, by zdusić w sobie udrękę, ale od razu przegrywam, co Leonardo natychmiast zauważa.

– To twój chłopak? – pyta, nieszczerze zakłopotany.

– Tak – odpowiadam, odpisując Filippowi, że wolę dziś zostać w domu.

On nie mówi nic i całuje mnie w czoło, potem wychodzi z łazienki i kończy się ubierać w pokoju.

Kręcę głową, zamykam drzwi i patrzę na siebie w lustrze: wyglądam normalnie, nie mam wypalonego żadnego znaku hańby. Ale czuję na barkach ciężar mojej dzisiejszej konspiracji.

Zadaję sobie pytanie – czy naprawdę kocham Filippa?

Tak, kurwa, kocham go, jestem tego pewna.

Więc dlaczego pożądam Leonarda?

Przeczytałam gdzieś, że najczęściej nie pożąda się tego, co się kocha, ani tego, co się szanuje. I przede wszystkim nie pożąda się tego, do czego

jest się podobnym. Może to prawda, ale to nie jest odpowiedni moment, żeby o tym myśleć. Muszę wracać do domu.

Idę do Leonarda, który jest w swoim dużym, jasnym pokoju, a potem on odprowadza mnie do drzwi. Przebrał się i teraz pachnie żelem pod prysznic. Głaszcze mnie po podbródku, opiera się o futrynę i patrzy na mnie, jakby nie miał ochoty mnie puścić.

– Kiedy się zobaczymy? – pyta.

– Nie wiem... – odpowiadam, spuszcżając wzrok i chowając telefon do torby.

On znowu unosi mi głowę i szuka mojego spojrzenia.

– Hej, powiedziałaś, że nie żałujesz tego, co ze mną robiłaś. Nie zaczynaj teraz, OK?

– OK – wzdycham bez przekonania. Żegnam go delikatnym pocałunkiem, a potem zbiegam ze schodów i wplatom się w zgiełk Lungotevere.

Idąc na przystanek autobusu, mam dziwne uczucie, że prędzej czy później czegoś będę żałować. Chociaż nie wiem dokładnie czego.

5.

W niedzielny, prawie już letni wieczór powietrze jest ciepłe, niebo wciąż jasne, a na twarzach ludzi maluje się wyraz błogiej ociężałości. Ręka Filippa zjeżdża lekko po mojej sukience i zatrzymuje się na biodrze. Zmierzamy do wyjścia z kina. W Trevi, w ramach przeglądu poświęconego Sordiemu, wyświetlali *Pomóż mi, kochanie*. Wbrew moim oczekiwaniom sala była pełna i od razu przyszło mi na myśl nasze uniwersyteckie koło filmowe, gdzie na seans przychodziły często trzy lub cztery osoby, w tym ja i Filippo.

– Dobrze było zobaczyć go znowu – komentuje z uśmiechem zadowolenia. – Ten film jest taki specyficzny, dziwny.

– Tak. To nie jest klasyczna komedia *all'italiana* – podnoszę wzrok, szukając

właściwego słowa. – Zostawia taki gorzki posmak – dodaję, kręcąc nosem.

– Na niektórych scenach nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. A do tego Vitti jest naprawdę fantastyczna.

– To prawda.

Potakuję, a Filippo zapewne odnosi wrażenie, że nasze wrażenia się pokrywają, ale to nie do końca prawda. W środku targa mną burza emocji. Staram się nie dać tego po sobie poznać, lecz ze względu na ogień, którym zapłonęły moje policzki, nie jestem pewna, czy mi się udaje.

To się stało, kiedy siedzieliśmy na sali. Byłam spokojna i pogodna, oglądałam film z przyjemnością, tuląc się do mojego chłopaka, głowa przy głowie, moja dłoń w jego dłoni. Wszystko wydawało się doskonałe. Aż do tej sceny. Samochód wpada w poślizg na nadmorskiej drodze, żona wyznaje mężowi, że kocha innego, następuje gwałtowna kłótnia, on biegnie za nią i policzkuje ją, wymuszając opamiętanie. Ta scena

zawsze mnie bawiła, ale nie dziś wieczorem. Moja dłoń wysuwa się nagle z dłoni Filipa, a moje myśli biegną do tego, co zdarzyło się tydzień temu. Byłam tam, w tym samym miejscu, miałam już te kadry przed oczami. Poznaję to miejsce – to plaża w Sabaudii. Pojechałam tam z Leonardem, tak samo fałszywa i wiarołomna jak bohaterka, tyle że to nie był film.

Od tamtego dnia nie miałam z nim kontaktu. Przez cały tydzień nie dał znaku życia, a ja starałam się usunąć go ze swojego umysłu. Nie zadziałało. Tak naprawdę wszystko stawało się pretekstem, by o nim myśleć.

Wolnym krokiem idziemy z Filippem przez centrum i dochodzimy do podświetlonej już fontanny di Trevi. Mój iPhone zaczyna wibrować, wydaję go i widzę, że mam nową wiadomość na poczcie głosowej. Przekonana, że to Gaia, naciskam PLAY i dopiero po chwili z obawą i ekscytacją uświadamiam sobie, że to wiadomość nie od niej, lecz od Leonarda. Nie wiem, czy

powinnam być szczęśliwa, czy zrozpaczona, może jedno i drugie. Wraca, znika, potem znowu wraca. Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? To wszystko jest takie skomplikowane!

Poruszona, rzucam okiem na Filippa, który wydaje się myśleć o czymś innym. Mogłabym odsłuchać całą wiadomość tak, żeby nie zauważył, i występna część mojej natury ma na to potworną ochotę. A jednak, zaraz po „Elena, tu Leonardo” przerywam. Wystarczy. Nie pozwolę mu powiedzieć więcej w obecności Filippa. Tuż obok niego.

– Do kogo dzwonisz? – pyta, zauważywszy, że stoję z telefonem przy uchu.

– Miałam wiadomość na pocztce – odpowiadam niedbałym tonem, a potem pośpiesznie chowam iPhone do torby.

– Od kogo? – dopytuje, zaciekawiony.

Od kogo?! W głowie mam mętlik.

– Od Paoli – odpowiadam przytomnie.

– Dręczy cię nawet w niedzielę? – Filippo wytrzeszcza oczy, rozdrażniony na dźwięk imienia mojej upierdliwej koleżanki.

– Prosiła, żebym jutro przyszła wcześniej.

– Co za udręka!

– Nic nie poradzisz...

Przechodzimy jeszcze kawałek i zatrzymujemy się na aperitif w Salotto 42, lokalu przy piazza di Pietra. To miejsce zapiera dech w piersiach, szczególnie wieczorem, a kolumny świątyni Hadriana tworzą niesamowity efekt scenograficzny. Czuję się już trochę lepiej. Niepokój się rozplywa, a płomień na mojej twarzy przygasa, kiedy siadamy na kanapie vintage z lat pięćdziesiątych, wśród pamiątek, czasopism o designie i fotografii, książek i winylów. Nie mogę myśleć o Leonardzie, muszę przestać się zastanawiać, co chciał mi powiedzieć w tej wiadomości, i skoncentrować się na Filippie. Muszę żyć chwilą obecną, tu i teraz, z nim.

To miejsce ma dla nas szczególne znaczenie: tu jedliśmy kolację w wieczór, kiedy pierwszy raz się kochaliśmy po mojej szalonej wyprawie do Rzymu. Dziś wieczorem jest tu chyba jeszcze piękniej, kołysze nas wyśmienita, nu jazzowa muzyka, i nagle uświadamiam sobie, że usiedliśmy nawet przy tym samym stoliku.

Unoszę brwi i pytam:

– Zbieg okoliczności?

– Kto wie... – Filippo uśmiecha się z zadowoleniem i wzrusza ramionami.

Kilka minut później, kiedy aperitify i przysmaki kuchni fusion są już na naszym stole, on pyta mnie o pracę:

– A więc, jak myślisz, kiedy skończysz?

– Masz na myśli całą kaplicę czy fresk, nad którym pracuję teraz?

– Całość.

W ostatnich dniach zadawałam sobie to pytanie mnóstwo razy.

– Myślę, że pod koniec lata, ale nie dam sobie uciąć ręki.

Kelner zatrzymuje się na chwilę przy naszym stoliku, żeby zaproponować nam przekąski przyrządzone zgodnie z zasadami raw food. Filippo wskazuje mój pusty talerzyk po sushi, pytając w ten sposób, czy chcę jeszcze. Kiwam głową – uwielbiam naszą komunikację bez słów – i pozwalam, by sam wybrał zamówienie.

Kiedy czekamy na kolejną porcję california maków, Filippo prostuje się na krześle, z nadzwyczajnie poważną miną.

– A więc... – zaczyna – chciałbym pomówić z tobą o jednej rzeczy.

Na myśl o tym, że widział mnie, jak śmigam po Rzymie na ducati, albo w jakiś inny sposób dowiedział się o Leonardzie, przez moment ogarnia mnie panika. Jednak zaraz potem Filippo dodaje:

– Mam ważne wieści.

– To znaczy? – pytam, siedząc jak na szpilkach.

Filippo się waha, dłubiąc przy obrusie i wzdychając. Gdyby to on był dziewczyną, a ja chłopakiem, nie miałabym wątpliwości, że nowina będzie brzmiała: „Jestem w ciąży. Będziemy mieli dziecko”. Robi wrażenie poważnego i niespokojnego, ale jednocześnie podnieconego. W końcu oznajmia z dumą:

– Dokładnie za miesiąc kończę z Renzem PIANO. To już postanowione.

Patrzę na niego w oczekiwaniu na ciąg dalszy: jak na razie żadnej nowości. Wiedziałam, że prędzej czy później ich współpraca się skończy. Zatem teraz musi być coś jeszcze.

– I... – zachęcam.

Przez chwilę rozgląda się wokół, potem upija duży łyk. Ociera usta i ogłasza:

– No więc, potem chciałbym kontynuować karierę architekta... ale na własnych warunkach. Chciałbym otworzyć własną pracownię.

Myszę, że wiem, co ma zamiar powiedzieć, ale czekam, aż sam to zrobi.

– ...w Wenecji – oznajmia w końcu.

Upijam łyk martini, a moje serce bije szybko, targane tysiącem sprzecznych emocji. Przez chwilę milczę, a potem pytam:

– Czyli masz już dość Rzymu?

– Nie wiem – wzdycha. – Wydaje mi się, że tutaj wszystko jest trudniejsze, szczególnie w mojej działce. W Wenecji miałbym jeszcze trochę dobrych kontaktów... – zdenerwowany drapie się po głowie. Potem spogląda mi w oczy i ciągnie: – A co ty powiesz? Co o tym sądzisz?

Właśnie, co o tym sądzę? Wiem, do czego zmierza. Chociaż mam szczerą nadzieję, że nie zmierza tam właśnie teraz.

– O otwarciu nowej pracowni na własny rachunek? – gram na czas, choć w rzeczywistości wiem doskonale, że pyta o coś dużo ważniejszego.

– Nie. O Wenecji – odpowiada, przyszpilając mnie spojrzeniem. – O tym, żeby przeprowadzić się razem do Wenecji. W końcu to nasze miasto...

I już, teraz nie ma ucieczki.

Oczywiście, rozmawialiśmy już o tym wcześniej, ale teraz jest inaczej. Teraz to konkretna i nieodległa w czasie możliwość.

– Moglibyśmy podzielić się czynszem za moje mieszkanie – spuszczam wzrok, jakbym potrzebowała chwili na zastanowienie. – Jest trochę małe, ale możemy się dostosować...

– Bibi, chciałbym dać ci więcej.

Patrzę w jego intensywnie zielone oczy. Przed przeprowadzką do Rzymu Filippo mieszkał wciąż w domu swoich rodziców. Nie tyle z wygody, ile dlatego, że ze względu na studia lub pracę ciągle był poza miastem i nie potrzebował przestrzeni tylko dla siebie.

Kręcę głową, jakbym chciała powiedzieć „więcej w jakim sensie?”.

W tym miejscu Filippo zaczyna chaotyczną przemowę, która jednak płynie prosto z serca. Widać, że z trudem znajduje słowa. Uwagę zaprzęta mu przede wszystkim treść.

– Wiem, że przeprowadziłaś się do Rzymu głównie z mojego powodu. A teraz proszę cię, żebyś przeprowadziła się znowu. Nie mogę powiedzieć, że nienawidzę Rzymu czy strasznie chcę stąd wyjechać, nic z tych rzeczy. Ale po ostatnim pobycie w Wenecji, kiedy zobaczyłem niektóre domy... Kiedy tylko pomyślę, że przez ostatnich dziesięć lat żyłem jak wygnaniec, że moi rodzice się starzeją i w ogóle... Nie wiem, czuję się teraz naprawdę gotowy na zmianę. Na spokojniejsze życie. Albo przynajmniej inne niż to.

Przytakuję, kiedy dobiera słowa. Nic z tego, co mówi Filippo, nie jest dla mnie zaskoczeniem. To prawda, już o tym rozmawialiśmy, ale pomysł tak szybkiego wyjazdu z Rzymu wprawia mnie w lekką dezorientację. Moją głowę wypełniają miejsca, które chcę zobaczyć, i rzeczy, które chcę

zrobić w tym mieście, a na które jeszcze nie miałam czasu, ale też jeden, niezmienny obraz, który teraz w niewyjaśniony sposób staje się coraz wyraźniejszy: Leonardo.

– Nic nie powiesz? Zaskoczyłem cię? – ponagla Filippo, przygryzając paznokcie.

Robi to tylko wtedy, kiedy jest zniecierpliwiony albo bardzo mu na czymś zależy. Wiem, nie pyta, czy się pobierzemy, ale w pewnym sensie to jeszcze większa zmiana. Wrócić do Wenecji, razem. Na zawsze.

Ujmuję w ręce jego dłoń. Bardzo chciałabym, żeby był zadowolony, ale pragnę też być całkowicie szczerą z nim i z sobą samą.

– Myślę, że mogłoby być naprawdę cudownie – odpowiadam. Staram się chociaż w części ukryć swoje niezdecydowanie. Zaraz potem zamierzam dodać, że może jednak jeszcze za wcześnie na taką decyzję, że warto się dobrze zastanowić i że nie ma potrzeby niczego przyspieszać. Ale Filippo wykorzystuje moje wahanie i mówi:

– Wiem. I wierz mi, nie chcę stawiać cię w trudnej sytuacji. Ale... chciałem pokazać ci to.

Uwalnia dłoń, sięga do kieszonki sportowej marynarki i wyjmuje złożoną kartkę.

– Zobacz.

Rozkładam ją. Widnieje na niej zdjęcie przedstawiające wspaniałe, wyremontowane mieszkanie z widokiem na Canal Grande.

– Podoba ci się? – pyta ze szczególnym błyskiem w oku. Nie ma wątpliwości, jakiej odpowiedzi się spodziewa.

– Pewnie... jest przepiękne – odpowiadam, przeglądając opis pod zdjęciem: trzy sypialnie, dwie łazienki, duży taras na dachu, wejście od portyku, prywatna przystań dla łódki. Jak mogłoby mi się nie podobać? Podnoszę wzrok znad kartki i wykrzykuję:

– Jest naprawdę niesamowite, Fil. Brak mi słów – biorę wdech i przełykam ślinę. – Ale nie uważasz, że to za wcześnie?

No, powiedziałam to wreszcie.

– Oczywiście, na razie to tylko taki pomysł – wyjaśnia szybko. – Wyremontował je jeden mój kumpel i chciałem ci pokazać, zanim ktoś sprzątnie nam je sprzed nosa!

Spoglądam jeszcze raz na zdjęcie, tym razem także na cenę, wydrukowaną pod spodem małą czcionką.

– No, ale tanie nie jest... – mruczę pod nosem.

Filippo przytakuje, przestając się uśmiechać.

– Możemy sobie na nie pozwolić? – pytam.

Spuszcza wzrok i kręci głową. Potem patrzy na mnie i mówi z powagą:

– Może. Tymczasem możemy marzyć. A potem, kto wie...

Na szczęście chwilę potem napięcie opada i atmosfera z powrotem staje się lekka. Śmiejemy się więcej niż zazwyczaj, wymieniamy złośliwe żarciki i fantazjujemy o czekającym nas weekendzie w Toskanii, a jednak nie potrafię się uwolnić od ciężaru tej pozostawionej w zawieszeniu rozmowy i – jakby prawem kontrastu – myśl o Leonardzie

wraca jeszcze bardziej nieodparta niż wcześniej. Czuję jego obecność, żywą i rzeczywistą, jakby przyszedł tu, usiadł między mną a Filippem i przez cały czas przysłuchiwał się naszym rozmowom o wspólnej przyszłości.

Szykujemy się do łóżka. Filippo jest w łazience. Wpuszczam go zawsze przed sobą, bo zajmuje mu to chwilkę i na szczęście nie musi, w przeciwieństwie do mnie, wklepywać sobie w pośladki i uda kremu ujędrniającego. Od kilku dni, dokładnie od mojej nieplanowanej wycieczki nad morze, znowu zaczęłam go używać.

Mój iPhone leży na stoliku nocnym, cichy, niewinny, poza wszelkimi podejrzeniami. A tymczasem w środku znajduje się tykająca bomba – nieodsłuchana wiadomość od Leonarda. Spoglądam na telefon wzrokiem drapieżnika, po czym wyciągam rękę i chwytam go. Jeśli nie odsłucham tej wiadomości teraz, nie zaznam

spokoju – możliwe nawet, że nie zasnę przez całą noc.

Postanawiam więc, że zrobię to, ale nie w obecności Filipa, lecz w łazience, po moich daremnych rytuałach pielęgnacyjnych. Kilka chwil później on kończy myć zęby i przychodzi moja kolej. Zamykam drzwi na klucz i odkręcam całkowicie wodę w umywalce. Wiem, że te środki ostrożności nie mają najmniejszego sensu i gdybym zachowała minimum jasności umysłu, zaczęłabym się śmiać z siebie samej, jednak w tej chwili nie jestem w stanie.

Uważnie unikając patrzenia w lustro, biorę telefon i przykładam go do ucha, żeby odsłuchać pocztę.

„Elena, tu Leonardo. Właśnie wracam z Sycylii. Spróbuj wyrwać się z pracy jutro po południu. Chcę cię zawieźć w pewne miejsce. Nie szukaj wymówek. Nie przyjmę ich”.

Boże. Czy to możliwe, żeby zwykła, dziesięciosekundowa wiadomość głosowa sprawiła, bym

w jednej chwili zawrzała na nowo? Z jednej strony, obudził moją ciekawość – kto wie, dokąd chce mnie zabrać. Jednak z drugiej, jestem zmieszana, a nawet trochę rozdrażniona. Przez kilka minut stoję przed umywalką i wpatruję się w przestrzeń, potem odsłuchuję wiadomość jeszcze raz, żeby się upewnić, czy usłyszałam wszystko. Oczywiście tak, to tylko moja wymówka i w końcu kasuję ją, mamrocząc „Zapomnij o tym”, bardziej żeby przekonać samą siebie niż w jakimkolwiek innym celu.

Oburzona myję zęby, przemywam twarz mleczkiem kosmetycznym i rozsmarowuję w krytycznych miejscach krem ujędrniający. Zanim wracam do pokoju, przez chwilę, która wydaje mi się bardzo długa, obserwuję Filippa z korytarza. Przegląda coś na iPadzie, może jedno ze swoich czasopism o designie. Otwieram usta, zamykam, otwieram znowu. Chciałabym coś powiedzieć, ale zamiast tego po cichu wślizguję się znowu do łazienki.

– Nie idziesz spać, Bibi? – słyszę, jak pyta z drugiego pokoju.

– Już idę – mówię najmiłszym głosem, na jaki mnie stać.

Muszę odpowiedzieć na wiadomość Leonarda, postanowione. Mogłabym uznać ignorowanie go za moją nową strategię. A jednak zamierzam zamiast tego dać odpowiedź odmowną, jasną i wyraźną. Ostateczną. Poinformuję go w krótkim SMS-ie, że może przestać mnie szukać, bo jak doskonale wie, jestem w szczęśliwym związku.

Szukam w sobie determinacji, której potrzeba, by połknąć konieczne, lecz gorzkie lekarstwo. Ze wszystkich sił trzymam się tego postanowienia, a ono nie przestaje się wymykać, wywijać niczym węgorz. Potem biorę głęboki oddech i zaczynam szybko pisać. Wciskam WYŚLIJ, a po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Zbyt późno uświadamiam sobie, że moje palce nie posłuchały rozkazu wydanego przez umysł, lecz zabójczego impulsu pochodzącego z wnętrza mego ciała.

Cześć. Odsłuchałam Twoją wiadomość.

Zgoda na jutro. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Oto co napisałam. Zamykam oczy i kręcę głową. Nie ma dla mnie nadziei. Brakowało mi jeszcze tylko rozdwojenia jaźni... pięknie!

Czuję jednocześnie wyrzuty i ulgę. Wyobrażam sobie, że tak czuje się alkoholik pijący pierwszy łyk wódki po długiej abstynencji. Emocje przybierają jeszcze na sile, gdy chwilę później telefon się podświetla i pojawia się SMS z numerem Leonarda. Wciąż nie zdecydowałam się na zapisanie go od nowa, zresztą nie jest mi to potrzebne. W ostatniej chwili zatrzymuję się na progu łazienki. Z reguły nie odpowiada na wiadomości. Jednak tym razem to zrobił.

Tam gdzie zawsze, o czwartej.

Dobranoc.

Leo

Kilka słów, nic specjalnego – czemu więc czuję się jak ktoś wyjątkowy? Już wystarczy. Muszę zebrać wszystkie siły i wrócić. Filippo czeka na mnie przy zapalanej lampie i wydaje mi się, że nie ma ochoty się kłaść. Jeszcze nie teraz. Jeszcze chciałby się kochać.

Kiedy wracam do pokoju, przekonuję się, że moje przecucia nie były bezpodstawne. W jego oczach widzę pragnienie, ale także oddanie, wielką potrzebę mnie. Szukam jego języka, potem ściągam mu koszulkę, odsłaniając tors. On chwytamnie za pośladki, a moja dłoń przemyka do jego twardej męskości i pieści ją przez materiał bokserek. Wsuwam palce za gumkę bielizny i toruję sobie drogę wśród jego włosków. Ściskam go mocno. On wydaje z siebie gardłowy jęk. W mgnieniu oka pozbywa się spodenek.

Filippo zdejmuje mi koszulkę nocną, przebiegając językiem po mojej szyi aż do pleców, potem pochyla się między moimi nogami i całuje wilgotne wargi mojej muszelki. Pragnę go, choć w tej

chwili to pragnienie jest niejednoznaczne, niepewne, to dlatego szukam kontaktu wzrokowego.

Przez jedną, przerażającą chwilę oczy Leonarda nakładają się na spojrzenie Filippa, który dokładnie w tym momencie doprowadza mnie do orgazmu. Wyginam plecy i dochodzę. Pragnę go całą sobą, mimo że niedawno napisałam wiadomość do innego. Dlatego, że on mnie pragnie. Dlatego, że mnie kocha. Więc i ja Kocham jego.

A kiedy Filippo kładzie się na mnie, wchodzi we mnie i zaczyna się poruszać, ja dostosowuję się do jego rytmu i obejmuję go. Jestem jego. Przynajmniej tutaj, przynajmniej teraz.

Następnego dnia w pracy – standard. Muszę znosić gderanie Paoli, która wścieka się na mnie, bo jesteśmy do tyłu w stosunku do grafiku. Wzywa mnie do każdego miejsca, w którym farba choćby trochę wyszła poza kontury. Naprawdę nie wiem, jak mam jej powiedzieć, że po południu muszę

wyść wcześniej. Nie ma nawet Martina, który mógłby rozluźnić atmosferę. Nie spotkałam go od dnia, w którym widział, jak wychodzę z kościoła z Leonardem. Od czasu do czasu nachodzą mnie wątpliwości, czy go to nie zabolalo, czy do pewnego stopnia nie widzi we mnie kogoś więcej niż tylko przyjaciółkę. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym z tego powodu musiała z niego zrezygnować. Kiedy tutaj jest, lepiej mi się pracuje, mogłabym z nim rozmawiać godzinami, nie tylko o sztuce.

Wypełniam pilnie notatnik i przychodzi mi do głowy, żeby podpytać Paolę. Może ona coś wie.

– Posłuchaj, nie widziałaś ostatnio Martina?

– Tego chłopaczka? – Lustruje mnie z niemal drwiącym wyrazem twarzy, zsuwając na koniec nosa swoje jasnozielone okulary. – Chyba ty powinnaś wiedzieć najlepiej... – mówi z sarkastycznym uśmiechem.

Kręcę głową, choć już wiem, dokąd zmierza.

– No, nie udawaj głupiej – kontynuuje, maczając pędzel w słoiczku z czerwienią. – Nie przychodził tu wcale oglądać Caravaggia. Prędeziej oglądać ciebie.

– Co ty opowiadasz! – zamykam notatnik i mieszam kilka razy swój barwnik. – Ma zdawać egzamin. Może jest w domu i się uczy.

– Elena, nie udawaj niewiniątka, proszę: całkiem się w tobie zabujał – odpowiada, przechodząc na rzymski dialekt.

Milczę, ale tak naprawdę obawiam się, że Paola może mieć rację. OK, nadeszła pora obwieszczenia. Głęboki wdech, moduluję głos i już:

– Tak czy inaczej, chciałam cię uprzedzić, że muszę dziś skończyć o czwartej.

– Słucham? Co powiedziałaś? – wykrzykuje, wprawiając w drżenie całe rusztowanie.

– Że o czwartej muszę skończyć. – Staram się zachować spokojny i profesjonalny ton głosu.

– Rób, jak chcesz – nie mówi nic więcej, ale widzę, że jest zirytowana.

– Mam coś ważnego – próbuję się usprawiedliwić. – Nie mogę tego odwołać.

– Dobrze – mruczy, starając się sprawiać wrażenie wyrozumiałej. – Wystarczy, jak nie będziesz potem narzekać, że jesteś do tyłu z pracą – ucina, a w jej głosie pobrzmiwa groźba.

Czuję się winna, mimo że nie mam powodu, przynajmniej nie w stosunku do niej. W tej chwili Paola jest projekcją mojego sumienia, która mówi mi, żebym została na swoim miejscu i nie goniła za niebezpiecznymi rozrywkami. Niestety, nie mam teraz najmniejszej ochoty słuchać sumienia – jeśli o to chodzi, decyzję podjęłam już wczoraj wieczorem. Nie przestałam i nie przestanę kochać Filippa, ale zew Leonarda jest zbyt silny, by mu się oprzeć.

Schodzę z rusztowania i przygotowuję się do wyjścia z tego nieszczęsnego kościoła.

Punktualnie o czwartej jestem na placu Sant'Andrea. Mam na sobie lekką sukienkę i wysoko wiązane sandały. Zwykle chodzę do

pracy w spodniach, ale dziś przyniosłam ubranie na zmianę – tak jakby każda randka z Leonardem była pierwszą – i szybciotko przebrałam się w zakrystii. Dlaczego miałabym rezygnować z zaakcentowania swojej kobiecości?

Leonardo przyjeżdża punktualnie na swoim motorze, podaje mi kask i robi miejsce na siedzeniu. Wskakuję żwawo i bez wahania, po czym łapię go pewnie za boki. Jestem zdecydowana i gotowa jechać, dokądkolwiek chce mnie zabrać.

Po dwudziestu minutach slalomu w ruchu ulicznym orientuję się, że jesteśmy na wschodnich peryferiach miasta. Nie rozpoznaję okolicy, nigdy tu nie byłam, ale wygląda to na dawną dzielnicę robotniczą, z halami i wielkimi zabudowaniami przerobionymi na budynki mieszkalne. Motor zatrzymuje się na środku wybrukowanego placyku, przed budynkiem, który musi być jakąś opuszczoną fabryką. Z tyłu widać rzeczkę,

domyślam się, że to Aniene, jeden z dopływów Tybru.

– Chodź, wejdziemy do środka – zaprasza Leonardo, podając mi rękę.

– Do środka? – pytam, nie do końca zdecydowana.

Wciąż nie rozumiem, dlaczego przywiózł mnie tutaj, ale on, jak zawsze, gwizdże na moje wątpliwości i prowadzi bez wahania.

– O co chodzi? Boisz się, że cię porwę? – pyta z irytującym śmiechem.

Uśmiecham się. Może to nie byłby zupełnie zły pomysł.

Leonardo wskazuje na obdrapany szyld na fasadzie budynku.

– To dawna fabryka herbatników – wyjaśnia. – Ale od wielu lat jest zamknięta.

Potem energicznym pchnięciem otwiera żelazne drzwi i wchodzi pierwszy.

Czuję mocny zapach niewietrzonego pomieszczenia. Wnętrze to olbrzymia hala pełna kurzu

i pajęczyn. Jest prawie pusta, z wyjątkiem kilku maszyn, których przeznaczenia nie znam, oraz taśmy transportowej pośrodku. W głębi olbrzymie przeszklenia z ościeżnicami z kutego żelaza wychodzą bezpośrednio na rzekę: ta przestrzeń ma jakiś poetycki, schyłkowy urok.

– I co o tym sądzisz? – pyta Leonardo.

– Zależy, co chcesz w takim miejscu robić.

Poza porwaniem mnie.

Otacza mnie ramieniem.

– Mam zamiar je kupić, razem z jednym współnikiem – wyjaśnia z dumą. – Chcę tu otworzyć restaurację.

– No, w takim razie jest fantastyczne!

– Cieszę się, że ci się podoba.

Spogląda na mnie, potem robi kilka kroków w stronę środka pomieszczenia i obejmuje je wzrokiem.

– To miejsce ma duszę, czuję to. Wyobraź sobie, ile ludzi przez nie przeszło, ile historii tu się wydarzyło. A ja chcę mu dać drugie życie.

Kiedy mówi o swojej pracy, o swoich pasjach, Leonardo odsłania inną stronę siebie. Pozostaje spontaniczny, żywiołowy, ale okazuje również głęboką wrażliwość.

W pewnej chwili odwraca się znowu, podchodzi do mnie i odgarnia mi z twarzy kosmyk włosów.

– Ja też mógłbym mieć inne życie – mówi z nutą melancholii, ale urywa zdanie w połowie, żeby posmakować moich ust.

– I co robiłbyś w tym innym życiu? – odsuwam go, z nieprawdopodobnym wysiłkiem przerywając pocałunek.

Uśmiecha się, głaszcze mnie po biodrach, a potem zjeżdża dłońmi na moje pośladki, podwijając mi sukienkę.

– Cokolwiek bym robił, wcześniej czy później przyszedłbym po ciebie, gdziekolwiek byś była, i przywiózłbym cię tutaj, żeby się kochać.

Ściska moją pupę, przyciąga mnie do siebie i niemal wgniata mi w brzuch swoją męskość.

Patrzy płonąącym spojrzeniem kogoś, kto zaraz dostanie to, czego chce. I wie, że ja też tego pragnę.

Czuję, że już jestem gotowa, by przyjąć go w sobie, ale postanawiam odsunąć przyjemność i podarować trochę rozkoszy jemu. Klękam, odwiązuję sznurek u jego spodni, a one zsuwają się na ziemię razem z bokserkami – obejmuję dłońmi jego erekcję i obserwuję ją. Jego nabrzmiała męskość jest gotowa, by czerpać i dawać rozkosz. Samo patrzenie na nią wywołuje dreszcz, który przebiega wzdłuż pleców. Nie mogę się już powstrzymać i zaczynam go lizać, a Leonardo łapie mnie za włosy, jakby chciał wejść jeszcze głębiej w moje usta. Jednak pozwala mi delektować się sobą tylko przez kilka chwil, po czym nagle, niemal brutalnym ruchem, wysuwa się z moich ust i stawia mnie na nogi.

Następnie, ugiąwszy lekko kolana, obejmuje moje nogi i podnosi mnie, zanurzając twarz w moich piersiach. Gryzie mnie przez materiał, robi kilka

kroków naprzód i sadza mnie na taśmie transporterowej.

Rozglądam się wokół trochę niepewnie, a on podwija mi sukienkę. Zanim się orientuję, obiema rękami chwyta za brzeg moich fig i mocnym szarpnięciem zdziera je ze mnie. Zaraz potem wydają ciche, zaskoczony westchnienie, czując jego język między swymi udami. Spijając moją wilgoć, Leonardo pieści me piersi, drażniąc mój pieprzyk w kształcie serca. Jego język przejeżdża wszędzie, od ud do łechtaczki, a jego palce odsuwają stanik, uwalniając moje sutki.

Teraz ręce i usta zamieniają się miejscami, a ja zamykam oczy, przyciskam jego głowę do piersi i pozwalam jego palcom wejść we mnie. Potem Leonardo odrywa się, niemal jak w napadzie szału, z impetem unosi mi nogi i każe położyć się na plecach.

Tracę oddech. W moich żyłach płynie ciemne, gęste pożądanie, a przez całe ciało przebiegają dreszcze. Muszę go mieć. Musi we mnie wejść.

Leonardo jest na mnie, gwałtownym ruchem chwyta mnie za pasek sukienki i wyciąga go ze szlufek, rozrywając jedwabną tkaninę.

Obchodzi maszynę, bierze mnie za ramiona i unosi mi je ponad głowę. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym się przeciwstawić: jego ruchy są władcze, kategoryczne. Łączy moje nadgarstki i związuje je ciasno paskiem, po czym przymocowuje jego końcówkę do metalowego zaczepu na końcu taśmy. Potem przygląda mi się.

– Może porwanie cię nie jest takim złym pomysłem – żartuje z przewrotnym uśmiechem. – Mógłbym trzymać cię tu cały czas i wykorzystywać za każdym razem, kiedy przyszłaby mi ochota.

Jest znowu sobą – silnym, dominującym panem sytuacji. Instynktownie próbuję się uwolnić, ale węzeł wokół nadgarstków zaciska się jeszcze mocniej. Leonardo kładzie otwartą dłoń na mojej twarzy, potem zjeżdża niżej po szyi, w końcu chwyta mnie za piersi i odsłania je bardziej, rozpinając mi

sukienkę. Gryzie moje sutki, potem ściska je między kciukiem i palcem wskazującym, wyzwalając iskry rozkoszy. Muszę zagryźć wargi, aby powstrzymać krzyk.

Pochyliła się, całuje mnie szybko, a potem, przesuwając językiem po zębach, jak gdyby chciał zatrzymać mój smak, podnosi się znowu i zdejmuję koszulkę. Łapie mnie za uda i rozchyła je, przyciągając mnie do siebie. Dół sukienki przyczepia się do taśmy, krępując moje ruchy, nie mogę już nic zrobić, jestem całkowicie w jego mocy.

Kiedy jego twardy penis dotyka mojej waginy, aż podskakuję. Moje ciało rozpala się z pożądania, wyginam plecy w łuk. Jestem gotowa, żeby go przyjąć. To jest ta chwila.

Ale Leonardo o tym wie i każe mi czekać. Jeszcze dłużej. Nie wchodzi we mnie od razu, ale ociera się w nieśpiesznych, nieznośnych zalotach. Trzymając swą męskość w dłoni, dręczy moje wargi, otwiera je, bada, pieści, ale nigdy nie

wchodzi do końca. Mam wrażenie, że zaraz zwariuję, i wydaję niemal rozpaczliwy jęk. W geście sprzeciwu wierzgam nogami, ale na jego ustach pojawia się okrutny uśmiech.

– Cierpliwości, Eleno.

Mówiąc to, niespodziewanym pchnięciem zanurza się we mnie, lecz tylko na chwilę. Ten moment wystarczy, żebym zrozumiała, czego mi odmawia, lecz potem znów wychodzi, pozostawiając mnie ogłuszoną i niezaspokojoną.

Leonardo powtarza swoją torturę jeszcze kilka razy, wchodzi we mnie, by zaraz potem wyjść. Wydaję jeszcze jeden wściekły jęk, a on się śmieje. Głośno, niepohamowanie.

I wchodzi we mnie kolejnym pchnięciem, jeszcze mocniejszym. I jeszcze jednym, i jeszcze, za każdym razem coraz głębiej. Krzyczę, bo on tego chce, ogarnięta w końcu tą rozkoszą, za którą tak rozpaczliwie tęskniłam. Leonardo już się nie śmieje, jego oczy płoną, w ustach błyszczą białe, drapieżne zęby, na szyi zarysowuje się nabrzmiała

żyła, a jego ciało staje się wiązką napiętych w wysiłku mięśni. Czuję, jak wibruje przy mnie, we mnie. Czuję, jak jego pożądanie miesza się z moim.

Jeszcze przed nadejściem orgazmu jesteśmy wyczerpani intensywnością naszej rozkoszy. I w końcu dochodzę ze zdławionym krzykiem, a burza zmysłów targa mną od stóp do głowy.

On dołącza do mnie po kilku chwilach, opada na moje bezsilne ciało i kładzie głowę na mojej piersi, zwilżając potem i seksem to, co zostało z mojej sukienki.

Nieskończone minuty. Minuty ciężkie jak wieczność. Minuty, które, wiem o tym już teraz, zabarwią nowym pożądaniem następne godziny, następne dni.

Rozwiązana przez Leonarda, siadam na taśmie transporterowej, rozmasowuję nadgarstki i poprawiam sukienkę, która znajduje się w opłakanym stanie. Mojej bielizny, tak jak się

spodziewałam, nie da się już uratować. On opiera się o stojącą obok maszynę. Widać po nim zdrowe zmęczenie. Kładę głowę na jego ramieniu. Ogarnia mnie poczucie spełnienia, które niebezpiecznie przypomina szczęście. Jest to jednak szczęście kruche, które trwa raptem kilka chwil, by zaraz ustąpić morzu wątpliwości. I ciemnemu przypływowi poczucia winy.

– Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać – przerywam ciszę. – Wyjeżdżasz, wracasz, znikasz, wracasz znowu.

Leonardo staje przede mną i kładzie mi dłonie na karku. Może wyczuł, że rozmowa o tym jest dla mnie ważna. I jest skłonny rozmawiać.

– To ci przeszkadza, sprawia ci ból?

– Nie do końca – spuszczam wzrok. – To mnie destabilizuje, nie rozumiem tego. Chodzi o to, że za każdym razem godzę się z myślą, że widzę cię po raz ostatni.

Mówię tak, bo to prawda, chociaż z całą pewnością wiem, że Leonardo mnie pragnie, widzę

to po sposobie, w jaki szuka mojej bliskości i w jaki się ze mną kocha. Nie wiem jednak, do jakiego stopnia, i jest jasne, że wciąż trzyma mnie z daleka od swoich najskrytszych myśli. W tym momencie znów przychodzi mi do głowy jego tatuaż na plecach, ten dziwny symbol, którego znaczenia nie jestem w stanie się domyślić. O tatuaż jednak nie pytam. Już próbowałam i natrafiłam na mur milczenia, dobrze pamiętam. Mimo wszystko ryzykuję i po raz kolejny próbuję zrobić wyłom w tajemnicy, którą ten mężczyzna z takim uporem ukrywa.

– Chciałabym tylko wiedzieć, co ci chodzi po głowie, Leo. Chciałabym wiedzieć, dokąd nas to wszystko zaprowadzi, jak możemy to kontynuować.

Powinnam się uciszyć i gryzę się w język. Weszłam w ślepy zaułek i za późno się zorientowałam. Proszę o wyjaśnienia mężczyznę, który jest zagadką z natury. Te słowa, wiem o tym doskonale, zaprowadzą mnie donikąd.

– Eleno, to co stanie się jutro, za miesiąc albo za rok, mnie nie interesuje – odpowiada, wytrzymując moje spojrzenie. – Nie postępuję zgodnie z planem, tylko z własnym instynktem. Jesteśmy tu, bo oboje tego pragnęliśmy, to wszystko. I tyle powinno ci wystarczyć.

Odsuwa się ode mnie, robiąc mały krok w tył.

– Jestem tym samym człowiekiem, którego poznałaś w Wenecji, z tymi samymi ograniczeniami, i nie mogę czynić obietnic ani wysuwać żądań. Nie mam prawa o nic cię prosić, bo nie mogę ci nic ofiarować w zamian.

– A może to tylko historia, którą lubisz opowiadać – szepczę, przetykając ślinę.

Postanowiłam go sprowokować.

– Mówisz jedno, ale twoje czyny sugerują coś innego. A przede wszystkim twoje ciało.

Gra staje się poważna.

Kręci głową, jakby chciał wszystkiemu zaprzeczyć, ale ja chwytam ją w dłoń i trzymam

nieruchomo. Jestem pewna, że widzę coś na dnie jego oczu, coś, co płonie dla mnie.

– Nie chodzi tylko o seks, Leonardo, wiemy to obydwójce – rzucam bez zastanowienia, z odwagą, o jaką siebie nie podejrzewałam.

Słowa wychodzą ze mnie, a ja nie mogę ich zatrzymać.

On łapie mnie za ramiona i patrzy mi prosto w oczy.

– Co chcesz usłyszeć, Eleno? Że cię pragnę? Tak, pragnę cię, i to bardzo. Że między nami jest coś prawdziwego, intensywnego, szczególnego? Jest. I nie panuję już nad tym tak, jak kiedyś mi się wydawało. Ale to nie ma znaczenia. Bo ja nie mogę dać ci tego, czego chcesz. Nie poproszę cię nigdy, żebyś zostawiła swojego chłopaka i zmieniła dla mnie swoje życie. Po prostu dlatego, że my dwoje nie jesteśmy stworzeni, by być razem.

Mam ochotę krzyknąć, że tego nie dowiemy się nigdy, a przynajmniej dopóki nie spróbujemy. Niestety nie mam takiej siły, nie jestem w stanie

zareagować, nie jestem w stanie walczyć przeciwko jego niezachwianej woli i jego ciemnej stronie, która nie pozwala mi ujrzeć go w całości. Za Leonardem, tym, którego widzę, kryje się jeszcze jeden, jestem tego pewna. I zaczynam się go bać. Ale jego słowa, szczerze czy obłudne, sprawiają ból i w jakiś sposób muszę się bronić.

– Dobrze. Jak chcesz – mówię stłumionym głosem, zeskakując z taśmy. – Ale teraz proszę, odwieź mnie do domu.

Leonardo spuszcza wzrok i znów na chwilę go podnosi. Chciałby coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. A ja już nie mam ochoty go przekonywać. Ruszamy więc do wyjścia w przygnębiającej ciszy.

Nagle ogarnia mnie rozczarowanie, czuję się wyczerpana, zmaltretowana, widzę zaczerwienienia na nogach, rozdartą sukienkę, rozmazany makijaż, potargane włosy. Pokonana wojowniczką. To ślady po namiętności niemożliwej, wojnie, której nigdy nie wygram.

Słońce jest jeszcze wysoko, ale wcale nie grzeje. Kiedy motor gubi się w ulicach Rzymu, we mnie rośnie nowe przekonanie: jeśli nie podejmę decyzji teraz, Leonardo zrani mnie znowu. Bo jego przeszłość jest raną, która nigdy nie przestała krwawić. I której być może nikt nie będzie w stanie wyleczyć.

6.

Postanowiłam, że dziś się przyłożę i ugotuję coś na kolację. Przygotowałam dla Filippa gâteau ziemniaczane i grillowaną pierś z kurczaka, jedyne danie, które wychodzi mi przyzwoicie. Sądząc po szybkości, z jaką wyczyścił talerz, smakowało mu.

– Pyszne – skomentował na koniec, oblizując wargi, i ten werdykt przekonał mnie, że jako kucharka nie jestem może tak beznadziejna, jak mi się wydawało.

Teraz razem sprzątamy w kuchni. Ja myję naczynia, a on je wyciera. Jutro jedziemy w końcu na nasz weekend do Toskanii, nie chcę więc zostawiać rzeczy w zmywarce na trzy dni. Filippo przewiązał sobie mój niebieski fartuszek z kreskówkową postacią Mafaldy – tylko dlatego, że wie, jak bardzo mnie śmieszy w tym stroju – i wyciera szmatką talerze i szklanki tak, jakby od

tego zadania zależały losy ludzkości. Czasem jest taki śmieszny! I może to właśnie lubię w nim najbardziej.

Leonardo zniknął znowu, wiele dni temu. Nie odezwał się więcej, a ja nie próbowałam go odszukać nawet wtedy, gdy pokusa była tak silna, że zapierała mi dech. W końcu podjęłam decyzję, być może tylko w swojej głowie, ale zrobiłam to – między nami koniec. Część mnie już zaczynała się łudzić, ale na szczęście słowa, które powiedział mi ostatnim razem, zadziały jak nagła, lecz zbawienna pobudka. „Nie jesteśmy stworzeni, by być razem”. Myślałam o tym długo i ostatecznie muszę przyznać, że się nie mylił: nie chcę mężczyzny, który bierze mnie i zostawia, kiedy ma ochotę, który pragnie mnie co drugi dzień, który wybija mnie z rytmu swoim milczeniem i swoimi tajemnicami, który rzuca mi tylko okruchy siebie. Z Leonardem przeżyłam ekscytującą przygodę, ale teraz czas wrócić do prawdziwego życia, które dzielę z Filippem.

I tak, z nieco poobijanym sumieniem i obrazami moich grzechów trwale wyrytymi w pamięci, wróciłam do Filipa i poświęciłam się naszej miłości. Chcę przebywać z nim jak najwięcej, proszę go, by towarzyszył mi w drodze do pracy albo na zakupy, spotykam się z nim codziennie pod jego pracownią i razem spędzamy przerwę obiadową, zaczęłam planować nasze kolacje, siłą się na eksperymenty kulinarne o wątpliwych rezultatach, dałam się nawet namówić na wspólne wyjścia na siłownię. Szukam kontaktu fizycznego zarówno nocą w naszej sypialni, jak i w ciągu dnia, robiąc małe gesty, gdy jesteśmy wśród ludzi. Mówię mu często, że go kocham, lecz nigdy automatycznie, tylko koncentrując się na głębokim znaczeniu czasownika „kochać”. Słowa „zaangażowanie”, „współdzielenie” i „poświęcenie” stają się moim mottem.

Potrafię to zrobić, jestem tego pewna. Może nie uda mi się nigdy zupełnie wymazać wspomnienia zdrady, ale niebawem wszystko wróci do

normalności lub przynajmniej do stanu, w jakim było przed moimi urodzinami. Nie mogę się doczekać jutra, kiedy wsiądziemy do pociągu do Sieny, gotowi zatopić się w spokoju tokańskich wzgórz.

Myślę o tym, zanurzając dłonie w ciepłej wodzie z pianą. Zdaję sobie sprawę, jakie mam szczęście, że tu jestem – uciekłam na chwilę, zrobiłam sobie małe wakacje od naszego związku, ale teraz znów jestem w domu. I właśnie tutaj chcę pozostać.

– Spakowałaś już swoje kufry? – przygaduje mi Filippo.

Zna mnie dobrze i wie, że zazwyczaj mój bagaż nie składa się tylko z najpotrzebniejszych rzeczy.

– Jeszcze nie. Nie miałam czasu.

– Bibi, jedziemy do Toskanii. Nie pod namiot na pustynię – spogląda na mnie wyrozumiale, jakby był w stanie tolerować wszystkie moje

dziwactwa. – Jeśli czegoś ci zabraknie, możesz kupić to na miejscu.

– Zrobię co w mojej mocy, ale niczego nie obiecuję.

Wybierając się w podróż, niezmiennie obiecuję sobie, że tym razem zredukuję bagaż do połowy, ale to postanowienie skazane jest na klęskę, bowiem zawsze przed zamknięciem walizki wciskam w ostatnie wolne miejsce coś, co akurat wydaje mi się nieodzowne.

– Daruj sobie przynajmniej książki!

– OK, Fil. Nie zabiorę ich, jeśli ty zostawisz iPada – proponuję.

– Zgoda – śmieje się, podchodzi do mnie od tyłu i podszczypuje mnie w bok. – Będziemy mieli ciekawsze rzeczy do roboty niż czytanie.

Odciska mi na karku mały pocałunek, a potem wtula nos i usta w moją szyję. Opieram głowę o jego czoło i rozkoszuję się tym delikatnym, znajomym dotykiem.

– Masz na myśli wycieczki i zwiedzanie muzeów, tak? – drocę się z nim i kiedy wybucha śmiechem, czuję na skórze jego ciepły oddech.

– Porozmawiamy o tym – szepcze, obejmując od tyłu moje piersi.

Bez pośpiechu wyciągam ze zlewu korek, czekam, aż spłynie piana, potem wycieram ręce i odwracam się do niego, pragnąc wyjaśnić tę kwestię. Ale w tym momencie słyszę cichy dzwonek komórki dochodzący z leżącej na kanapie torebki. Uwalniam się niechętnie z objęć Filippa i biegnę, zanim włączy się poczta głosowa. Nie mam pojęcia, kto może dzwonić o tej porze, a ponieważ przed kolacją rozmawiałam już z Gaią i mamą, wątpię, żeby to była któraś z nich. Mam za to inne podejrzenie... Wyciągam iPhone. Kiedy na wyświetlaczu widzę ten numer, serce zaczyna mi bić szybciej niż zwykle, a po plecach spływa strużka zimnego potu.

Leonardo. Czego chce o tej porze? Nie chcę wiedzieć i nie mam najmniejszego zamiaru odbierać.

– Nie odbierzesz? – krzyczy Filippo z drugiego pokoju.

Pośpiesznie odrzucam połączenie.

– Nie mam ochoty, to Paola – mówię, odchrząknąwszy. – Wyślę jej SMS.

Biedna Paolo! Co krok służysz jako alibi niewiernej partnerki. Nie wiesz o tym, ale ratujesz mi życie. I coś mi mówi, że któregoś dnia będę ci się mogła odwdzięczyć.

Wystukuję szybko lapidarną wiadomość, która zrodziła się wprost w moim sercu.

Dokonałam wyboru.

Jeśli choć trochę Ci na mnie zależy, nie szukaj mnie.

Zanim zacznę żałować tego, co napisałam, naciskam WYŚLIJ. Wiem, że tym razem nie ma

już odwrotu. Teraz to już naprawdę koniec, bo to ja tego chcę.

Wracam do Filippa do kuchni i ukrywając płonąca twarz, w nagłym napadzie szału sprzątaniam zabieram się za czyszczenie marmurowego blatu oraz kuchenki i układanie talerzy w kredensie.

On podchodzi do mnie znowu i powstrzymuje moje rozbiegane ręce.

– Hej... – odwraca mnie i obejmuje w tali. – Jeśli się nie mylę, nie skończyliśmy naszej rozmowy.

Zamiast odpowiedzieć, wtulam głowę w jego pierś i chwytam się jego ramion, jakbym już nigdy nie chciała go wypuścić. Filippo przytula mnie mocno i całuje. Chce się kochać i ja też pragnę teraz poczuć, że należę do niego.

W sobotę o piątej po południu zanurzamy się w naszej idylli, w ciszę tokańskiej wsi – gaje oliwne, winnice, pola obsiane zbożem i połacie słoneczników jak okiem sięgnąć.

Wioząca nas taksówka właśnie przejechała przez białą bramę z kutego żelaza i toczy się ob-sadzoną cyprysami drogą prowadzącą do naszego hotelu. Jestem rozanielona. Każda cząsteczka mo-jego ciała emanuje czystym szczęściem. Ściskam dłoń Filippa i staram się sfotografować wzrokiem każdy fragment tego magicznego miejsca, potem przysuwam się do niego i szepczę mu na ucho sło-wo „dziękuję”, będące zapowiedzią pocałunków i pieśczo-t.

Cały kompleks hotelowy, odrestaurowany dawny majątek ziemski, zapiera dech w piersiach – począwszy od wieńczących wejście róż i stojących pod portykiem terakotowych amfor z czerwonymi pelargoniami.

Zapłaciwszy taksówkarzowi, wchodzimy do holu. Filippo zarzucił na ramię swoją sportową tor-bę, a dwoma palcami ciągnie moją superciężką, nieprawdopodobnie wypchaną walizkę na kółkach. Zgodnie z przewidywaniami i tym razem udało mi się przekształcić walizkę w wagon towarowy.

Wnętrze hotelu jest bardzo przytulne. Zachowano szczery, prosty urok domu o bogatej historii, nie rezygnując z elegancji – posadzki z terakoty florenckiej przykryte gdzieś tam ręcznie tkanymi dywanami, lampy i meble z epoki, sygnowane ryciny na ścianach, kolekcja starych książek w biblioteczce z drogiego drewna. A do tego bukiety kwiatów w różnych odcieniach bieli, w efektownie rozstawionych wazonach ze szlachetnej porcelany.

– Brak mi słów – wołam, podziwiając ogromny kominek z kamienia i marmuru. – To miejsce jest jak z bajki.

Filippo wskazuje z przekąsem moją walizkę:

– W jakiś sposób należało usprawiedliwić twój bagaż godny księżniczki.

– A gdzie w takim razie jest książkę z bajki? – pytam, rzucając mu niewinne spojrzenie.

On łapie mnie za kark jak kociaka i w ramach kary całuje w usta. Spoglądam na niego i rozpiera mnie duma. Wygląda dziś jak jeden z modeli

z reklam Hugo Bossa, ubrany à la student elitarnej uczelni w pasiastą koszulkę polo, bermudy w kolorze khaki i skórzane mokasyny.

Udajemy się do recepcji, gdzie wita nas wydekoltowana brunetka. Z przypiętej na piersi plakietki odczytuję jej imię – Vanessa.

– Czy mają państwo rezerwację? – pyta z najprawdźniejszym toskańskim akcentem.

Filippo przygląda jej się przez moment, a porządny chłopiec ustępuje w nim samcowi alfa, który dotychczas pozostawał uśpiony w jakimś zakątku jego mózgu.

– Tak, mamy rezerwację – jego spojrzenie na moment zjeżdża na bujne kształty Vanessy.

– Na jakie nazwisko? – pyta natychmiast, trzepocząc gęstymi rzęsami.

– De Nardi – oznajmiam głośno za nas oboje, stając obok Filippa.

Czuję, że muszę zaznaczyć teren, by powstrzymać wzbierającą nagle falę zazdrości. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że to jeden

z pierwszych przypadków, kiedy jestem o niego zazdrosna, i nie wiem, czy powinno mnie to zaniepokoić, czy pokrzepić.

W każdym razie wygląda na to, że moje milczące ostrzeżenie zadziałało – Vanessa się uśmiecha, kiwa głową, wpisuje coś na klawiaturze i mówi:

– Proszę bardzo. Dwie noce dla dwóch osób.

Następnie melduje nas i przedstawia kilka informacji na temat hotelu, po czym wręcza Filipowi klucze do pokoju i życzy wspaniałego pobytu.

Dziękujemy jej i po kilku minutach znajdujemy się sami w naszym eleganckim apartamencie o ścianach w kolorze amarantowym, z widokiem na łagodne sieneńskie wzgórza. Wnętrze jest ciepłe, przytulne, z wyszukany i bez wątpienia drogim wyposażeniem. Podobnie jak w holu, znajduje się tu kamienny kominek – szkoda, że w nim nie rozpalimy, ale na zewnątrz jest trzydzieści stopni! Ustawiony pod ścianą stół

ze szlachetnego marmuru z najnowszym telewizorem Bang & Olufsen stanowi w pewnym sensie przeciwwagę dla stojącego po drugiej stronie pokoju zabytkowego biurka z kałamarzem z epoki. Dodatkowego smaczku nadają pomieszczeniu czekające w ściennej wnęcie dwa kryształowe kieliszki, puchar truskawek, pokrytych jeszcze kropelkami wody, a do tego wszystkiego wiaderko lodu z cudowną butelką białego musującego Colli Senesi. Dokładnie to, czego potrzebowaliśmy!

Filippo bierze kieliszki i trzymając je między palcami, zwraca się do mnie formalnym tonem, naśladując kelnera w wytwornej restauracji:

– Życzy sobie pani czegoś do picia, signorina?
Przyłączam się do gry.

– Z przyjemnością, monsieur – odpowiadam z lekkim ukłonem.

Po chwili moje życzenie zostaje spełnione.

– Co za widok! – wołam, otwierając okno, i kontempluję krajobraz.

– To wszystko dla nas, Bibi – oznajmia, wdychając czyste, przesycone zapachami powietrze. Potem obejmuje mnie ramieniem, przysuwa się i szepcze: – Możesz powiedzieć temu frajerowi, księciu z bajki, że nie ma ze mną szans.

I zaczyna językiem łaskotać mnie w ucho.

Cofam się, chichocząc, a on przechodzi na środek pokoju i otwiera swoją torbę.

– Pójdziemy przed kolacją na basen? – pyta, szukając kąpielówek.

Filippo zaczyna się rozbierać, racząc mnie wzruszającą interpretacją klasycznego punktu swojego repertuaru, *La collina dei ciliegi* Battistiego.

Otwieram walizkę i też zaczynam się rozbierać. Nie wiem czemu, ale kiedy zdejmuję koszulkę i przyglądam się w lustrze swoim bladym piersiom, na myśl przychodzi mi atrakcyjne ciało Vanessy.

– Ładna ta dziewczyna z recepcji – rzucam mimochodem, zapinając górę od kostiumu.

– Tak, bardzo.

Dał się złapać jak dziecko.

– A więc przyznajesz się? – przeszywam go wzrokiem i biorę się pod boki, jak robiła moja mama, kiedy miała zamiar mnie skrzyknąć.

– Do czego? – pyta z niewinną miną.

– Że pożerałeś ją wzrokiem, ty draniu – zaczynam okładać go pięściami po ramionach, trochę dla śmiechu, a trochę na poważnie.

Filippo się zasłania, ale mnie nie powstrzymuje, niemal rozbawiony. Potem łapie mnie za nadgarstki i unieruchamia.

– Skończyłaś już? – pyta z absolutnym spokojem.

– Świntuch! – krzyczę jeszcze raz, próbując się uwolnić.

– Dobrze, przyznaję, jestem świntuchem – mówi czułym, zmysłowym głosem i całuje mnie w szyję. – Ale tylko z tobą, przysięgam.

Spoglądam na jego umięśnione, gładki jak u nastolatka tors i czuję, jak zaczyna na nas działać nieodparte przyciąganie. Jego oczy zapłonęły żywą

zielenią, jakby pożądanie dodało im nowego świata. Pochyla się i muska nosem moje ramię oraz nasadę ucha, przesuwając palcami wśród moich włosów.

– Nie mieliśmy iść na basen? – szepczę.

– Później...

Zaczyna całować płatek ucha, zaciskając palce na moich włosach. Delikatnie ciągnie moją głowę do tyłu, eksponując szyję, którą muska wargami od dołu aż do twarzy.

Przez chwilę myślę o tym, jak wiele kobiet narzeka, że ich faceci pomijają grę wstępną. On nigdy nie zapomina o pocałunkach.

Teraz staje za mną, przodem do zajmującego całą ścianę lustra, i delikatnie rozpina mi górę od kostiumu. Na mojej skórze w jednej chwili rozwija się siateczka dreszczy, a sutki stają się twarde jak wierzchołki diamentu. Filippo odpina guzik moich szortów i rozsuwa zamek. Potem, całując wciąż moją szyję, wkłada kciuki do moich kieszeni i zsuwa spodenki razem z majtkami.

Stoję teraz naga przed lustrem, a on klęka za mną i rękami mocno obejmuje moje kolana. Wędruje językiem w górę, wzdłuż moich nóg, i lekko gryzie mnie w pupę, aż podskakuję. Zbliża twarz do mojej i patrząc na nasze odbicie, kładzie swoją ciepłą dłoń na moim brzuchu.

– Jesteś przepiękna – szepcze, kładąc mnie w ramię.

– Ty też.

„Dużo bardziej ode mnie”, myślę.

Filippo okrywa rękoma grzbiety mych dłoni, potem kładzie je na moim brzuchu i zaczyna wędrować w kierunku piersi. Ten podwójny masaż – moje dłonie na mojej skórze, osłonięte jego dłońmi – jest tak erotyczny, że z mych rozchyłonych ust wymyka się jęk. Zaczynam wzdychać głośniej, gdy on, wsuwając nogę pomiędzy moje, każe mi stanąć szerzej, po czym prowadzi nasze dłonie do wilgotnej od pożądania waginy. Czuję, jak jego pożądanie naciska od tyłu, i zaczynam płonąć.

Filippo ściąga szybko bokserki i popycha mnie na łóżko. Szukamy siebie nawzajem, z takim samym jak zawsze pragnieniem, ale nasze ciała przenika jakaś inna energia, jak gdyby to miejsce sprawiało, że wszystko staje się dla nas nowe. Całując mnie, wsuwa się powoli do mojego gniazdką, już gotowego na jego przyjęcie. Wypełnia mnie. Porusza się pewnie, eksplorując znany sobie świat, każdym kolejnym ruchem wyzwalając we mnie wibrację rozkoszy. Jego ciało ma znajomy smak, jego oddech, bicie serca, mięśnie są jak solidne podstawy, które dają bezpieczeństwo. Seks z nim jest rytuałem, niezbędną celebracją naszej miłości. Penetruje mnie głębiej, w coraz szybszym rytmie, aż w końcu nasze westchnienia rozkoszy stają się krzykiem, a nasze ciała eksplodują razem w gwałtownym orgazmie.

– Kocham cię – dociera do mnie jego głos, delikatny jak podmuch.

Obejmuje mnie mocno, tak jak lubię.

– Ja też.

Ja też cię kocham, Fil. Chciałabym wciąż to powtarzać i zostać tu na zawsze, w twoich szczerych, silnych ramionach, gubiąc się w twoich oczach.

To najprawdziwszy i najsilniejszy orgazm, jakiego doświadczyliśmy, od kiedy jesteśmy razem. Teraz staliśmy się dwoma ciałami bez sił. Dwoma sercami, które biją jednym rytmem. Dwoma oddechami, które nie przestają siebie szukać.

Filippo podnosi się spokojnie, idzie do łazienki i odkręca wodę w jacuzzi. Dołączam do niego po chwili. Okrągła wanna powoli się napełnia. Para unosi się nad pianą, mieniając się kolorami od czerwieni po granat. Powietrze wypełnia zmysłowy zapach róży i wanilii. Dziś rezygnujemy z basenu na rzecz intymności i uniesień w naszym miłosnym gniazdku.

Upinam włosy wysoko i wspólnie zanurzamy się w pianie, kryjąc się wśród bąbelków. Filippo

ujmuje dłońmi moją twarz, całuje mnie namiętnie, a ja przywieram do niego i z pasją odwzajemniam jego pocałunek. Kocham go, nigdy nie byłam tego bardziej pewna i dawno już nie czułam się tak szczęśliwa. Wiem, że to on jest tym właściwym mężczyzną. On jest moją skałą, moim spokojnym portem, a Leonardo był jedynie niebezpieczną, wyczerpującą przygodą. Przygodą, która już się skończyła. Z tamtego ognia pozostał już tylko popiół.

Następnego dnia wstajemy wcześnie. Romantyczna kolacja przy świecach, w czasie której podano specjały z Val d'Orcia oraz Brunello di Montalcino, nie zaspokoila naszego apetytu. Wręcz przeciwnie, rozbudziła naszą żarłoczność, i rano z zapalem rzucamy się na szwedzki stół, pochłaniając domowej roboty migdałowe ciasteczka, płatki w polewie karmelowej, dzemy i świeży chleb.

Ranek spędzamy, jeżdżąc konno po wijących się wśród wzgórz bitych drogach. Kontakt z nieskażoną naturą naładowuje mnie energią. Nigdy dotąd nie siedziałam w siodle, ale muszę przyznać, że to przeżycie dużo mniej traumatyczne od jazdy motorem. Oczywiście był z nami instruktor jazdy. Ze wskazówek technicznych, których nam udzielił, załapałam może połowę, ale przynajmniej udało mi się nie spaść, co nie jest wcale takie oczywiste. Filippo, który już umiał jeździć, ani na chwilę nie przestawał ze mnie żartować, ale i tak był to fantastyczny poranek. Uwielbiam, kiedy sprawia, że ze śmiechu aż boli mnie brzuch.

Po południu wskakujemy w końcu do odkrytego basenu. Otacza nas ogród pełen kwiatów, pachnący lawendą i rozmarynem. Po kilku wymachach ramion i paru metrach na bezdechu postanawiam, że to wystarczy, i wychodzę z wody. Kładę się na eleganckim leżaku z białego płótna i wystawiam na słońce. Wokół nie ma nikogo – goście hotelowi najwyraźniej nie są zainteresowani

basenem. Ich strata – rozciąga się stąd nieprawdopodobny widok na gaje oliwne i dolinę Ciliano. W tej małej oazie, wśród kojącej ciszy, zaczynam znowu oddychać, zapominając o chaosie Rzymu i mojego serca, które pośród tego spokoju w końcu zwolniło rytm.

Po pewnym czasie Filippo również wychodzi z wody i dołącza do mnie. Jest przepiękny: szczupła i harmonijna sylwetka – *Dawid* Michała Anioła z krwi i kości. Zagląda do torby, wyciąga swój nieodłączny iPad, którego nie potrafił zostawić w domu, i kładzie się na leżaku obok mnie. Wierna prasie tradycyjnej, zabieram się za przeglądanie czasopisma, które znalazłam w holu. Od czasu do czasu wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia, wyciągamy ręce po podane wcześniej kieliszki i raczymy się doskonałym Bolgheri Sauvignon.

Może właśnie ta atmosfera relaksu, spokój ducha, który mnie ogarnął, i sceneria jak ze snu

sprawiają, że czuję się gotowa, by poruszyć temat, który od kilku dni chodzi mi po głowie.

A więc zaczynam:

– Wiesz, myślałam o twoim pomysśle, żeby wrócić do Wenecji... i o mieszkaniu, które mi pokazałeś.

Filippo odwraca się natychmiast. Całkowicie przykułam jego uwagę.

Nie rozczaruję go:

– Postanowiłam. Jestem gotowa, Fil – uśmiecham się lekko. – Ale niech ci się nie przewróci w głowie, dobrze? Robię to tylko dlatego, że zaczynam tęsknić za Wenecją – bagatelizuję swoje słowa.

– Naprawdę? – pyta niemal podejrzliwie. W tej chwili wcale nie ma ochoty na żarty.

– Tak, naprawdę – odpowiadam, niemal obrażona jego niepewnością.

Filippo wstaje, wyciąga do mnie obie ręce, ja podaję mu swoje, a on energicznie podnosi mnie

do góry. Potem obejmuje mnie w talii i zbliża twarz do mojej.

– Posłuchaj, Bibi – mówi z cierpliwą miną, jakby tłumaczył dziecku coś bardzo skomplikowanego. – Wiesz, co to oznacza, prawda?

Z uśmiechem kiwam głową. On wzdycha i rozgląda się dookoła, jakby jeszcze nie wierzył.

– To oznacza wspólny dom, wspólną przyszłość, wspólne życie. I nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę... – patrzy na mnie tymi wielkimi, jasnymi oczami, a jego palce przejeżdżają po ramionkach mojego kostiumu. – Jesteś gotowa na ten krok?

– Tak, jestem! – odpowiadam z przekonaniem, odwzajemniając jego spojrzenie.

– A więc zróbmy to! – woła, popychając mnie do tyłu.

Dostrzegam na jego twarzy kpiarski uśmiech i właśnie w tym momencie uświadamiam sobie, że mnie oszukał, a ja tracę równowagę. Nie zdążywszy nawet krzyknąć, wpadam do basenu i zanim

wypływam na powierzchnię, zostaję chwilę pod wodą. Filippo wskakuje za mną i podpływa do mnie.

– To był podstęp! – warczę, ale już oplótłam go rękami i nogami, a moje zęby szukają jego warg.

– Nie martw się – uspokaja mnie szeptem. – Przybyłem cię uratować.

Całujemy się namiętnie, przyciśnięci do siebie, tworząc jedno ciało, potem Filippo oplata mnie ramionami w rogu basenu.

– Jeśli chcesz, możemy obejrzeć to mieszkanie. Wyślę mail do agencji i umówimy się na któryś weekend.

Nie wiem dlaczego, nagle przez moją głowę przelatuje niewłaściwa myśl, która psuje nastrój jak nieproszony gość. Co robi Leonardo w mojej wizji szczęścia z Filippem? Jaki ma związek z naszymi planami na życie? Żaden, absolutnie żaden. Więc muszę ją przepędzić.

Kiedy Filippo oczekuje na odpowiedź, ja przekonuję siebie, że to nieważne, jaką decyzję podejmiemy w sprawie tego mieszkania ani czy przeprowadzimy się do Wenecji – moje życie tak czy inaczej będzie toczyć się dalej bez Leonarda. Dlatego muszę usunąć go z tego równania. Teraz wiem, co jest dla mnie dobre. W końcu, prezentując najbardziej promienny z uśmiechów, mówię:

– Dobrze, pojedźmy zobaczyć to mieszkanie.

– Jesteś pewna, Bibi? – pyta czule Filippo.

Obawiam się, że zauważył moje wahanie. Kładę rękę na sercu i oznajmiam głośno i pewnie, jakbym zeznawała pod przysięgą:

– Oczywiście, że jestem pewna.

Teoretycznie daję raptem swojemu chłopakowi pozwolenie na wysłanie maila: zgadzam się na pomysł przeprowadzki i obejrzenia nieruchomości w Wenecji. Ale w rzeczywistości wiem, że to oznacza o wiele więcej. W duchu odczuwam to jako znak odrodzenia, przełomu. Okazuję moją miłość. Chronię nasz związek. Wybieram Filipa.

– Cieszę się, Bibi – szepcze, opierając czoło o moje.

– Ja też.

Całujemy się jeszcze i jeszcze, a niebo zaczyna płonąć czerwienią.

Jutro wracamy do Rzymu, do codziennego życia, ale chcę wierzyć, że coś się zmieniło, że ten właśnie moment staje się początkiem czegoś nowego, wspólnej przyszłości z mężczyzną, którego wybrałam.

Składam obietnicę jemu i sobie samej i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by jej dotrzymać.

Po powrocie z weekendu w Toskanii wszystko wydaje mi się słodsze – miłość, praca, drobne sprawy.

Moje porozumienie z Filippem wzmacnia się z każdym dniem. Od kiedy powiedziałam, że chcę wrócić z nim do Wenecji, żyjemy w doskonałej harmonii, w ufnym oczekiwaniu na przyszłość, którą postanowiliśmy dzielić.

Nawet powrót do San Luigi dei Francesi był dużo mniej traumatyczny, niż przewidywałam. Na pewno te trzy dni wakacji przyniosły mi odprężenie i naładowały nową energią, a może to początek lata (kocham tę porę roku!), w każdym razie faktem jest, że już dawno nie pracowało mi się tak dobrze. Jestem w stanie poświęcić się bez reszty temu, co robię. Czuję się żywa, skoncentrowana, zauważyła to nawet Paola

i pochwaliła mnie za to, jak poradziłam sobie z problematycznym fragmentem fresku, zupełnie zniszczonym przez pleśń. A rzadko się zdarza, by wyraziła uznanie dla kogokolwiek.

Teraz zrobiłam sobie piętnaście minut przerwy i czekam na Martina. Wczoraj pojawił się znowu, po długiej nieobecności, zaproponowałam mu więc wspólną kawę na piazza Sant'Eustachio – tam, gdzie w trakcie pogaduszek zrodziła się nasza, jeśli można to tak określić, przyjaźń. Nie jestem pewna, czego on ode mnie oczekuje, ale zrozumiałam, że zależy mi na nim i naprawdę jest mi przykro, że się oddalił, szczególnie po tym jak zobaczył mnie przed kościołem z Leonardem. To jedyna osoba, z którą potrafię rozmawiać o sztuce, nie mając uczucia, że przynudzam albo jestem oceniana. Martino jest błyskotliwy i twórczy, a przy tym nigdy nie zadziera nosa. Może dlatego, że jest jeszcze młodym chłopakiem, a może za sprawą nieco in-trowertycznego charakteru z reguły nie bierze

siebie zbyt na poważnie, co sprawia, że rozmowy z nim są szczególnie zabawne.

Jest jedenasta rano i zrobiło się już bardzo gorąco. Rzym promienieje pięknem, a powietrze niesie zapach morza, który na pewno nie jest jedynie wytworem mojej wyobraźni. W takim świecie chyba nie można nie być szczęśliwym.

Nadchodzi Martino. Wyłonił się z zaułka w bocznej części placu i idzie tym swoim sprężystym, nieco niezgrabnym krokiem, w dżinsach, białym T-shircie i nieodłącznych all starach w kratkę. W ręku trzyma ogromną plastikową teczkę w rozmiarze XL, jakich używają artyści albo studenci. Zauważam, że jego zbuntowany kosmyk jest jeszcze dłuższy.

– Jak się masz? – witamy się dwoma całusami w policzki.

– Dobrze, a ty? – nie czeka na odpowiedź i spogląda na mnie jakby z nutą melancholii. Potem opada na krzesło i opiera teczkę o nogę stolika. – Szczerze mówiąc, jestem strasznie

zarobiony. Na Akademii dorzucili mi jeszcze dwa dodatkowe zajęcia z rysunku – tłumaczy ze skwaszoną miną.

– Ach, więc dlatego przestałeś bywać w tych stronach... – zdradzam odrobinę żalu.

– Cóż, tak naprawdę skończyłem już z cyklem o świętym Mateuszu. Dosyć monet straciłem! – uśmiecha się z ulgą. – Rzuciłem się teraz na inne dzieło Caravaggia.

Przerywamy na chwilę, by zamówić dwie kawy u tego samego kelnera, który chyba już nas poznaje, po czym spoglądam na Martina zaintrygowana.

– To którym się teraz zajmujesz?

Bardzo mnie to ciekawi. Kiedy słucham opowieści o jego życiu wśród książek i nauce do egzaminów, przeżywam na nowo niezliczone szczęśliwe chwile z czasów studenckich, kiedy włóczyłam się od jednego muzeum do drugiego w poszukiwaniu nowych inspiracji.

– *Madonną z wężem*, jest w Galerii Borghese.

– Przepiękny obraz! – komentuję z entuzjazmem. – Znam go, ale nie widziałam jeszcze na żywo.

– Nie? Nie wierzę... – wytrzeszcza oczy.

Potem otwiera usta, lecz po chwili znowu je zamyka, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie miał odwagi.

Chyba się domyślam i przychodzę mu z pomocą:

– No właśnie, i powinnam jak najszybciej to zmienić, nie sądzisz?

– Hmm, mogłabyś pójść ze mną któregoś dnia – mówi pośpiesznie.

Podoba mi się, kiedy daje nieśmiałości kopa i pozwala słowom płynąć swobodnie.

– OK, ale oczekuję od ciebie interpretacji godnej najlepszego krytyka.

– W porządku, spróbuję... ale nie spodziewaj się Philippe’a Daverio! – uśmiecha się, dotykając kolczyka w brwi.

– Jasne. Też masz przyjść w kraciastej marynarce i pod muszką... – wybuchamy szczerym, przyjacielskim śmiechem.

Po pożegnaniu z Martinem, kiedy ruszam z powrotem do kościoła, dostaję SMS od Leonarda.

Gdzie jesteś? Dlaczego nie odpowiadasz?

Na wyświetlaczu pokazują się trzy nieodebrane połączenia. Nie słyszałam ich, bo wyciszyłam dźwięk w telefonie i zapomniałam włączyć go na nowo.

Kilka dni temu Leonardo znowu zaczął mnie nękać, dzwoniąc i wysyłając SMS-y, ale ja ani razu mu nie odpowiedziałam. Obiecałam sobie raz jeszcze, że już zawsze będę go unikać, i dotrzymuję mojego postanowienia. Ale za każdym razem, kiedy on stara się ze mną skontaktować, moja stabilność emocjonalna zostaje wystawiona na ciężką próbę. I wcale nie jestem już

teraz pewna, czy ignorowanie go jest właściwą strategią. Należałoby zrobić coś nieodwołalnego, co położyłoby kres tej męce.

Nie ma sensu się więcej spotykać.

Postanowiłam być z Filippem, na poważnie.

Proszę, nie dzwoń więcej.

Prosto, jasno, bezpośrednio. Może wystarczy, żeby uciszyć Leonarda. Ale nie jestem taka pewna, czy wystarczy, by uciszyć moje serce...

Kilka następnych dni minęło w całkowitym spokoju. Leonardo nie odezwał się więcej, ale ja wciąż jestem w pogotowiu. Wygrałam bitwę, lecz być może nie wojnę. Wystarczyło stanowczo i bez niedomówień powiedzieć mu: dość, a on się zniechęcił i całkiem ucichł. Nigdy bym nie uwieryła, że jedno wiadro wody może ugasić ogień taki jak Leonardo. Pożar, który teraz przestał

trawić każdy skrawek mojego życia. Już nigdy go nie zobaczę ani nie usłyszę, a niedorzeczny, przekorny los, który pewnego dnia sprawił, że przecięły się nasze drogi, na pewno nie wtrąci się już w moje decyzje. Poza tym czas zrobi swoje, jestem tego pewna. Żegnaj, Leonardo. Niedługo będziesz już tylko wspomnieniem...

Dochodzi pierwsza i w nozdrzach czuję jeszcze zapach tempery i rozpuszczalników. Spacer – tego mi było trzeba, żeby trochę odetchnąć i przyzwycząić oczy na nowo do naturalnego światła. Choć słońce na rzymskim niebie jest dziś blade, w połowie przesłonięte groźną chmurą, a ja nie mam nawet parasola, przekonuję samą siebie, że nie będzie mi on potrzebny.

Idę po Filippa do jego pracowni przy via Giulia, żeby wspólnie zjeść obiad. Oczywiście przebrałam się na tę okazję, zastępując roboczy uniform białą sukienką bez rękawów, z koronkowymi wstawkami: czuję, że skoro złapałam już trochę słońca, mogę ubierać się nieco odważniej.

Jeśli jednak chodzi o buty, pozostałam przy płaskiej podeszwie (wybacz, Gaia!): tego lata królują gladiatorki, a ja z radością podporządkowałam się tej modzie.

Pracownia przy via Giulia wita mnie kolorowymi ścianami i wonią laserowych drukarek. Unosi się w niej przyjemny zapach kreatywności. Do pewnego stopnia można się tu poczuć jak w centrali NASA, wśród tych wielkich plazmowych ekranów, gigantycznych macbooków, skanerów, pantografów i innych urządzeń high-tech, których przeznaczenia nie znam. Wszędzie panuje artystyczny nieład: na półkach regałów i na podłodze w geometryczne wzory. Dwa zegary zawieszono symetrycznie na ścianie w głębi wskazują czas w Rzymie i w Nowym Jorku. Za każdym razem kiedy tutaj wchodzę, czuję, jak uderza mnie ładunek pozytywnej energii.

– Cześć, Eleno – to głos Alessia. Wstaje od biurka i wychodzi mi naprzeciw, prezentując tropikalną opaleniznę i nowy tatuaż na prawej ręce.

– Jak leci? – pyta z uśmiechem jak z reklamy biura podróży.

– Wszystko w porządku, dzięki – odpowiadam pospiesznie. – Gdzie znajdę Filipa?

– Był tam, z klientem – ruchem głowy wskazuje zamknięte drzwi sali konferencyjnej. – Ale idź. Wydaje mi się, że już skończył.

– OK. Dzięki!

– Ach, zapomniałbym! – zatrzymuje mnie, jakby właśnie przypomniał sobie o czymś ważnym. – Flavia dziękuje ci za te kremy, które przywiozłaś jej z Toskanii.

Boże, znowu!

– Nie ma sprawy, to żaden problem – odpowiadam z urzędowym uśmiechem.

Od dnia moich urodzin te kremy stały się prawdziwym utrapieniem. Kiedy Flavia dowiedziała się o naszej podróży do Toskanii, zaczęła zasypywać mnie SMS-ami i dręczyć telefonami, namawiając do odwiedzenia słynnego – w każdym razie według niej – centrum zielarskiego

znajdującego się kilka kilometrów od naszego hotelu. A to dlatego, że chciała, byśmy przywieźli jej niedostępne nigdzie indziej naturalne preparaty przeciwzmarszczkowe, stuprocentowo ekologiczne i kosztujące fortunę. Wykonałam tę misję tylko z miłości do Filippa i ze względu na łączącą go z Alessiem przyjaźń. Ale przez ten nadprogramowy wypad o mało nie spóźniliśmy się na pociąg.

– Flavia ma fioła na punkcie tych rzeczy – ciągnie Alessio i z rezygnacją kręci głową.

Uśmiechem zapewniam go o mojej solidarności.

– Wiesz, że dali jej wieczorne wydanie wiadomości?

Wyobrażam sobie, jak z tą platynową grzywą i napompowanymi silikonem ustami przedstawia informacje dnia w głównym wydaniu wiadomości jakiejś regionalnej telewizji.

– To wspaniale! W takim razie obejrzę na pewno – pospieszam z zapewnieniem. Potem się

wymykam, zanim Alessio zacznie opowiadać mi całą fascynującą karierę telewizyjną swojej żony.

Pukam lekko i otwieram przesuwane drzwi sali konferencyjnej. Na końcu pokoju stoi Filippo i uśmiecha się do mnie promiennie. Ale jest jeszcze jeden obraz, który powoli ukazuje się moim oczom w pełnej ostrości – potężne plecy odziane w szarą lnianą marynarkę. Te plecy! Włosy w lekkim nieładzie, szerokie barki, napięte mięśnie ramion. Nie śnię. Nie jestem szalona. Znam dobrze to ciało, ale nie mogę powiązać go z tym pokojem. Moje myśli wariują – co do diabła robi tu Leonardo?

– Przepraszam... Myślałam, że jesteś sam.

Nie wiem, jakim cudem pomimo szoku, w jakim się znajduję, wciąż pamiętam o zasadach dobrego wychowania. Widocznie to ostatni pewnik, którego mogę się chwycić.

– Wejdz, Bibi, już prawie skończyliśmy – Filippo zaprasza mnie gestem. Nie mogę się wycofać, jak w transie robię kilka kroków naprzód. Widzę

go teraz z boku, potem z przodu, i mam wyraźne wrażenie, że podłoga drży pod moimi stopami. Usiłuję powstrzymać każdą niekontrolowaną oznakę zdumienia i utkwivszy wzrok w Filippie, wydaję z siebie słabe „cześć”. Tak naprawdę chciałabym wyskoczyć przez okno. W tej chwili.

– To moja narzeczona – wyjaśnia Filippo z pewną poufałością i wypycha mnie wprost przed samego diabła.

– Eleno, to Leonardo Ferrante – przedstawia go z podziwem, brakuje tylko, by poklepał go po ramieniu. – Szef kuchni w restauracji, w której byliśmy w twoje urodziny, pamiętasz?

– Ach – udaję, że szukam w pamięci. – Il Cenacolo?

– Właśnie. A od dziś także klient naszej pracowni – kończy Filippo.

Chyba źle zrozumiałam.

– Miło mi – ściskam jego dłoń, robiąc dobrą minę do złej gry.

Temperatura moich policzków wzrosła chyba do pięćdziesięciu stopni, za to po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Nigdy nie byłam dobra w takich teatrzykach. Szczególnie teraz, kiedy przez głowę błyskawicznie przelatują mi migawki z naszych zakazanych spotkań.

– Bardzo mi miło – Leonardo prezentuje najlepszy ze swoich uśmiechów. W głębi mojego ciała rośnie potężny ładunek gniewu, ale staram się zatrzymać go wewnątrz.

– Leonardo wraz ze swoim współnikiem wpadł na wspaniały pomysł – opowiada mi Filippo. – Chcą wyremontować dawną fabrykę nad Aniene. Zamierzają otworzyć w niej restaurację.

– Pracownia zajmie się przebudową? – pytam jak nierozgarnięta.

Wiem, że robię z siebie idiotkę, ale mój mózg nie chce tego przyjąć – mój kochanek właśnie zaangażował mojego chłopaka do zaprojektowania restauracji w miejscu, w którym uprawialiśmy seks.

Leonardo potwierdza. Spogląda z zadowoleniem, zachowuje się pewnie. Całkowicie panuje nad sytuacją. Co więcej, jest wręcz rozbawiony.

– Byliśmy niedawno obejrzyć lokalizację – ciągnie Filippo. Szuka spojrzenia Leonarda. – To naprawdę piękne miejsce.

– Już się do niego przywiązałem – dodaje Leonardo, ukradkiem puszczając mi oko. – I nie mogę się doczekać, kiedy będzie się nadawało do użytku.

– Skończymy w rekordowym tempie. Tak jak ci mówiłem: mamy sprawdzoną ekipę – zapewnia Filippo. – A ponadto będę nadzorował wszystko osobiście – kończy uroczyście, składając mapę geodezyjną na czworo i odkładając ją do leżącego na biurku segregatora.

Mam ochotę zacząć wrzeszczeć z rozpaczy, a tymczasem muszę stać grzeczna i uśmiechnięta. Cierpię, jakby tatuowano mi na piersi pierwszą literę słowa cudzołożnica.

Tatuaż. Przez chwilę przychodzi mi na myśl tatuaż Leonarda. I sytuacje, w których mogłam go zobaczyć. Ale muszę odpędzić tę myśl jak najszybciej.

Leonardo zerka na zegarek.

– Dobrze. Zrobiło się już późno. Pewnie chcecie iść na obiad, nie będę zabierał wam czasu.

Ściska dłoń Filippa.

– Spotkamy się za kilka dni.

Potem odwraca się do mnie i powtarza gest:

– Eleno, było mi bardzo miło.

Spogląda mi prosto w oczy i dodaje, niemal tonem groźby:

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Nie odpowiadam ani słowem, ograniczając się do skinięcia.

Po wyjściu Leonarda Filippo zgniata mnie w energicznym uścisku i całuje w usta.

– A więc gdzie idziemy na obiad? Masz ochotę na filet z *baccalà*? Czy coś bardziej egzotycznego?
– pyta z większym niż zwykle entuzjazmem.

– Gdzie chcesz.

Nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Obiad jest ostatnią rzeczą, o której chcę teraz myśleć.

– Słyszałaś, jaki projekt? To będzie niezłe wyzwanie – uśmiecha się z zadowoleniem i wyłącza komputer.

– Tak, to wygląda na naprawdę dobry pomysł.

Staram się być przekonująca, ale moje umiejętności aktorskie zawodzą.

Na szczęście Filippo chyba niczego nie zauważył i biorąc mnie pod ramię, oświadcza:

– Wiesz co?

– Tak?

– Chodźmy do tej liguryjskiej knajpy. Umi-
eram z głodu.

Ja wręcz przeciwnie. Ścisnął mi się żołądek, ale z wysiłkiem robię przekonaną minę i mówię:

– OK.

– I to biegiem...

Dochodzimy do vicolo dell'Oro, gdzie znajduje się restauracja. Bywamy w niej często. Mają w karcie świetne dania kuchni liguryjskiej i grzechu warte ciasta domowej roboty. Kolejka jest znacznie dłuższa, niż się spodziewaliśmy, ale jakimś cudem udaje nam się znaleźć pod oknem stolik dla dwóch osób. Zostajemy obsłużeni niemal natychmiast, ku ucieście Filippa, który wsuwa cacciucco w takim tempie, jakby pościł od tygodnia. Mnie natomiast zmierzenie się z talerzem *trofie* z pesto wydaje się przedsięwzięciem ponad ludzkie siły. Przez cały obiad prezentuję tylko kolejne plastikowe uśmiechy, udając zaskoczoną w wywód przejętego Filippa. W rzeczywistości myślami jestem gdzie indziej i choć patrzę przez stół na swojego chłopaka, nie potrafię nie myśleć o Leonardzie. Jak mógł zrobić coś tak perfidnego? I przede wszystkim – dlaczego to zrobił? Nie wiem, dokąd zmierza. Zapewne planuje jedną ze swoich perwersyjnych gier, w których jestem tylko pozbawionym wyboru pionkiem. Ale tym razem

naprawdę przesadził i nie dopuszczę, by uszło mu to na sucho.

Kiedy wychodzimy z restauracji, jest ciemno prawie jak o zmierzchu. Szare jak stal chmury, zawieszono nisko na horyzoncie, zapowiadają nadciągającą ulewę. Nie mamy parasola, ale w tej chwili to nieważny szczegół. Ucieszyłabym się nawet, gdyby porządnie mnie zlało. Może deszcz zmyłby bombardujące moją głowę myśli.

– Wrócisz sama do San Luigi? – pyta Filippo, doprowadziwszy mnie na róg ulicy.

– Tak, nie przejmuj się.

– Na pewno nie muszę cię odprowadzać? – w jego głosie dźwięczy nutka sarkazmu.

Wiem, co ma na myśli. Moja umiejętność gubienia się w Rzymie jednocześnie bawi go i niepokoi.

– Na pewno – odpowiadam z uśmiechem. – Już znam drogę.

– Nie sądzę, żeby zaczęło lać – mówi, spoglądając w niebo. – Ale może lepiej, jeśli pobiegiesz.

– Dobrze, proszę pana.

– Do zobaczenia wieczorem, Bibi! – na pożegnanie składa mi na ustach miękki pocałunek.

– Do zobaczenia.

Szybkim krokiem przemierzam jedną przecnicę w kierunku San Luigi, ale kiedy jestem pewna, że Filippo już mnie nie widzi, odbijam w kierunku Tybru i przechodzę przez Ponte Mazzini. Muszę koniecznie pójść w jedno miejsce i muszę to zrobić teraz, nie mogę tego odkładać. I nie ma obaw, że się zgubię, moim celem jest bowiem dom Leonarda.

Idąc pospiesznie Lungotevere, jakby w odruchu warunkowym otwieram torebkę i sprawdzam makijaż w lusterku puderniczki. Tusz do rzęs rozmazał mi się pod oczami. W tej chwili nie powinno mnie to obchodzić, opieram się więc

pokusie poprawienia make-upu i układania włosów. Nie idę przecież z wizytą grzecznościową.

Z wściekłością, która zżera mi żołądek, odkładam puderniczkę i wyciągam komórkę. Czeka na mnie wiadomość od Paoli z 14:11, sprzed pięciu minut.

Gdzie jesteś?

Odpisuję, że coś mi wypadło i wrócę do pracy za pół godziny lub troszkę więcej. Domyślam się, że po przeczytaniu tej odpowiedzi nie będzie zadowolona, ale później znajdę sposób, by uzyskać wybaczenie.

Tymczasem widzę już okna mieszkania Leonarda i sama nie wiem, czy to działo się wczoraj, czy w poprzednim życiu, kiedy byłam tu ostatnio, po spędzonym nad morzem przedpołudniu. Nagle powracają do mnie emocje z tamtego słonecznego dnia, kiedy czułam, że duszę się z przejmującego pożądania, z rozkoszy, a teraz

zadaję sobie pytanie, jak mogłam pozwolić, by to zaszło tak daleko.

Mam nadzieję, że Leonardo jest w domu. O tej godzinie mógłby jeszcze być w pracy albo na mieście, zajęty nie wiadomo czym. Jednak kiedy docieram do budynku, dostrzegam jego sylwetkę na tarasie. Jest bosy, ma na sobie dżinsy i białą, rozpiętą koszulę (przebrał się, wcześniej był w czerwonej), i mrużąc oczy, spogląda na niebo, może żeby odgadnąć, czy będzie padać. Stoję przez moment i obserwuję, napawając się choć raz przewagą nad nim – obserwowany bez swojej wiedzy, każdy, nawet Leonardo, staje się bezbronny i bardziej ludzki. Oto on, mężczyzna, jakich wielu – nie mam żadnego powodu, by się go bać. Inaczej niż zawsze, serce nie podchodzi mi do gardła, nie czuję się onieśmielona. Całkowicie spokojna, pewna i zdecydowana przygotowuję się, by stawić mu czoło.

Nagle, niemal jakby poczuł na sobie moje spojrzenie, Leonardo się odwraca i zauważa mnie.

Nie wydaje się ani trochę zdziwiony, unosi rękę i uśmiecha się, jak gdyby spodziewał się mojej wizyty. Wytrzymuję jego wzrok, nie odwzajemniając pozdrowienia, po czym ruszam w stronę drzwi wejściowych i zanim zdążę nacisnąć dzwonek, słyszę pstryknięcie zamka. Nie przyjmowałyby mnie tak serdecznie, gdyby wiedział, ile jadu mam zamiar zaraz wylać.

Małymi kroczkami wchodzę po schodach, nerwy na wodzy, mięśnie napięte. Czuję się silna, jak wojowniczka wyposażona w najlepszą zbroję. Przestałam się bać – wiem, że kiedy nadejdzie właściwy moment, będę gotowa, by przypuścić atak. Zachowaj zimną krew, Eleno.

Drzwi loftu są otwarte. Wita mnie łagodna muzyka klasyczna i uwodzicielski kobiecy głos. Leonardo z podwiniętymi rękawami stoi przy kuchennym blacie. Ma przed sobą kosz z letnimi owocami, które kroi ceramicznym nożem. Ostrze zanurza się szybko w soczystym wnętrzu

brzoskwini, niemal muskając jego palce i wydając rytmiczny dźwięk przy zetknięciu z deską.

– Proszę, wejdź – rzuca szybkie spojrzenie w moją stronę i ręką daje mi znak, żebym weszła dalej. – Kiedy mówiłem, że mam nadzieję jeszcze cię zobaczyć, nie sądziłem, że będzie to tak szybko – dodaje ze spokojem i kroi dalej.

Zamykam za sobą drzwi i robię kilka kroków. Znajoma woń łaskocze mój nos – to zapach Leonarda, zmieszany z aromatem brzoskwini. Rozglądam się dookoła i na moment przytłacza mnie lawina wspomnień, chwil, które wtedy wydawały się piękne, a teraz mają już tylko gorzki smak. Przytłaczają mnie emocje, ale nie pozwolę, by odwiodły mnie od mojego postanowienia. Rośnie we mnie brutalna siła.

– Sympatyczny ten twój chłopak.

– Słuchaj, oszczędź mi tych bzdur – przerywam mu z grymasem zniecierpliwienia i krzyżuję ręce na piersi. – Myślałam, że w mojej ostatniej

wiadomości wyraziłam się jasno – mój głos jest zimny i ostry jak klinga jego noża.

– Rzeczywiście. Wyraziłaś się więcej niż jasno – przesuwa dłonią po podbródku, dotykając zarostu. – Powiedziałbym: kategorycznie.

– Ale ty masz to gdzieś, prawda?

Rzucam na ziemię torbę i zbliżam się do blatu. Staję przed nim i patrzę mu w oczy.

– Co zamierzasz zrobić? Co masz nadzieję osiągnąć tym posunięciem, można wiedzieć? – i od razu podnoszę rękę, żeby mu przerwać. – Poczekaj, nie mów mi. Już wiem, co odpowiesz: „Chcę się tylko trochę zabawić”. Czy nie o to chodzi?

– Ratunku... Co ja takiego narobiłem? Byłem niedobry? Nigdy jeszcze nie widziałem cię tak zdenerwowanej – podnosi wzrok znad deski do krojenia i przygląda mi się, jakbym była rzadkim, wymierającym gatunkiem. Co doprowadza mnie do jeszcze większego szału.

– Jasne, że jestem zdenerwowana! – biorę głęboki wdech i staję mocniej na nogach, w lekkim rozkroku. – I nie zaczynaj mi opowiadać, że to był przypadek. Że to przeznaczenie zaprowadziło cię do tej pracowni.

– Rzeczywiście, to nie było przeznaczenie – wyjaśnia spokojnie, rozgniatając owoce z lodem w dwóch kieliszkach. Jego głos pozostaje zupełnie niezmienny. – Po prostu zwróciłem się do jednej z najlepszych pracowni architektonicznych w Rzymie. Nie wydaje mi się szczególnym problemem, że pracuje tam też Filippo – wypowiada jego imię, przeciągając nieco sylaby. Jednocześnie wlewa do kieliszków bliżej niezidentyfikowany płyn i energicznie miesza.

– Leonardo – prawie nigdy nie wymawiam jego imienia w pełnej formie. Jestem wściekła, ale panuję nad sobą. – Przestań robić ze mnie idiotkę – uderzam pięścią w blat. – To sprawa między tobą a mną. Po co mieszasz w to Filipa?

– Eleno, uspokój się. Jeśli myślisz, że opowiem mu o nas, to się mylisz. Możesz być tego pewna. – Podchodzi z dwiema szklankami o grubym dnie i spogląda na mnie ze szczerością.

W jakiś niezdrowy sposób potrafi sprawić, że czuję się, jakbym nie miała racji, jakbym właśnie wymyśliła sobie bezsensowną historyjkę i niesprawiedliwie go oskarżała. Podnosi moją rękę i wkłada w nią szklankę z koktajlem, jakbym była małą dziewczynką.

– Wypij – zachęca, stukając swoim szkłem o moje.

W obliczu tak bezczelnej pewności siebie ogarnia mnie frustracja. Leonardo wciąż mi ucieka, nie pozwalając dojść do sedna sprawy. Mój gniew osiąga poziom alarmowy.

– Dosyć, Leonardo. Odpowiedz mi – nakazuję z najgroźniejszą miną, na jaką mnie stać, i odstawiam szklankę na blat. – Wyjaśnij mi, po co poszedłeś do Filipa.

Nie wygląda na poruszonego. Upija łyk koktajlu i smakuje go z zadowoleniem. Potem odwraca się do mnie.

– To ty mi odpowiedz na jedno pytanie. – Oczy mu się zwężają, jakby chciał zajrzeć w głąb mnie, a zmarszczki mimiczne nadają mu dziwnego, badawczego wyrazu. – Dlaczego tu jesteś?

Nie spodziewałam się takiego odwrócenia ról, ale odpowiadam natychmiast:

– Żeby ci powiedzieć, że masz się trzymać z daleka ode mnie i mojego narzeczonego.

Kręci głową i bierze kolejny łyk.

– To nie jest prawdziwy powód. I doskonale o tym wiesz.

Stoi już bardzo blisko, biała koszula zajmuje całe moje pole widzenia, a jego silny zapach staje się niemal nie do wytrzymania. Jego oddech zniża się, by musnąć moje ucho.

– Wiedz, że się cieszę, że przyszedłeś – i składa mi na szyi delikatny pocałunek.

Odskakuję do tyłu i nim udaje mu się mnie zatrzymać, wylewam mu drink na twarz, a szklankę roztrzaskuję o ziemię. Przez moment stoi jak sparaliżowany. Moje oczy rejestrują kawałki szkła i miąższ owoców na podłodze, a potem Leonarda z kroplami koktajlu kapiącymi z brody i włosów na klatce. Nigdy dotąd nie zrobiłam czegoś podobnego. Czuję płynący w żyłach ładunek adrenaliny.

Leonardo odstawia swoją szklankę i powoli przejeżdża dłonią po twarzy. Ta jego niewzruszona wobec wszystkiego mina doprowadza mnie do szału. Rzucam się na niego i zaczynam szarpać go za koszulę i okładać pięściami jego tors.

– Masz zniknąć z mojego życia, zrozumiałeś? Masz zostawić mnie w spokoju, masz przestać niszczyć mi życie... Bo ja tak postanowiłam, a ty zrobisz teraz to, czego chcę – to miała być groźba, ale zabrzmiało jak błaganie. Rozpaczliwe błaganie.

Przez chwilę Leonardo nie reaguje, pozwalając mi się wyładować, a potem szybkim ruchem chwyta mnie za nadgarstki i odwraca tyłem do

siebie. Unieruchamia mnie w swoim uścisku, dociskając mi plecy do swojej piersi, i kładzie mi dłoń na ustach. Wiję się jak węgorz, ale on jest silniejszy i panuje nade mną.

– Ćśśś. Wystarczy, Eleno. Posłuchaj.

Wszystko na nic: z ciężkim oddechem i sercem walącym jak oszalałe muszę się poddać.

– Powiem ci, dlaczego tutaj jesteś – wyjaśnia ze spokojem, zbliżając twarz do moich włosów.

Uwalnia jedną dłoń i zsuwa ją po moim biodrze, drugą wciąż unieruchamiając mi nadgarstki. Dociera do brzegu sukienki i unosi go.

– Chociaż nie chcesz się do tego przyznać, nie potrafisz trzymać się ode mnie z daleka. – Jego głos jest niski i głęboki, czuć w nim alkohol i owoce.

Za sprawą znajomego dotyku zaczyna mi się kręcić w głowie. Mięśnie podbrzusza napinają się od stężonego pożądania, kiedy Leonardo powoli pieści mnie między nogami. Potem jego palce

wsuwają się pod bieliznę w poszukiwaniu mojej wilgoci.

– To dlatego tu jesteś, Eleno. Twoje ciało nie kłamie – mówi, poruszając się bezkarnie między moimi wargami.

To wszystko jest nie do przyjęcia. Żar rozkoszy wznosi się aż do mózgu i zderza z rozsądkiem i siłą woli. Trudno się oprzeć tym dłońom. Ciepłym, wprawnym. Wystarczy moment, by znowu ulec pokusie. Muszę zdobyć się na niewyobrażalny wysiłek, by nie oddać się całkowicie i zebrać pozostałe resztki godności. Skupiam całą swoją energię i uwalniam się z uścisku, odpychając od siebie jego dłonie. Unoszę rękę, żeby uderzyć go w twarz, ale on szybko łapie mnie za nadgarstek.

– Powiedz, że to nieprawda – rzuca mi wyzwanie tymi ciemnymi, bezkarnymi oczami, zbliżając się znów na niebezpieczną odległość.

To nieprawda. A może prawda. Ale to bez znaczenia. Liczy się to, że on nie ma prawa mi tego robić.

Zbieram w sobie wszystkie najgorsze myśli, całą urazę, rozczarowanie i wściekłość, jakie ten mężczyzna zdołał we mnie wywołać, i w końcu mi się udaje:

– Spierdalaj, Leonardo – wykrzykuję mu w twarz i uwalniam się szarpnięciem.

Cofam się o krok i spoglądam mu w oczy udręczona, lecz stanowcza, i w pewnym sensie wolna. Pozwalam ramionom opaść wzdłuż ciała, powtarzając w duchu ostatnie słowo, jakie wyszło z moich ust. Spierdalaj. Teraz już dość, teraz ja dokonuję wyboru. Nie obchodzi mnie, czy jeszcze coś do niego czuję – tęsknotę, fascynację czy rozzdzierające pożądanie. Nic mnie już nie obchodzi.

Muszę intensywnie myśleć o Filippie, nic więcej. Muszę zapytać siebie, czy naprawdę go kocham, a odpowiedź brzmi „tak”, już od dawna

jestem tego pewna. Bo miłość nie może być tą wyczerpującą walką, serią zawrotów głowy, ciosem w żołądek. Miłość to wybór, by razem z kimś, dzień po dniu, dążyć do wspólnego celu. I ja wybrałam miłość, bo dzięki niej jest mi dobrze, bo właśnie tego potrzebuję.

– To koniec. Na zawsze – mówię uroczyście. Potem odwracam się i odchodzę.

Wcale nie czuję, że odniosłam zwycięstwo, ale wiem, że zrobiłam dobrze. Odległość od drzwi wydaje mi się ogromna, przebywam ją, modląc się, by on pozostał tam, gdzie stoi, i nie próbował mnie zatrzymać. Dopiero gdy schodzę po schodach, na półpiętrze, nabieram pewności, że się udało. Teraz biegiem. Leonardo nie ruszył się z miejsca, a ja odczuwam ulgę i lekkość, mimo że w gardle mam węzeł i zbiera mi się na płacz.

Na ulicy z daleka dostrzegam taksówkę. To znak. Powinnam stąd odjechać jak najszybciej. Przechodzę między dwoma zaparkowanymi samochodami, stoję na krawędzi chodnika i macham

ręką. Może Leonardo obserwuje mnie z tarasu. Nawet jeśli tak jest, nie mogę podnieść głowy. To akt odwagi, kwestia szacunku wobec siebie samej.

Szczęśliwym trafem taksówka się zatrzymuje. Otwieram drzwi i znikam na tylnym siedzeniu. Uśmiecham się lekko do taksówkarza, by dodać sobie odwagi, ale nagle wzrok zachodzi mi mgłą i żeby powstrzymać łzy, przełykam ślinę i mrugam powiekami.

– Do San Luigi dei Francesi – udaje mi się wykrztusić.

Osuwam się na siedzeniu i robię to. Błąd, którego nie powinnam popełnić. Odwracam się. Leonardo znowu jest tam, na tarasie, ze wzrokiem zwróconym w dół. Spoglądam na niego przez szybę, a pierwsze krople deszczu spływają po szkle jak namiastka moich łez.

Samochód rusza we właściwym kierunku, przeciwnym do mojego pragnienia. Wracam do swojego życia i choć czuję się pusta, tym razem

nie spojrzę za siebie. Leonardo jest już tylko odległym punktem. I niebawem zniknie mi z oczu.

8.

Wstaliśmy z Filippem niedawno i właśnie jemy śniadanie. Lipcowe słońce wpada przez otwarte okna, zalewając kuchnię światłem i ciepłem. Stanowimy portret normalnej pary, która wspólnie zaczyna normalny dzień. Filippo tradycyjnie pije gorące espresso bez cukru, a ja pozostaję wierna swojej filizance naparu ajurwedyjskiego. On na swoim iPadzie przegląda Architonic.com, a ja przerzucam strony „Corriere della Sera”, który po rozłożeniu zajmuje połowę stołu. On jest już w pełnym rynsztunku, gotowy do wizyty na budowie, ja jeszcze w szortach i podkoszulku, z rozczochranymi włosami i podkrążonymi oczami.

Wszystko w normie, bez najmniejszej skazy. Najzwyklejszy obrazek z życia domowego.

Przynajmniej z zewnątrz.

Minęło wiele tygodni, odkąd byłam w domu Leonarda i powiedziałam mu, że to koniec na zawsze. Teraz czuję się, jakbym przechodziła rekonwalescencję. Jestem tutaj, cała i zdrowa, ale pozostaję wciąż osłabiona, wiem, że muszę się chronić, by nie wpaść znowu w jego ramiona. Analizuję w myślach każdą kolejną scenę z tamtego popołudnia, od rozbitej szklanki do ucieczki taksówką, i mam wrażenie, że od tamtego czasu upłynął już cały wiek. Leonardo jest daleko, nie istnieje, jest poza moim życiem. Nie będzie mnie szukał, już nigdy nie przyjdzie do San Luigi dei Francesi ani nigdzie indziej, żeby mnie dokądś wyciągnąć.

Prawdziwym problemem jest teraz Filippo. To on rozpala na nowo moje myśli o Leonardzie – mówi o nim prawie codziennie, opowiadając mi o nowym projekcie. Z bogactwem szczegółów, które potwornie mnie irytują. Pozostaję niewzruszona, choć na sam dźwięk jego imienia czuję dreszcze. Chciałabym go uciszyć, zakazać mu mówienia o tym przeklętym remoncie, który

tak go pasjonuje, a tymczasem muszę udawać, że słucham z zainteresowaniem.

Tak jak teraz.

– Muszę dziś wstąpić do starej fabryki i sprawdzić, jak idą prace – mówi, zanurzając łyżkę w słoiku z miodem. – Jeśli utrzymają to tempo, skończymy w rekordowym czasie...

– Świetnie – nie odrywam oczu od gazety.

– Wychodzi to naprawdę dobrze – Filippo opowiada z rozpromienioną twarzą, jak zawsze, kiedy mówi o zleceniu, które mu się podoba. – Mówiłem ci już, że uratowaliśmy taśmy transporterowe i wykorzystamy je jako element wystroju?

Boże, taśmy transporterowe! Żle się czuję na samą myśl o tym, co robiłam rozłożona na tym ustrojstwie. Muszę natychmiast wykasować ten obrazek.

Filippo ciągnie, zapatrzony w dal, jakby wizualizował sobie miejsce, o którym mówi, nie zważając na to, czy go słucham, czy nie:

– Ale najpiękniejsze jest tam światło.

– No tak, okna wychodzą na rzekę – potwierdzam w roztargnieniu, nim zdążę ugryźć się w język.

Na szczęście Filippo jest zaaferowany i nie zwraca uwagi na moją wpadkę. Za nic nie może się dowiedzieć, że byłam w tej fabryce.

– Ościeżnice z brązu musimy zachować, ale chciałbym pograć geometrią szyb – drapie się po głowie i robi zadowoloną minę.

Dosyć, Fil, już nie mogę! Nie zdzierzę tych twoich opowieści. Podczas gdy on mówi, mój wzrok pada na tytuły ze sportu, a dokładniej na jedną wiadomość, która może mi przyjść z pomocą. Próbuję przenieść rozmowę na inny temat.

– Popatrz – wołam z emfazą. – A więc Gaia się nie myliła!

Filippo kręci głową.

– W jakim sensie?

– Belotti wygrał Tour de France – podnoszę gazetę, pokazując artykuł ze zdjęciem Belottiego w glorii zwycięzcy, na tle Pól Elizejskich.

Muszę przyznać mojej przyjaciółce rację. Choć wciąż nie rozpoznałam, jakiego koloru ma oczy, obiektywnie muszę przyznać – ten facet jest ciachem. Ma niemało uroku i pewnego rodzaju charyzmę. Pręży się z pięścią na sercu i ręką w górze, jak prawdziwy mistrz.

– To słynny kolarz-casanova?

– Właśnie, ale Gaia nie przestaje wierzyć, że sprowadzi go na dobrą drogę.

– A więc są razem?

– Boże, jeśli można to nazwać byciem razem – wznoszę oczy ku niebu. – On jest ciągle w rozjazdach, a ona czeka na niego w domu, wpatrując się w jego zdjęcie, jakby był żołnierzem na froncie.

– Nie, nie wierzę! – wybucha głośnym śmiechem.

– Przysięgam, Fil. Ten Belotti skazuje ją na męki. Nigdy nie widziałam Gai tak przejętej

i podporządkowanej. On ma na nią ochotę – i to wielką, z tego co mówi Gaia – ale każe jej trzymać się z daleka. – Uśmiecham się na myśl o jej opowieściach.

Mrugam porozumiewawczo i dodaję figlarnie:

– Rozumiesz, wystarczy jedna namiętna noc, żeby zniweczyć rezultaty miesięcznego treningu!

– A więc teraz Gaia jest na odwyku? – wytrzeszcza oczy rozbawiony.

– No właśnie. Nigdy nie widziałam, żeby tak długo wytrzymała bez seksu – dodaję, a Filippo siada obok mnie i przelatuje wzrokiem artykuł. – Belotti musiał jej obiecać gwiazdkę z nieba... No, przynajmniej wygrał. Gdyby mu się nie udało, to dopiero byłaby beznadzieja...

Filippo głaszcze mnie po ramionach, muskając lekko palcami moją nagą skórę. Potem całuje mnie w szyję i przejeżdża językiem po moim superwrażliwym karku. Lato sprawia, że jest bardziej rozochocony. Ostatnio często zdarza nam się kochać rano.

– Co zamierzasz? – pytam, powstrzymując westchnienie.

Jeśli dalej będzie mnie całował w to miejsce, niedługo się rozpuszczę.

– Nic, Bibi. Przychodzę w pokoju – szepcze mi do ucha. Podnosi się i spogląda na mnie groźnie. – Ale jesteś bezpieczna tylko dlatego, że jestem spóźniony do pracy – wzdycha. – Po południu wrócimy do tego tematu.

– Będę tutaj – mówię z wyuczoną obojętnością i poprawiam ramiączko podkoszulka.

Podchodzi do kanapy, na której leży jego torba z laptopem. Bierze ją i zarzuca na ramię. Robi dwa kroki i zatrzymuje się na środku salonu.

– A, zapomniałbym – mówi. – Jutro wieczorem jesteśmy zaproszeni na kolację do Castelli. Będą wszyscy z pracowni.

– Do Castelli? – wiem, że to za Rzymem, ale nie znam dobrze okolicy.

– Tak. Jedziemy do letniej rezydencji Rinaldiego – oznajmia podniosłym tonem, jakby mówił

o samym papieżu. – Ma willę nad jeziorem Bracciano. Podobno jest tam jak w bajce.

Ettore Rinaldi to właściciel pracowni, w której pracuje Filippo. Widziałam go jeden jedyny raz i sprawił na mnie wrażenie magnata, który wszędzie ma powiązania, ciągle szuka nowych kontaktów i jest niebywale zręczny w sferze PR-u. Figura nie predysponuje go do brylowania w towarzystwie – waży może z kwintal, a do tego cierpi na podagrę – ale wygląda na to, że mało reprezentacyjny wygląd ani trochę mu nie przeszkadza. Tak czy inaczej cieszę się na myśl o kolacji nad jeziorem. Miejsce na pewno jest cudowne.

– Brzmi dobrze! – wołam.

Filippo podchodzi, żeby dać mi buziaka. Odwzajemniam pocałunek, przedłużając go o kilka sekund.

– Wszystko dobrze? – pyta, oderwawszy się od moich niepoahamowanych ust.

– Tak – mówię z uśmiechem.

To najbardziej lubię w Filippie – kiedy z nim jestem, wszystko jest przynajmniej dobrze.

Nazajutrz wieczorem przed kolacją przyjeżdża po nas Alessio. Jak przystało na weneccjanina, Filippo świetnie pływa łódką, nigdy jednak nie zrobił prawa jazdy. Ja zrobiłam, zmuszona przez mojego ojca, który dzień po maturze rzucił mi przed nos książeczkę z pytaniami ze szkoły jazdy, oznajmiając: „Masz na to dwa miesiące”. Właśnie w takich chwilach żałuję, że zrezygnowałam ze słynnych wakacji na Ibizie z paczką z liceum. Dzięki, tato. Tamtego upalnego lata zrobiłam prawko, to fakt, ale jak na razie niezbyt mi się przydało – myślę sobie, sadowiąc się na tylnym siedzeniu mercedesa SLK.

– Cześć, kochana. Jak miło cię znowu widzieć!
– Flavia szczebiocze głosem przechodzącym w ultradźwięki i robi mi miejsce.

Przednie siedzenie zostawiła dla Filippa, który już prowadzi z Alessiem ożywioną dyskusję

o systemach automatyki domowej i elementach wyposażenia wnętrz.

– Cześć, Flavia – całujemy się w oba policzki. Sądząc po tapecie i fryzurze à la Lilli Gruber oraz obcisłej garsonce, jedzie prosto ze studia Telenorba. Ja, w dzinsach, koszulce i skórzanych japonkach, czuję się przy niej jak kloszard. Ale w końcu zanim zaczęliśmy się przygotowywać, Filippo zaznaczył: „strój nieformalny”.

– Świetnie wyglądasz – mówię.

– Ach, dziękuję – uśmiecha się, prezentując śnieżnobiałe uzębienie w otoczce uszminkowanych ust. – Jak zwykle jesteś zbyt uprzejma.

– Widziałam cię któregoś dnia w wieczornych wiadomościach – rzeczywiście, skacząc po kanałach, trafiłam na jej wyfiokowaną postać, która wydała mi się uosobieniem kiczu.

– Daj spokój – macha ręką z wyrazem rozczarowania. – Wiesz, jestem przyzwyczajona do talk show i informacji z życia gwiazd. W wiadomościach dopiero zaczynam.

– Ale byłaś świetna!

Naprawdę tak uważam. Po tym krótkim fragmencie, który widziałam, zmieniłam zdanie na jej temat. Mówi płynnie, a kamera ją lubi. Gdyby mnie wycelowali obiektyw w twarz, oblałyby mnie zimne poty i zacięłabym się przy drugim zdaniu.

– Nigdy nie wiem, jaką minę zrobić, czytając informacje z kroniki policyjnej. – Kręci głową zrezygnowana. – Szczególnie jeśli chwilę później mam zapowiedzieć materiał z festynu piezzonego prosiaka.

Wybuchamy śmiechem. Przez szybę widzę, że jedziemy już wzdłuż jeziora. Przed moimi oczami rozciąga się nieskończona zielononiebieska przestrzeń, której obrzeża w słabym wieczornym świetle przybierają granatową barwę.

– Fla, pamiętasz, jaka to ulica? – pyta Alessio, spoglądając poddenerwowany w lusterko. Ma dobrze widoczne żyły na szyi i zacięty wyraz na spalonej słońcem twarzy.

– Chyba via dei Salici – miauczy Flavia.

– Ech. Też pamiętałem, że via dei Salici – przesuwa palcami po nawigacji. – Ale mi jej nie znajduje!

– Poczekaj, jedź wolno – Filippo daje mu znak, żeby zwolnił, i manipuluje przy mapie satelitarnej w swoim iPhonie. – Chyba już jesteśmy. Jeszcze sto metrów prosto. I jest... Teraz skręć w prawo.

– No tak, to tutaj! – wykrzykuje Alessio, uderzając pięścią w deskę rozdzielczą. – Muszę zaktualizować tę pieprzoną nawigację. – Poklepuje Filippa po ramieniu. – W każdym razie dzięki – mamrocze i parkuje w rzędzie luksusowych samochodów, które zajęły całą uliczkę.

Alessio dzwoni domofonem. Rinaldi osobiście wychodzi nam na powitanie. Wolnym krokiem zmierza do bramy wejściowej, ubrany w bermudy i koszulę z krótkimi rękawami. Ma ogromny brzuch, a po skroniach spływa mu kilka kropel potu. Na jego widok czuję się pewniej.

Przynajmniej ktoś mnie wyprzedza w rankingu antyelegancji.

– Witajcie – pozdrawia nas gromko. Jego pucułowate policzki są zaczerwienione z radości.

Filippo wręcza mu butelkę wina, którą zabrał z naszej domowej piwniczki – Bardolino Superiore, подарowane kilka lat temu przez wuja Bruna.

– Zuch chłopak! – woła Rinaldi. – To na pewno się przyda – oznajmia, przyglądając się etykietce z uśmiechem zadowolenia.

Podążamy za nim przez ogromny, ozdobiony pochodniami ogród i docieramy do wychodzącego na jezioro portyku, pod którym zebrali się wszyscy goście. Wymieniamy z Filippem porozumiewawcze spojrzenia, szczęśliwi, że możemy być w tym zaczarowanym miejscu. Znajdujący się przed willą trawnik schodzi aż do zatoczki i wygląda, jakby wręcz rozpląwał się w jeziorze. Otaczająca nas przyroda zapiera dech w piersiach.

Na drugim brzegu błyszczą światła pobliskiej miejscowości, a księżyc, który niedawno pojawił

się na niebie, znaczy na powierzchni wody srebrzystą ścieżkę i oświetla pomost, przy którym cumują łódki. Para łabędzi podpływa bezszelestnie do brzegu w poszukiwaniu pożywienia. To wszystko jest jak wyczarowane, jakby spoza czasu, aż otwieram usta w zachwycie – tak zwykle reaguję na widok wielkiego dzieła sztuki, które widzę po raz pierwszy.

Dostrzegam w tłumie Giovanniego i Isabellę. Podchodzę i witam się z nimi, zostawiwszy Filipa, który rozmawia z Rinaldim. Nie odstępuję go na krok, odkąd przyszliśmy. W sztucznym świetle ogrodu Giovanni wydaje się jeszcze szczuplejszy, za to Isabella wygląda jak zawsze wspaniale, mimo że jest w dzinsach i koszulce bez rękawów. Ona też postawiła na mój ulubiony styl... Całe szczęście! Przyproceedziła ze sobą Sokratesa, rozkosznego mopsika, któremu najwyraźniej nie przypadły do gustu kostki Flavii, sądząc po tym, jak je podgryza. Nieco dalej rozpoznaję Riccarda,

najlepszą partię wśród rzymskiej burżuazji, tym razem w towarzystwie jakiejś Barbie.

Schylam się, by pogłaskać Sokratesa – trudno się oprzeć jego czarnemu, spłaszczonemu i pomarszczonemu pyszczkowi. Dobrze wie, jak wzbudzić czułość. Nagle słyszę za sobą znajomy głos. Prostuję się, odwracam i czuję nagły spadek ciśnienia. Leonardo tu jest, razem ze swoim współnikiem, jak się domyślam. Odwracam się w drugą stronę, błagając niebios, żeby mnie nie zauważył. Co on, do cholery, tutaj robi? Myślałam, że to kolacja dla współpracowników pracowni, nie dla jej klientów. Najchętniej udałabym nagłą niedyspozycję – w tym momencie zresztą nie miałabym z tym większych trudności – by natychmiast mnie stąd wyniesiono, ale obawiam się, że nie zdałoby się to na nic.

No właśnie, po chwili Leonardo opuszcza swojego przyjaciela i podchodzi się przywitać:

– Dobry wieczór, Eleno.

Jest mistrzem udawania. Uśmiech rozświetla jego opaloną twarz i ciemne oczy. Te zmarszczki, które doprowadzają mnie do szaleństwa. Te jego zbyt wielkie oczy. I te gęste brwi, mięsiste wargi. Jest tak diabelnie sexy. Ale przyznaję to z niechęcią.

– Dobry wieczór – rzucam mu krzywe spojrzenie. – I pan tutaj? – tym razem jeden drink by nie wystarczył, mam ochotę wywrócić na niego cały stół z szampanem.

– A owszem – wzrusza ramionami z beczelnym uśmiechem, po czym szepcze: – Tak jak przewidywałem, widzimy się znowu.

– Z pewnością nie z mojej woli – syczę w odpowiedzi. W głębi mnie rośnie wściekłość, która rozpala mi policzki i tylko nadejście Filippa zmusza mnie do złagodzenia tonu i okiełznania kipiącej we mnie złości.

Z promiennym uśmiechem wita się z Leonardem.

– Maestro – mówi z lekkim skinieniem głowy.

– Panie inżynierze – odpowiada tamten.

– Byłeś dzisiaj na budowie? – pyta Filippo z nutą dumy w głosie.

To nieuniknione, że będą o tym rozmawiać, ale dla mnie fabryka nad Aniene staje się prawdziwym koszmarem!

– Tak, wszystko wygląda doskonale – chwali go Leonardo, po czym szybko zmienia temat: – Jesteście głodni? – Może zauważył, jak wznosiłam oczy ku niebu. – Rinaldi już przydzielił mnie do grilla. Mają tu niesamowitego labraksa. – Mówi to z nutką rezygnacji, ale i z zadowoleniem.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go spróbuję – zapewnia Filippo.

Dla niego to wszystko jest takie normalne.

– Dobrze. Teraz was zostawię – Leonardo odwraca się i spogląda na kominek z tufu wulkanicznego, przy którym Riccardo niewprawnie majstruje przy ogniu. – Idę mu na ratunek – informuje, puszczając do nas oko.

Patrzemy, jak odchodzi w tych swoich podartych spodniach, które idealnie układają mu się na tyłku. No, przynajmniej ja właśnie tam spoglądam. Filippo odwraca się do mnie, a ja natychmiast odrywam wzrok.

Zaproszeni rozchodzą się po ogrodzie, jedni siadają na werandzie, inni na rozstawionych tu i tam białych leżakach i szeszlonych. Leonardo porusza rozżarzone węgle i gestem malarza omiata ruszt gałązkami rozmarynu umoczone w oliwie. Rozpiął kilka guzików koszuli i podwinął rękawy. Tam gdzie stoi, musi być gorąco jak w piekle i zapewne nieźle się poci, dlatego wyciągnął swoją tradycyjną białą opaskę i przewiązał nią włosy. Obserwuję go z daleka, siedząc na szeszlony obok Isabelli i z Sokratesem, który pod moimi nogami merda przymilnie ogonem.

Patrzę, jak swymi aż nazbyt pewnymi dłońmi Leonardo odwraca langustynki i mątwy, układa je z elegancją na półmiskach i przyprawia swymi alchemicznymi miksturami. Najbardziej

zadziwiający jest fakt, że tak męskie, masywne ciało może poruszać się z taką gracją.

Jest tak cholernie przystojny, że mam ochotę go zamordować. Istotnie, nienawidzę go, ale też pragnę całą sobą, a nawet wbrew sobie.

– Co za cudowny wieczór – odzywa się Isabella. – Nigdy wcześniej tu nie byłam. To prawdziwy raj! Rinaldiemu naprawdę dobrze się powodzi.

– No, dzięki niewolniczej pracy naszych narzeczonych... – wymieniamy porozumiewawcze uśmiechy, a Sokrates ostrzy zęby, żując plastikową nogę szeszlongu.

– Niedobry! – Isabella chwyta go za obrózkę i udziela mu reprimendy. – Tak nie wolno. Niegrzeczny!

Uśmiecham się.

– Pewnie jest głodny.

– Naprawdę jest.

Łapię go za pysk i mówię mu szeptem:

– Sokrates, idź do tamtego pana, on da ci jeść – popycham go w stronę Leonarda. „I ugryź go

w nogę”, myślę. Może psy potrafią czytać w myślach.

– Oj, on nie je niczego poza swoim przysmakiem z puszki – wyjaśnia z rezygnacją Isabella.

– W takim razie nasz szef kuchni nie może nic dla niego zrobić – w moim głosie pobrzmiwa sarkazm.

Ostatecznie, biegnąc przez trawnik, Sokrates odbija w bok i przyczepia się znowu do kostki Flavii, która zaczyna już zdradzać wyraźne oznaki zniecierpliwienia.

Leonardo odszedł teraz od rusztu i stanął przy pobliskim marmurowym blacie. Kroi bakłażany do grillowania, z zabójczą precyzją zanurzając w nich nóż. Następnie faszeruje ziołami rozciętego w połowie labraksa, delikatnie wsuwając palce do środka. Znam dobrze te palce i wiem, jak potrafią się poruszać.

Chuda jak szczapa brunetka o rockowym wyglądzie, z asymetryczną fryzurą i kilogramami bransoletek na nadgarstkach, zbliża się do niego

uwodzicielskim krokiem. Nie słyszę, co do siebie mówią, ale ona wyraźnie z nim flirtuje. A on wydaje się jej na to pozwalać. Nie potrafię oderwać od nich wzroku, a wnętrzności skręcają mi się jak gniazdo żmij.

W tym momencie Leonardo podnosi wzrok i wbija go we mnie, rzucając mi wyzwanie tym aroganckim, nieszczerym spojrzeniem. Wszystko to jest szalone, nie do wytrzymania. Mam ochotę wstać i zniknąć gdzieś daleko, może na dnie tego jeziora, ale jestem w stanie zrobić tylko jedno – odwrócić się w inną stronę i zignorować go. W moim sercu rozgrzewa się magma emocji, a wściekłość niebezpiecznie miesza się z pożądaniem, które wciska się pod skórę.

W czasie kolacji, między jednym toastem a drugim, wszyscy goście komplementują „szefa” – nużący ciąg pochlebstw. Wszędzie porozstawiane są puste butelki po szlachetnych winach i wszyscy wyglądają już na całkiem wstawionych. Nawet

Filippo, który nigdy nie traci kontroli, ma błyszczące oczy i przylepiony do ust uśmiezek. Wszyscy na rauszu, oprócz mnie. Chociaż mam poważne powody, dziś wieczorem jakoś nie chcę się upić.

Kiedy Riccardo prosi DJ-a – tak, jest również DJ – o *Another Brick in the Wall* Pink Floydów, na trawniku kobiety zaczynają tańczyć, a mężczyźni chwiejnie podrygiwać. Wszyscy zbiegają się do ogrodu i w jednej chwili stają zbitą, poruszającą się wspólnie masą. Rinaldi, całkiem rozmemłany, ciągnie mnie w stronę rozbawionej hordy i rozpoczyna beładny, ociężały taniec. Wygląda jak budyń trzęsący się w rytm muzyki. Podążam za nim, improwizując kilka tanecznych kroków i z trudem powstrzymując śmiech. W pewnej odległości od nas dostrzegam Leonarda i tańczącą przy nim brunetkę, ale kiedy on łapie moje spojrzenie, czuję, że powinnam ukryć się za zwałistą sylwetką Rinaldiego i powtarzam sobie bez

wielkiego przekonania, że ruszam się przecież całkiem nieźle.

Barbie Riccarda korzysta z panującej euforii, by zaaranżować coś w rodzaju striptizu, i bez skrupowania podnosi mokrą koszulkę, odsłaniając swoje plastikowe piersi ku uciechu męskiej części widowni.

Flavia bez zastanowienia idzie w jej ślady: to ona jest silikonową królową imprezy i nikt nie może mieć co do tego wątpliwości. Goście, jedni po drugich, zaczynają zdejmować koszule i koszulki.

Impreza rozwinęła się w kierunku, od którego nie ma odwrotu, i nie wiem, jak z tego wybrniemy. Głośniki pompują muzykę, a półnagie ciała wiją się już niemal bez żadnych hamulców – bosa stopy na trawie i ręce wzniesione do księżyca. Wygląda to niemal jak ekstatyczny pogański rytuał zespolenia z przyrodą. W pewnej chwili Riccardo rzuca pomysł, by wykąpać się w jeziorze.

– Wszyscy nago! – krzyczy, po czym zrzuca ubranie, bierze rozbieg przez plażę i wskakuje do wody. Pozostali idą po kolei w jego ślady, poza Rinaldim, który z trudem łapiąc powietrze, przysiadł na huśtawce w towarzystwie Sokratesa. Mam ochotę pójść za jego przykładem, ale podbiega Filippo, łapie mnie za rękę i nie zważając na moje protesty, podrywa mnie do góry i niesie w stronę brzegu.

– Masz pięć sekund, żeby ściągnąć ubranie, w przeciwnym razie wrzucę cię tak, jak jesteś – grozi.

Ostatecznie się poddaję i zdejmuję dzinsy oraz bluzeczkę, zostając, jak wszyscy inni, w samej bieliźnie. Dobrze, że moja genialna intuicja odpowiedziała mi przed wyjściem, żeby dopasować majtki do stanika. Przechodzi mnie dreszcz na myśl o tym, że on i Leonardo widzą mnie teraz obaj w tym stroju. Filippo bierze mnie za rękę i dołączamy do pozostałych, którzy kontynuują imprezę w wodzie.

Mawiają, że to jezioro jest zawsze spokojne. To nieprawda. Woda nie jest ani trochę spokojna, ani też słodka, to fala brudna od pożądania. Filippo chłapie w moją stronę dla zabawy, potem ciągnie mnie za biodra i podnosi od tyłu, całując w szyję. Przyjemny dreszcz przebiega mi od karku przez plecy i ześlizguje się niżej, zadomawiając między moimi nogami. Metr od nas widzę Leonarda, niepokojącego i niebezpiecznego jak rekin. Znowu, przez króciutką chwilę, nasze spojrzenia się splatają, a podwodny prąd łączy nasze ciała zanurzone w jednym żywiole.

Czuję, jak przetacza się przeze mnie fala seksualnej energii, której nie sposób powstrzymać. Muszę natychmiast wyjść z tego mętnego jeziora.

– Idę się wytrzeć. Przepraszam, ale trochę mi zimno – uwalniam się z objęć Filippa i ignorując spojrzenie Leonarda, spieszę na brzeg.

Panuje tu ciemność. Głęboka ciemność, w której z ulgą mogę się ukryć. Niektórzy są jeszcze w wodzie, inni na plaży, gdzie rozpalają ognisko.

Jest dość chłodno. Zbieram pozostawione na brzegu rzeczy, biorę jeden z ręczników z leżącego na ziemi stosu i owijam się nim. Boso przemierzam alejkę prowadzącą do przybudówki willi, idąc trasą wytyczoną przez żółte światełka wtopione w skałę wulkaniczną. Otwieram pchnięciem drewniane drzwi i kryję się wewnątrz. Panuje tu dające poczucie bezpieczeństwa, przyjemne ciepło. Na środku, za skórzaną kanapą w stylu vintage, stoi elegancka lampa rzucająca na ścianę ciepłe, pomarańczowe światło, a w rogu nawilżacz w formie fontanny wyrzuca w powietrze kłęby pary, rozsiewając miły, sosnowy aromat.

Kładę ubrania na designerskim krześle – Filippo na pewno wiedziałby, kto je zaprojektował – i podchodzę do lustra zajmującego całą ścianę. Zdejmuję mokrą bieliznę i przewiążuję ręcznik na wysokości biustu, tworząc z niego minisukienkę.

Następnie przyglądam się swojej twarzy i stwierdzam, że makijaż całkowicie mi się rozmazał i spłynął pod oczami. Próbuję zetrzeć go dłońmi, ale na niewiele się to zdaje, muszę się pogodzić z tym, że wyglądam jak panda. Odchodzę kilka kroków od lustra, pochylam się do przodu i ręką suszę włosy, aż ze spadających kropelek na białej marmurowej posadzce tworzy się małe jezioro. Potem zdecydowanym ruchem odrzucam włosy do tyłu. Nie ulega wątpliwości – są nieujarzmione! Sięgają już dobrze za ramiona i ta nieokreślona fryzura przestaje mi się podobać – w przyszłym tygodniu wybiorę się do fryzjera.

Układam palcami wilgotne, zbuntowane kosmyki, kiedy rozlega się za mną głuchy odgłos. Ktoś otworzył drzwi.

Okręcam się mocniej rącznikiem, odwracam się momentalnie i ziemia drży pode mną. Leonardo. Patrzę na niego jak na demona. Ma mętne oczy, mokre włosy i brodę, nagi tors i bokserki przyklepione do wilgotnej skóry.

Nie udaje mi się powiedzieć ani słowa, nie jestem w stanie otworzyć ust, boję się, że wyskoczyłoby mi serce.

– Cześć, Eleno – opiera się o drzwi i przesunawszy rękę za plecy, obraca klucz w zamku.

Kręcę głową i cofam się szybko o kilka kroków.

– Idź sobie – rozkazuję kategorycznym tonem. Naprawdę chcę, żeby sobie poszedł, ale nie potrafię oderwać od niego oczu. Jest do bólu seksowny. – Idź sobie – powtarzam z wysiłkiem. – Albo zacznę krzyczeć.

– Śmiało, krzycz – Leonardo zbliża się i wdziera w moją przestrzeń.

– Nie wystarczy ci to, co powiedziałam ostatnio? – wytrzymuję jego spojrzenie, udając spokojną. – A wydawało mi się, że wiadomość była jasna.

On się uśmiecha, ignorując moje protesty. Chwyta mnie w tali i odsuwa moją rękę od piersi.

Czuję, jak ręcznik powoli rozluźnia się wokół biustu i modłę się tylko, żeby nie spadł.

– Aha, więc przed chwilą coś mi się pomyliło... Nie patrzyliśmy na siebie, prawda, Bibi?

Nienawidzę go. Ma zniknąć z mojego życia.

– Nie patrzyłam na ciebie, tylko na brunetkę, która się przy tobie kręciła. Podoba mi się jej fryzura – zasłaniam się jeszcze ironią, ale jego pewność siebie mnie przerasta.

Czuję, że może zrobić ze mną, co zechce.

– Ja natomiast patrzyłem właśnie na ciebie – kładzie mi dłonie na ramionach. – Może się mylę, ale miałem wrażenie, że chciałaś mi coś powiedzieć tym spojrzeniem – jego głos jest teraz jak aksamit.

– Tak, chciałam ci powiedzieć, żebyś poszedł do diabła i zniknął z mojego życia, a na razie z tej imprezy, skoro ja nie mogę z niej zniknąć – odpowiadam szybko.

Kontakt z jego skórą jest nie do wytrzymania. Czuję się niemal zniewolona przez te wprawne, znajome dłonie. Przesuwa nimi wzdłuż moich rąk, a jego dotyk promieniuje pod powierzchnią mojego ciała, rozpalając mnie. Myślę o Filippie, o jego delikatnych, łagodnych dłoniach, ale w chwili, gdy go sobie wyobrażam, obraz traci ostrość i rozplywa się. Prawda jest taka, że nikt nigdy nie dotykał mnie tak, jak Leonardo. Spoglądam mu w oczy i przeraźliwy dreszcz zjeżdża mi po plecach. Nie wiem, skąd się wzięła ta nagła potrzeba ciepła, którą czuję w środku, ta niebezpieczna uległość. Może jest już za późno.

– To miałeś na myśli, kiedy skontaktowałeś się z Filippem w sprawie tego zlecenia. Liczyłeś na podobne sytuacje – uśmiecham się świadoma, że zaczynam ustępować.

Instynktownie wyciągam szyję w stronę okna i z ulgą stwierdzam, że okiennice są zamknięte.

– Ale to był fatalny pomysł, Leo.

W tej właśnie chwili on łapie mnie za podbródek, a ustami obejmuje moje. Chcę je oderwać, ale to niemożliwe. Nie jestem w stanie zrobić nic, by go odepchnąć. Nie chcę robić nic, tylko całować go jeszcze.

Niepewnie głaszczę go po policzkach, przejeżdżając palcami po jego wilgotnej, kłującej brodzie.

– Co ja mam z tobą zrobić? – pytam pokonana, bezsilna.

Leonardo zamyka oczy, a moje dłonie szukają jego włosów.

– Musisz tylko poddać się temu, czego pragniesz – szepcze.

Nagle świat za oknem jakby przestał istnieć. Nie słyszę już głosów reszty, krzyków, odgłosów imprezy, szumu wiatru. Słyszę tylko jego, Leonarda. Czuję nasze pożądanie, które płonie, poza dobrem i złem.

Nasze języki szukają się, chłoną nawzajem, a nasze ciężkie oddechy stapiają się w jeden, głęboki i harmonijny.

Leonardo uchyla róg ręcznika. Jego dłonie wsuwają się pod spód, prześlizgują szybko po moich biodrach, by w końcu chwycić mnie za pupę. Ściskają drapieżnie, potem podążają wzdłuż konturów pośladków, a w końcu jego palce docierają między moje nogi i zaczynają pieścić mnie z wprawą i delikatnością. W jego oczach dostrzegam niebezpieczną iskrę. Przyciska mnie mocno do siebie, tak, żebym poczuła – jest nabrzmiąły z pożądania, gotów uwolnić ten przemożny głód seksu, który nie daje mu spokoju. Powoli wsuwa we mnie palec, drugą ręką trzymając swoją twardą męskość. Czuję, jak głęboko mnie eksploruje. Każde dotknięcie sprawia, że moje ciało ustępuje, otwierając się przed jego doświadczoną dłonią. Z ust wrywa mi się jęk.

– Popełniamy błąd – szepczę. – Powinniśmy przestać – mówię to, jednocześnie oplatając

ramionami jego szyję, a ustami szukając jego sutka. Ręcznik zsuwa się po mojej skórze, odsłaniając piersi.

– Pragniesz mnie, Eleno. Czuję to – szepcze, rzucając ręcznik na kanapę.

Jestem teraz całkiem naga.

– A ja pragnę ciebie – ciągnie. Jego głos mnie upaja, zalewa żarem. Jego spojrzenie mnie hipnotyzuje.

Nie mam już siły mówić. Chcę tego, co on. To prawda. Żądza wchodzi w mój krwiobieg, rozprzestrzeniając się w każdym centymetrze mojego ciała.

Leonardo popycha mnie na kanapę, zsuwa bokserki i lokuje się między moimi nogami. Jego nienasycone usta atakują moje. Nie kontrolując się, unoszę biodra i wychodzę mu na spotkanie. Leonardo jest wszędzie, na skórze i w sercu, wyrasta nade mną, a ja tracę oddech, pożera mnie językiem i dłońmi, a moje ciało odpowiada, oplatając go ramionami. Pragnę go w sobie, takiego

brutalnego i bezlitosnego, pragnę, by wypełnił mnie swoim pożądaniem, pragnę, by zagłębił się we mnie.

To już ma się stać i wtedy nieruchomiejemy, słysząc głos z zewnątrz.

– Bibi, jesteś tam? – to Filippo. Puka do drzwi. Uderzenie adrenaliny i przerażenie sprawiają, że nie mogę się ruszyć.

– Tak – odpowiadam, starając się zapanować nad drżeniem głosu – ubieram się.

Leonardo jest wciąż nieruchomy, na mnie, niemal we mnie, a nasze oddechy się krzyżują. Ogarnięta paniką odpycham go od siebie i wstaję. Odruchowo zbieram ręcznik i okrywam się nim.

– Zaraz podają deser – woła Filippo. – Idziesz?

– Już idę, kochanie. Sekundę – tym razem mój głos brzmi piskliwie i nerwowo.

Jestem zamroczona, a poczucie winy skutkuje ostrym zawrotem głowy, który ściera się z niezaspokojonym pożądaniem. W pośpiechu wkładam majtki, zapinam stanik i wskakuję w ubranie.

Tymczasem Leonardo, zupełnie nieporuszony, wyciągnął się na kanapie. Założył ręce na karku i unosi brew.

– Bibi! – szepcze drwiąco.

Mam ochotę uderzyć go w twarz, a jednocześnie obsypać pocałunkami.

Staję przed lustrem, poprawiam włosy i w tym momencie czuję na sobie spojrzenie. Odwracam się, żeby coś powiedzieć, ale zamieram. Opanowuje mnie przekonanie, jedyne i niezaprzeczone – nadal go pragnę. Gdyby Filippo nie czekał na zewnątrz, przyłgnęłabym znów do niego. Chciałabym go lizać, poczuć jego smak, a potem wrócić do miejsca, w którym przerwaliśmy, i uwolnić się od tej przeklętej żądz.

– Nie ruszaj się stąd – nakazuję, spiesząc do drzwi.

On układa się wygodniej na kanapie i podnosi ręce w geście kapitulacji. Jego twarz przybiera uspokajający wyraz, jakby chciał powiedzieć „spokojnie, idź”.

Otwieram drzwi i natychmiast zamykam je z trzaskiem. Zauważam Filippa siedzącego z założonymi rękami na murku w alejce. Bawi się, zasłaniając i odsłaniając stopą padające na bruk światło ledowej lampki.

– Hej... – wstaje i rusza w moją stronę. – Nie wracałaś tak długo. Zacząłem się martwić! – swoimi delikatnymi dłońmi obejmuje mnie w talii.

Po tym, co wydarzyło się przed chwilą, powrót do jego dotyku jest dojmujący.

– Znasz mnie – opuszczam wzrok. Kłamać, patrząc mu w oczy, to byłoby za wiele. – Przebieranie zawsze zajmuje mi wieczność.

Czuję się źle. Bo to on jest mężczyzną, którego kocham. Chciałabym, żeby meteoryt rozniósł wspomnienie o tym, co wydarzyło się pięć minut temu. Mimo że wciąż czuję Leonarda, odcisniętego na mojej skórze i wokół serca.

Objęci wracamy z Filippem na plażę i razem z innymi siadamy przy ognisku. Właśnie jedzą tort

z amaretto przygotowany przez Leonarda. Jedno z jego dzieł. Zmuszam się, by spróbować, ale nie mogę go przełknąć. Coś drapie mnie w gardle, jeszcze mocniej, kiedy po chwili sam chef dołącza do nas, pogwizdując, jakby przed chwilą był na masażu relaksacyjnym. Odczekał chwilę, nim wyszedł z przybudówki. Dziewczyna z dziwną fryzurą podchodzi i łąsi się do niego.

– Ten tort jest fenomenalny – komplementuje Flavia. – Musisz mi dać przepis.

– Przykro mi, ale to tajemnica. A tajemnic, jak wiadomo, należy zawsze dochowywać – odpowiada, spoglądając w moją stronę.

Opieram się na leżaku wyczerpana, zupełnie bez sił. Czuję, jak wilgoć jeziora wnika w moje kości, a mięśnie się poddają. Chcę już tylko stąd iść.

Zupełnie jakby moja myśl do niego dotarła, Alessio podnosi się z ziemi i przeciągając się, pyta:

– Co robimy? Jest już prawie piąta. Powinniśmy się zbierać, co myślicie?

– Tak, jedźmy! – podnoszę się resztkami sił. Księżyc już zaszedł, a za horyzontem czeka już na mnie nowy świt.

Dojeżdżamy do Rzymu, oświetlonego pierwszymi promieniami słońca. Chciałabym zgasić to światło, uciszyć ptaki i przywrócić noc. I ciszę. Nie jestem gotowa na nowy dzień. Teraz chcę tylko spać.

Został jeszcze jeden przystanek. Dziś w metrze jest mniej ludzi niż zwykle i udało mi się znaleźć miejsce siedzące. Od paru minut wpatruję się w reklamę wyświetlaną na jednym z umieszczonych w wagonie ekranów – przegląd spektakli i wydarzeń organizowanych w najbliższym czasie przez miasto. Po ogłoszeniach, z podkładem przypominającym szum morskich fal, pojawia się wypisany dużymi literami cytat „Istnieje tylko jedna pora roku – lato – tak piękna, że wszystkie inne krążą wokół niej. Ennio Flaiano”. Myślę sobie: jakie to prawdziwe. Nie być szczęśliwym latem to niewybaczalna zbrodnia.

Jest pierwszy weekend sierpnia, a ja jadę do pracy. Czasem sama się dziwię, jakim cudem udaje mi się wygrzebać z łóżka o siódmej w sobotni rano. Być może to mój sposób na podtrzymanie

kontakty z rzeczywistością i zachowanie minimum równowagi psychicznej. Dopóki wiem, że czekają na mnie niedokończone prace konserwatorskie, dopóty moje życie zdaje się mieć cel.

W zeszły weekend, po imprezie nad jeziorem, pojechałam z Filippem do Wenecji. Obiecałam mu ten wyjazd i okazało się, że było warto. Poszliśmy obejrzeć mieszkanie jego marzeń. Obojgu nam wydało się zachwycające, znacznie bardziej, niż można się było spodziewać po zdjęciach. Kręcąc się po pustych pokojach, snuliśmy fantazje, wyobrażaliśmy sobie nasze życie w tych jasnych i przytulnych wnętrzach, ale nie podjęliśmy ostatecznej decyzji. To ważny krok, a ja nie mam jeszcze pewności, czy jestem na niego gotowa.

Nie chodzi tylko o pieniądze. Po tym, co wydarzyło się na przyjęciu, w mojej głowie zapanał absolutny chaos. W jednej chwili kocham Filippa do szaleństwa, a zaraz potem jego ciągła troska i pełne czułości gesty działają mi na nerwy i natychmiast, mimowolnie, zaczynam

porównywać go z nim. Staram się odsunąć te myśli, ale Leonardo jest jak choroba, z której nie mogę się wyleczyć. Obsesja jest silniejsza od mojej woli.

Będąc w Wenecji, spotkałam się też z rodzicami, których w czasie ostatnich, spędzonych w Rzymie miesięcy bardzo mi brakowało. Wydali mi się odmłodzeni i pogodni – szczególnie ojciec, który na emeryturze radzi sobie zadziwiająco dobrze. Niegdysiejszy porucznik Lorenzo Volpe poświęcił się mianowicie swojej dawnej pasji, czyli teatrowi. Podobno istotnie ma talent. Dowiedziałam się nawet od mamy – która jednak w tej sprawie wymusiła na mnie przysięgę milczenia – że zgłosił się do agencji dla statystów filmowych.

Jedyną przykrą nutą tego weneckiego weekendu był fakt, że nie udało mi się spotkać z Gaią. Jej nieobecność była jednak usprawiedliwiona. Jej ukochany Samuel, po wygraniu Tour de France, porwał ją i zabrał na wakacje na Malediwy, obiecując jej gorące dni i noce. Wreszcie

postanowił zostać partnerem z prawdziwego zdarzenia i wnioskuje z tego, co pisze Gaia, nieźle mu idzie.

Przed chwilą wyszłam z metra i idę ulicą, zostawiając za plecami Koloseum, kiedy słyszę dobiegający z torby dzwonek telefonu. Na wyświetlaczu pojawia się napis „nieznany”. Kto to może być? Już zaczynam się pocić. To na pewno on – Leonardo. W ułamku sekundy układam w głowie wojownicze przemówienie i już jestem gotowa, by odebrać.

– Elena? – słyszę kobiecy głos, któremu towarzyszy cichy szum.

– Tak... – odpowiadam, odetchnąwszy z ulgą. Niebezpieczeństwo zostało oddalone.

– Dzień dobry, tu Gabriella.

Ten spokojny, opanowany ton łączy się teraz z wyobrażeniem znajomej twarzy. To Borraccini! Czego może ode mnie chcieć o ósmej trzydzieści w sobotni ranek?

– Dzień dobry, professoressa – wołam, starając się sprawiać wrażenie całkiem już obudzonej.

– Słuchaj, jestem w pociągu. Jadę do Rzymu – oświadcza. – Mam po południu wykład w Letniej Szkole Konserwacji i przyszło mi do głowy, żeby rano zobaczyć, jak idą prace.

Po plecach przechodzi mi dreszcz przerażenia.

– Chce pani przyjść do San Luigi? – pytam, szukając niepotrzebnego potwierdzenia dla przekazu, który sam w sobie był wystarczająco jasny.

– Tak. Prosto ze stacji.

– Doskonale! Będzie mi miło. Zresztą właśnie sama tam jadę – w mało przekonujący sposób udaję entuzjizm, jednocześnie przypominając sobie o wszystkim, czego jeszcze nie zrobiłam przy fresku.

Wpadam w panikę.

– Poinformuj Ceccarelli, dobrze? – ucina, jakby chciała jak najszybciej skończyć tę

rozmowę. – Bądźcie w kościele o jedenastej. Ja zjawię się mniej więcej o tej porze – uściśla.

– Dobrze, professoressa – staram się ukryć niepokój za pomocą profesjonalnego tonu. – A więc do zobaczenia.

Przyspieszam kroku i ignorując czerwone światła oraz pasy, jakimś cudem docieram do kościoła kilka minut przed dziewiątą. Spociałam się jak mysz, a moja twarz płonie, jakbym przebiegła dziesięć kilometrów pod górkę, ale gdy tylko przekraczam próg świątyni, chłód i cisza tego miejsca wywierają na mnie natychmiastowy efekt uspokajający.

Paola już stoi na rusztowaniu, w kombinezonie roboczym i z włosami związanymi na karku.

– O, jesteście punktualnie!

– Jak zawsze, prawda? – odpowiadam ironicznie.

Na ogół, pomimo heroicznych wysiłków i dziesięciu budzików ustawionych w odstępach

kilku minut od siebie, nigdy nie udaje mi się dotrzeć do pracy przed dziesiątą.

– Będziemy mieć gościa – informuję ją, wciągając ogrodniczki na szorty i T-shirt.

– To znaczy? – Paola się odwraca zaciekawiona.

– Odwiedzi nas Borraccini – odpowiadam, podwijając rękawy i wchodząc na podest. – Dzwońla do mnie przed chwilą.

– Aha – z lekką niechęcią odpowiada Paola. – A po co przyjeżdża?

– Żeby rzucić okiem, jak idą prace, tak powiedziała. Przyznam ci się, że trochę się denerwuję.

– To ja odpowiadam za to zlecenie, więc powinnaś obawiać się mojej opinii, a nie jej – precyzuje oschle.

– Jasne, Paola. Ale to ona znalazła mi tę pracę i chciałabym dobrze wypaść.

– Tak, ale to wyłącznie twoja zasługa, że udało ci się ją utrzymać.

Opada mi szczęka... Paola po raz pierwszy powiedziała mi komplement. Nie jestem nawet do końca pewna, czy dobrze zrozumiałam, bo stoi do mnie tyłem, ale chcę wierzyć w to, co usłyszały moje uszy.

– W każdym razie nigdy nie lubiłam niespodzianek – mamrocze skwaszona.

– Masz rację – wtóruję jej w nagłym przyplądzie bezczelności. – Pieprzyć Borraccini i jej obsesję kontroli.

Paola rzuca mi dziwne spojrzenie, które interpretuję jako porozumiewawcze. Odnoszę wrażenie, że fakt posiadania wspólnego wroga łączy nas bardziej niż wszystkie miesiące wspólnej pracy.

– W każdym razie ja też mam dla ciebie wiadomość – odzywa się po chwili.

– Dobrą, prawda? – obracam się i spoglądam na nią szeroko otwartymi oczami z wysokości mojego podestu.

Ona przytakuje, uśmiechając się lekko.

– Ojciec Sèrge polecił nas w Willi Medici. Wygląda na to, że wezmą nas pod uwagę przy planowaniu kolejnych prac restauracyjnych.

– Fantastycznie! Musimy więc to uczcić! – wykrzykuję i mam ochotę wdrapać się na jej rusztowanie i przybić jej piątkę, ale być może Paola jest już dziś wystarczająco wytrącona z równowagi.

Jesteśmy bez reszty pogrążone w pracy, gdy za naszymi plecami rozlega się niski, wibrujący głos.

– Dzień dobry, dziewczyny.

To ona. Gabriella Borraccini, królowa prac restauratorskich. Wchodzi po schodkach i zatrzymuje się pośrodku kaplicy. Ma pięćdziesiąt lat, a prezentuje się wspaniale – zupełnie jakby przyszła prosto z salonu piękności. Wszystko w niej jest doskonałe – krótka fryzura w stylu lat dwudziestych, usta pomalowane na żywą czerwień, policzki muśnięte różem. Ma na sobie beżowe rozkloszowane spodnie, koszulkę w biało-niebieskie paski

i niesamowicie oryginalne korale z ogromnych czarnych pereł nanizanych na grubą białą wstążkę (też takie chcę!). Na nogach ma jak zawsze moka-syny Tod's – nosi je w różnych kolorach, w zależności od pory roku, teraz wybrała białe – a przez ramię przewiesiła śliczną teczkę z niebieskiej skóry.

– Dzień dobry – odpowiadam, pospiesznie schodząc z rusztowania. – Witamy. Jak minęła pani podróż?

Uświadamiam sobie, że pomimo niedawnego oburzenia teraz nieświadomie przyjmuję unізoną postawę. Ale nic nie mogę na to poradzić – ta kobieta potrafi mnie zdominować.

– Dobrze, dziękuję – odpowiada, wymieniając z Paolą wstrzemięźliwe pozdrowienia.

W przeciwieństwie do mnie, moja koleżanka nie jest ani trochę zakłopotana. Co więcej, zdaje się bardziej chłodna i poirytowana niż zwykle.

– A więc jak idzie praca?

Szybko rzuca okiem na fresk przedstawiający Zwiastowanie, który częściowo zasłania Paola, nie udająca nawet, że próbuje usunąć się z widoku, a potem podchodzi do ściany z *Pokłonem Trzech Króli* – tej, przy której pracuję ja.

– Cóż, nie jest jeszcze skończony – próbuję się usprawiedliwiać.

– Rzeczywiście, zostało jeszcze sporo do zrobienia – przytakuje.

Przygląda się freskowi badawczo, dłonią podpierając podbródek.

– Być może należałoby rozświetlić ten obszar, a ten pozostawić ciemny. Prócz tego trzeba podkreślić emocje na twarzach. Ta czerwień jednak nie jest zbyt udana.

No tak, znalazła defekt. Gdy Borraccini mówi, że coś „nie jest zbyt udane”, to znaczy, że trzeba będzie zacząć od nowa.

– Tak naprawdę ten kolor jest zgodny z oryginałem. A poza tym nie jest jeszcze skończony – Paola interweniuje w mojej obronie.

Nie do wiary! Być może po prostu zaznacza swoje terytorium, ustawia intruzkę. Krótko mówiąc, daje do zrozumienia: „Jeśli ktoś ma prawo ją krytykować, to ja i nikt inny”.

– Naturalnie, naturalnie – odpowiada dyplomatycznie Borraccini.

Nie spodziewałam się po niej tak pokornej reakcji.

– Zatem dobrze wam się razem pracuje? – dorzuca, jakby chcąc zmienić temat.

– Tak – odpowiadam, także w imieniu Paoli.

Professoressa przygląda mi się, a na jej ustach zarysowuje się złośliwy uśmiech.

– A więc Paola cię nie pogoniła? Twój poprzednicy na ogół po trzech dniach uciekali gdzie pieprz rośnie.

– Ależ nie! Wszystko układa się bardzo dobrze – odpowiadam, zauważając jednocześnie, że Paola ciemnieje na twarzy, a jej kości policzkowe zarysowują się mocniej, jak zawsze, kiedy ogarnia ją złość lub napięcie.

– Nigdy nie pogoniłam kogoś, po kim było widać, że naprawdę mu zależy, żeby zostać – odpowiada lodowatym tonem.

Znowu mam wątpliwość, czy to był komplement pod moim adresem. Przez moment panuje ciężkie milczenie, a dwie kobiety intensywnie mierzą się wzrokiem. Ja po chwili zaczynam się gubić w domysłach rodem z filmu: między nimi jest jakaś nierozwiązana sprawa, być może rywalizacja na uczelni, a może – nigdy nie wiadomo – chodzi o mężczyznę.

W końcu Borraccini podejmuje próbę rozładowania atmosfery, wysilając się na sztuczny uśmiech.

– No dobrze, dziewczyny, nie zajmuję wam więcej czasu. Idę do Szkoły Konserwacji – mówi, poprawiając przewieszoną przez ramię teczkę. – Miło było się z wami znowu zobaczyć. Udanej pracy.

Patrzę na Paolę, która odprowadza Borraccini wzrokiem, dopóki ta nie znika całkiem z pola

widzenia. Wyraz malujący się na jej twarzy zniechęca mnie do zadawania jakichkolwiek pytań, a nawet od wydania z siebie jakiegokolwiek dźwięku, choćby westchnienia. Lepiej, żebym przez następnych kilka godzin pracowała w milczeniu. Muszę stać się niewidzialna.

Docieram wreszcie do domu. Jestem wykończona. Otwieram drzwi i mamroczę „ciao”, wrzucając klucze do kieszeni wiszącego w przedpokoju przybornika. Po drodze do pokoju niezdarnie ściągam trampki. Jestem już w salonie, gdy odrywam wzrok od podłogi i zauważam, że oprócz Filippa czeka na mnie ktoś jeszcze.

Gaia uśmiecha się do mnie i wykrzykuje: „Niespodzianka!”.

O rety, nie chce mi się wierzyć! Cieszę się tak bardzo, że mogłabym popłakać się ze szczęścia. Nie widziałam swojej przyjaciółki od pięciu miesięcy i oto pod koniec tej długiej, dusznej

soboty staje przede mną, cała opalona słońcem Malediwów.

– Podziękuj jemu – palcem wskazującym z pomalowanym na fioletowo paznokciem Gaia wskazuje Filippa. – To był jego pomysł.

Potem rozkłada ramiona, by mnie objąć i zasypać buziakami – naturalnie, na ustach ma błyszczący w najmodniejszym tego lata odcieniu fioletu.

– Tylko czemu tak długo kazałaś na siebie czekać?

Przytulam ją mocno, przyklejając się do jej króciutkiej sukienki z zielonego jedwabiu. Ona pachnie perfumami, podczas gdy ja jestem cała spocona po upalnym dniu. Szukam wzrokiem oczu Filippa i szepczę mu bezgłośnie „dziękuję”. Po raz kolejny udowodnił, jak mocno mnie kocha.

Gaia oznajmia, że zostanie z nami na cały weekend. Myśl o tym mnie elektryzuje – zapominam o pracującej sobocie i stresującej wizycie Borracini. Gaia jak zawsze promienieje. Bez

dwunastocentymetrowych obcasów, w prostych gladiatorkach jest jeszcze piękniejsza. Ale z tymi błyszczącymi blond włosami, zadbanymi paznokciami i perfekcyjną, świetlistą cerą jest gladiatorką w wydaniu glamour – znacznie bardziej niż ja.

– No dobrze, dziewczyny, zostawiam was same. Idę do Alessia i Giovanniego na męski wieczór.

Filippo się podnosi, a po wyrazie jego twarzy poznaję, że towarzystwo naszej dwójki nieco go przytłacza. Spogląda na mnie, puszcza oko i rzuca:

– Nie obgaduj mnie za bardzo.

– A wy nie flirtujcie za dużo z dziewczynami – odpowiadam, odwzajemniając oczko.

Po wyjściu Filippa zasiadamy z Gaią na kanapie z koktajlami bellini. Przez chwilę czuję się, jakbym wróciła do Wenecji, do mojego mieszkanka singielki, gdzie przeżywałam chwile mniejszej i większej rozpaczy. Wspomnienie naszych wieczorów wzajemnego wsparcia przy kubelku lodów i misce orzeszków sprawia, że

natychmiast odnajduję tamto uczucie zażyłości, którego brakowało mi przez te wszystkie miesiące.

– Przed przyjazdem rozejrzałam się trochę i wybrałam kilka zaproszeń na nasze wspólne wyjścia – mówi Gaia, machając mi przed oczami grubym plikiem biletów na rozmaite imprezy i przedstawienia. – Jak cię znam, to żyjesz tu jak eremitka i ani trochę nie korzystasz z uroków rzymskiego lata.

Cóż, Gaia, w gruncie rzeczy to masz rację, choć... Mimowolnie nasuwa mi się wspomnienie imprezy na brzegu jeziora, Leonarda i szaleństw, które już miałam z nim popełnić. Miałabym ochotę wszystko wyznać, ale czuję, że jeszcze nie nadeszła odpowiednia chwila, więc mówię tylko:

– Ledwo przyjechałaś, a już prawisz mi kazania! Opowiedz mi lepiej, co u ciebie, kochana...

Gaia siada wygodniej na kanapie, układa pełne usta w wystudiowany grymas i wyciąga z białej, ozdobionej frędzlami torebki Balenciagi

egzemplarz pisma „GQ”, po czym kładzie mi go na kolanach.

Biorę magazyn do ręki i aż otwieram usta ze zdziwienia. Na okładce widnieje Samuel Belotti z obnażonym torsem i w podartych dżinsach. Włosy o miedzianym kolorze są potargane, a z szyi zwisa naszyjnik plemienny. Spojrzenie ma pewne siebie, bezczelne. Kogoś mi przypomina...

– Jaki on ma w końcu kolor oczu? – to pierwsze pytanie, jakie przychodzi mi do głowy.

Nawet wpatrując się w to zdjęcie, nie jestem w stanie określić – są zielone, szare, a może piwne? Gaia wybucha śmiechem.

– Ich kolor zmienia się w zależności od jego nastroju – odbiera mi czasopismo i wpatruje się w okładkę rozmarzonym wzrokiem. – A wiesz, że do tego został jeszcze pisarzem? – wzdycha, jakby w zamyśleniu. – Na stronie internetowej czasopisma ma bloga, na którym opisuje życie sportowca dzień po dniu. Tak naprawdę piszą to za

niego redaktorzy pisma, ale nie uwierzyłyabyś, ile kobiet komentuje posty.

– A ty nie jesteś zazdrosna?

Gaia potakuje zrezygnowana.

– Z początku strasznie działało mi to na nerwy, dużo się kłóciliśmy – przerywa i patrzy na mnie zagubionym wzrokiem, jakby sama nie wierzyła w to, co ma zamiar powiedzieć. – Ale potem on przysiągł, że kocha tylko mnie. A ja mu uwieryłam, Ele – posyła mi nieśmiały uśmiech, jakby spodziewała się nagany. – No co... Nie powiesz, że straszna ze mnie naiwniaczka? – pyta.

– Nie, nie powiem – odpowiadam. – Nie ma ani jednego sensownego powodu, dla którego ten facet nie miałby cię naprawdę kochać. No, opowiedz lepiej, jak było na Malediwach? Czemu się nie chwalisz? – zachęcam ją, bo ta przesłodzona atmosfera zaczyna mi już działać na nerwy.

– Cudownie. Szkoda, że to nie mogło trwać dłużej – odpowiada Gaia i przygryza wargę. –

Niestety teraz musi już trenować przed ostatnimi wyścigami sezonu.

– Brakuje ci go?

– Straszliwie. Wiesz, że to jest moja pierwsza myśl po przebudzeniu i ostatnia przed zaśnięciem? Śmieję się, śmieję, ja sama czasem się sobie dziwię! Obawiam się, że przez Samuela całkiem zgłupiałam.

– Tak, wiem jakie to uczucie – wymyka mi się.

Gaia uśmiecha się do mnie, sądząc, że mam na myśli Filipa. Ale niestety tak nie jest.

– Widziałam się z Leonardem.

Uff, powiedziałam to.

– Z Leonardem?! – wykrzykuje z niedowierzaniem, wytrzeszczając oczy.

Żołądek ściska mi się na dźwięk wypowiedzianego głośno jego imienia. Nagle chciałabym, żeby miał na imię Paolo albo Marco, albo jak jakiś inny kolega lub znajomy. Gdy się nad tym zastanowić, to jedyny Leonardo, jakiego znam.

– Wiem, wiem... – mówię cicho i upijam duży łyk koktajlu, starając się zyskać na czasie. – Powinnam ci była powiedzieć wcześniej. Któregoś wieczoru prawie się przemogłam, ale tak naprawdę nie miałam ochoty na zwierzenia przez Skype.

Zdaję sobie sprawę, że mówię nieskładnie. Próbuję się pozbierać i opowiedzieć wszystko z innej perspektywy, ale to nie wychodzi.

– Kurde, Ele, po tym wszystkim, co się wydarzyło, ty jeszcze raz dajesz się nabrać? – w jej tonie wyczuwam więcej niepokoju niż nagany.

– Gaia, przysięgam, to nie moja wina. To było silniejsze ode mnie.

– OK, opowiadaj. Chcę wiedzieć wszystko, ze szczegółami.

Teraz nie ma już odwrotu. Opowiadam jej od początku do końca: o nieszczęsnym pierwszym spotkaniu, o potajemnych ucieczkach, o wyrzutach sumienia w stosunku do Filipa, o decyzji, by więcej nie spotykać się z Leonardem i o próbach,

które ten podejmował, by znów wkroczyć w moje życie.

– Ale teraz sprawa jest zamknięta na klucz, a klucz został wyrzucony – konkluduję z przekonaniem. – Byłam o krok od popełnienia wielkiego błędu, mogłam zaprzepaścić związek z Filippem, ale udało mi się zostawić przeszłość za sobą. Teraz czuję się pewnie i nie pozwolę, by ktokolwiek lub cokolwiek zniszczyło nasz związek.

Po kilku sekundach ciszy, w czasie których zdaje się dopasowywać w głowie fragmenty układanki, Gaia obraca się ku mnie gwałtownie, po czym pobrząkując diamentowymi kolczykami i wbijając we mnie oczy, pyta:

– Jesteś pewna, że naprawdę kochasz Filippa?

– Tak. Nigdy jeszcze nie byłam tego tak pewna.

Szybkość, z jaką udzieliłam tej odpowiedzi, zaskakuje nawet mnie. Gaia wciąż badawczo mi się przygląda, jakby się zastanawiała, czy mi wierzyć, czy nie.

– Czy on coś podejrzewa?

To pytanie przywołuje wyrzuty sumienia.

– Nie sądzę.

– Masz zamiar mu powiedzieć?

– Cóż... może powinnam...

– Nie! – przerywa mi apodyktycznym tonem. –

To byłby błąd. Nic mu nie mów.

– Jesteś pewna?

Szczerść zawsze stanowiła fundament naszej przyjaźni.

– Całkowicie. Jeśli sprawa jest zamknięta, to teraz z pewnością nie ma sensu mu mówić.

– Ale mnie ciąży ukrywanie tej historii. Chciałabym wszystko mu wyznać i zacząć od nowa, z lepszym sercem i bez kłamstw między nami.

– Ele, to doprowadzi tylko do kłótni. A może nawet do zerwania. Czego ty się spodziewasz? Że ci wybaczy i będzie cię kochał, jakby nic się nie stało?

Ma rację. Wyznając prawdę Filippowi, zrzuciłabym z serca ciężar. A jednak muszę go

dźwigać – sama – jeśli chcę, by nasz związek trwał.

– Uwierz mi, tak będzie lepiej. Z czasem przebaczysz sobie samej i poczucie winy będzie ci ciążyć coraz mniej – mówi Gaia, kładąc mi dłoń na głowie. – Ale nie rób już głupstw. Filippowi za bardzo na tobie zależy.

– Wiem, Gaia – sam fakt, że ona jest teraz tutaj, stanowi na to dowód. – I zapewniam cię, że mnie na nim także.

Jest niedzielny wieczór, a po dniu spędzonym na intensywnym shoppingu w centrum bolą mnie nogi i jestem wykończona. Ale mam jeszcze dość energii, by spędzić z Gaią ostatnie godziny przed jej jutrzejszym wyjazdem.

– Zabieram cię na imprezę gejowską – zdradza mi, gdy przygotowujemy się do wyjścia. – Organizuje ją mój przyjaciel, w klubie na Testaccio.

Pogląd Gai na tę kwestię jest mi znany: imprezy gejowskie są najfajniejsze, jest tam najlepsza

muzyka i najbardziej *cool* towarzystwo, a także, z niewyjaśnionych przyczyn, najłatwiej tam kogoś poderwać.

– A jak niby mam się ubrać na imprezę gejowską?

Poddaję przeglądowi niemal całą garderobę, ale odnoszę wrażenie, że nie mam nic odpowiedniego.

– Ele, jak ci się tylko podoba! – odpowiada, wyciągając z walizki sukienkę z cekinami. – Ale najlepiej trochę jak dziwka.

Podczas gdy my się przebieramy, kursując między łazienką a pokojem w nieprzyzwoitych kreacjach, Filippo leży rozwalony na kanapie w salonie, przy włączonym telewizorze i z nieodłącznym iPadem w dłoni. Został przez nas nieco wykluczony, ale nie wygląda na urażonego. Co jakiś czas rzuca okiem w naszą stronę i kręci głową, nie starając się zbytnio ukryć kpiącego śmieszku. Pewnie myśli, że zachowujemy się

gorzej niż dwie nastolatki. I w gruncie rzeczy niewiele się myli.

Po ponad godzinie prac restauratorskich jesteśmy wreszcie gotowe. Pewnym krokiem ruszamy do salonu na naszych dwunastocentymetrowych obcasach (dziś wieczór nawet ja włożyłam szpilki!), żeby zaprezentować się Filippowi.

– Hej, zasłoniłyście telewizor! – komentuje z rozkojarzoną miną, po czym wybucha śmiechem.

– Nie doceniasz nas, a więc nie zasługujesz na nasze towarzystwo. *Addio!* – rzucam, ciągnąc za sobą Gaię w kierunku drzwi wyjściowych.

– Hej, Bibi!

– Tak? – odwracam się.

– Zanim zapomnę... – unosi się na kanapie. – Przyszło zaproszenie na otwarcie.

– Otwarcie czego?

– Restauracji Leonarda, pamiętasz? – wyjaśnia.

Policzki zalewa mi fala gorąca. Całkiem to wyparłam.

– Tak – mówię, jakbym przebudziła się ze śpiączki.

Spoglądam w stronę Gai, która pozostaje niewzruszona. Ona to ma nerwy. Jestem przy niej całkowitą amatorką.

– Odbędzie się w sobotę wieczorem – mówi Filippo.

– Super – odpowiadam pospiesznie, choć tak naprawdę mam poważne wątpliwości, czy powinienam tam z nim iść.

Potem Filippo zwraca się do Gai.

– Szkoda, że już musisz jechać. Spodobałoby ci się tam. To lokal, który ostatnio przebudowaliśmy.

– Następnym razem. Oczywiście, jeśli mnie zaprosicie – odpowiada moja przyjaciółka, puszczając mu oko.

– OK, ale teraz idziemy, bo inaczej spóźnimy się jeszcze bardziej – popycham Gaię w kierunku drzwi.

– Miłej zabawy... i bądźcie grzeczne! – krzyczy za nami Filippo.

– Tak jest! – odpowiadamy jednocześnie i wskakujemy do windy.

Kiedy zjeżdżamy na parter, Gaia spogląda na mnie pytająco, a ja potwierdzam – restauracja, o której była mowa, to ta, której Leonardo użył jako pretekstu, by zbliżyć się do Filippa.

– Ale nie chcę o tym myśleć – mówię błagalnym tonem. – Dziś wieczorem nie chcę myśleć o niczym.

Do klubu Ketumbar docieramy tuż przed dziesiątą. Wnętrze lokalu jest niesamowite: przez przestronne, zwieńczone łukowatymi sklepieniami sale wije się długi, półokrągły bar. Budynek, w którym mieści się lokal, przylega do zbocza usypanej ze skorup rozbitych amfor góry Testaceus, od której pochodzi nazwa całej dzielnicy. Z niektórych okien można ujrzeć jej przekrój –

niekończące się warstwy potłuczonych dzbanów i innych naczyń, które wyrzucano tu przez wieki.

– Fantastyczne! – wykrzykuję, posyłając Gai pełne uznania spojrzenie.

– Przecież wiesz, że zawsze zabieram cię w najlepsze miejsca – odpowiada z dumą moja przyjaciółka.

Nie ma co do tego wątpliwości – królowa nocy i PR-u triumfuje także w Rzymie. Zresztą w tej chwili też zajmuje się naszym PR-em, witając się z ciemnowłosą hostessą ubraną w strój dżentelmena: czarną krawatę, szelki i białą koszulę, a do tego z ustami pomalowanymi na czerwień Valentino.

Prezentując olśniewający uśmiech, prowadzi nas do naszego stolika.

– To ten. Miejsce vipowskie – mówi do Gai. – Zarezerwowałam je specjalnie dla ciebie.

– Dzięki, Alessia. Wiedziałam, że mogę na tobie polegać – mówi Gaia, pociągając ją żartobliwie za krawatę.

Potem się odwraca, by przywitać się wylewnie z jednym z kelnerów. Nic się nie zmieniła. Gdziekolwiek pójdzie, jest panią sytuacji.

Czekając na pierwszego drinka, rozglądam się dookoła i zauważam, że wszyscy wokół są odziani w biel.

– Hmm, Gaia, nie wydaje ci się, że wyglądamy trochę jak z innej bajki? – pytam.

Ja jestem ubrana na niebiesko, a ona na czarno.

– O, nie! – woła, uderzając się dłonią w czoło.

– Biel to temat przewodni wieczoru! Napisali to nawet w zaproszeniu!

No tak, dwie godziny przygotowań tylko po to, by popełnić spektakularną gafę.

– No cóż, po prostu dziś wieczorem będziemy się wyróżniać – wzruszam ramionami.

– Dwie ekscentryczne lesbijki.

– Właśnie tak, *amore mio* – mówię, posyłając jej buziaka, i obie wybuchamy głośnym śmiechem.

Otrzymawszy drinki, rzucamy się na szwedzki stół. Próbujemy pysznych ryżowych pulpecików i doskonałego kuskusu z orzeszkami piniowymi i rodzynkami. Problemami żołądkowymi po-
martwię się później.

Godzinę później impreza nabrała rozpędu. Gaia, jak zawsze, miała rację. Atmosfera jest wyszukana i elegancka, światła przytłumione, muzyka odpowiednio głośna i dobrana ze znawstwem. Od zremiksowanych wersji Dalidy i Edith Piaf przez piosenki Cyndi Lauper i Davida Bowiego po kawałki Kylie Minogue i Lady Gagi. Cały panteon gejowskich ikon.

Z sufitu głównej sali, a także w innych rozsia-
nych po całym lokalu miejscach zwisają przyczepi-
one do białych jedwabnych wstążek karteczki
z cytatami z Pasoliniego, Oscara Wilde'a, Tho-
masa Manna, Virginii Woolf i zapewne wielu in-
nych członków wyżej wspomnianego panteonu.

Usunęłam z głowy wszelkie zmartwienia
i bawię się nawet lepiej, niż to sobie obiecywałam.

Wszyscy są tacy weseli i ta atmosfera jest zaraźliwa. Gaia przedstawia mi swojego przyjaciela, organizatora imprezy, trzydziestoletniego hipstera w okularach z grubymi, czarnymi oprawkami i koszuli w kratkę, po czym wypycha mnie na parkiet i każe tańczyć. Oczywiście wykonuję rozkaz.

Trochę później, kiedy siedzimy przy naszym stoliku, a ja piję już czwarty drink tego wieczoru, konkretnie mój ulubiony extra mocny lemon gin, dostrzegam w oddali znajomą fryzurę. Skupiam wzrok na zgrabnej postaci, obróconej do mnie plecami. A może to tylko ktoś bardzo do niej podobny? Hmm... ale ktoś tak samo ostrzyżony, o identycznym kolorze włosów i w bliźniaczym naszyjniku z ogromnych pereł? W pewnej chwili kobieta odwraca się do mnie półprofilem. Teraz widzę lepiej ostre rysy twarzy i wszelkie wątpliwości znikają. To Borraccini.

Chcę podzielić się obserwacją z Gaią.

– Jest tu moja profesorka – szepczę jej na ucho.

– Jesteś pijana? Wiesz, że masz słabą głowę.

– Serio, przysięgam – ujmuję Gaię za kark i kieruję jej głową, pokazując, gdzie ma patrzeć. – Tam. Siedzi przy stoliku niedaleko witraża.

– Jesteś pewna? – dopytuje, otwierając szeroko oczy.

– Stuprocentowo.

– A co ona tu robi?

– Też chciałabym wiedzieć – odpowiadam, wciąż zszokowana. – Wygląda, jakby na kogoś czekała. Ciągłe spogląda w kierunku baru. Myślisz, że powinnam podejść i się przywitać?

Kiedy po chwili zbliża się do niej odstawiona blondynka z drinkiem w ręku i całuje ją namiętnie w usta, wprost brakuje mi słów.

– A to kto? – pyta Gaia, coraz bardziej rozbawiona.

O Boże, nie wierzę. Gapię się na nią z ustami otwartymi ze zdumienia.

– To Paola, moja koleżanka z pracy.

Wygląda zupełnie inaczej niż na co dzień. Na twarzy ma profesjonalny makijaż, na nogach zawrotnie wysokie obcasy, a do tego superseksowną sukienkę tubę.

– Twoja koleżanka z pracy... – powtarza Gaia.

– No.

– ...spotyka się z twoją profesorką.

– Jak do tego doszłaś?

– O rety, co za absurdalna historia! – wykrzykuje i wybucha śmiechem.

To naprawdę absurd. Z tego co wiem, Borraccini jest szczęśliwie zamężna – jej mąż jest weneckim przedsiębiorcą. Mają też piętnastoletnią córkę.

– Dziwne – zastanawiam się na głos. – Jeszcze wczoraj wyglądały, jakby się nienawidziły.

– No to chyba się pogodziły – podsumowuje Gaia, nie odrywając od nich wzroku.

Dochodzę do wniosku, że najlepiej będzie się nie wtrącać. Wyraźnie widać, że ich związek ma

potajemny charakter i nie sędzę, by były zadowolone, gdybym podeszła do nich na kurtuazyjną pogawędkę.

Właśnie mam prosić Gaię, żebyśmy się przesiadły, kiedy się orientuję, że jest już za późno. Paola mnie zauważyła. W tłumie mój wzrok spotkał się z jej wzrokiem. Przez chwilę odnoszę wrażenie, że w jej oczach maluje się rodzaj zakłopotania i mam niemal ochotę przeproszać za to przypadkowe spotkanie. Nie wiem, czego się po niej spodziewać – może uda, że nic się nie stało? Tymczasem Paola nie usuwa się z widoku ani nie odrywa ode mnie spojrzenia. „Tak” – zdaje się mówić – „to naprawdę ja. Teraz znasz nasz mały sekret”.

W porządku, przyjąłem wiadomość. Przesyłałem jej moją odpowiedź w formie uśmiechu: „Wasz mały sekret jest bezpieczny”.

Potem Paola przysuwa się do Borraccini, odwracając się do mnie tyłem. I na tym kończy się nasza rozmowa.

Impreza trwa do późnej nocy, ale my postanawiamy ewakuować się wcześniej, jako że nazajutrz muszę wstać do pracy o świcie i naprawdę nie wiem, skąd wziąć na to siłę. Wyjdziemy z klubu około drugiej. Ale czeka nas jeszcze jedna niespodzianka.

Na chodniku przed lokalem stoją Paola i Borracini, kłócąc się głośno. Paola szarpie ją za ramię, zarzucając potokiem niezrozumiałych słów, podczas gdy tamta odpowiada równie gwałtownie, skrzyżowawszy ramiona.

– Oj, wygląda na to, że zawieszenie broni nie trwało długo! – komentuje Gaia.

– Lepiej stąd chodźmy – popycham ją w przeciwną stronę w obawie, że mogłyby nas zobaczyć.

Czuję się, jakbym była jednym z tych paparaz-zich, którzy czatują nocą przed wyjściami z klubów, żeby sprzedawać plotki tabloidom. Z tą różnicą, że ja tę plotkę zatrzymam dla siebie. Zawarłam z Paolą cichy pakt, podpisując go spojrzeniem.

Następnego ranka w pracy muszę walczyć z sennością. Z trudem utrzymuję oczy otwarte, a już wpuściłam sobie do nich dwadzieścia pięć kropelek nawilżających. Gaia pewnie jeszcze wyleguje się na mojej kanapie, szczęściara! Wyjeżdża dziś po południu i na pewno nie będzie się spieszyła ze wstawaniem, dopełni spokojnie porannych rytuałów piękności, posiedzi przy kontynentalnym śniadaniu, które jej przygotowałam, i może napisze jakiś ognisty komentarz na blogu Belottiego.

Kiedy przysłam, Paola już pracowała i tak jak się spodziewałam, nie uczyniła najmniejszej aluzji do wczorajszego wieczoru. Skoro ona nie porusza tego tematu, nie ma mowy, bym ja to zrobiła. Zresztą co niby miałabym powiedzieć?

Wciąż jednak nie mogę w to uwierzyć. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że Borraccini może mieć potajemny romans. I do tego ze swoją byłą uczennicą! Jednak pewne rzeczy po prostu się dzieją i nie ma potrzeby ich wyjaśniać ani

tłumaczyć. Ja sama powinnam o tym wiedzieć najlepiej.

Pracuję właśnie nad rozjaśnieniem dolnej części fresku, kiedy dobiega mnie odgłos tłumionego łkania. Odwracam się i widzę, że Paola dalej spokojnie pracuje. Już myślę, że mi się wydawało, gdy słyszę kolejne cichutkie chlipnięcia. Podchodzę do niej i widzę, że to jednak była ona – pracuje, jednocześnie płacząc.

– Hej, co się stało? – pytam ją z lekkim zakłopotaniem.

Paola, zawstydzona, ociera twarz rękawem kombinezonu.

– Przepraszam – mamrocze.

Płacze jak ktoś, komu zdarza się to tak rzadko, że niemal zapomniał, jak to się robi. Wiem, że to dziwna myśl, ale naprawdę odnoszę takie wrażenie.

– Ale za co mnie przepraszasz? – staram się dodać jej otuchy.

Spod okularów wciąż spływają jej łzy, choć z całych sił stara się je zatrzymać.

– Chciałabyś pogadać czy wolisz zostać przez jakiś czas sama? – pytam bardzo ostrożnie.

Osobom wycofanym, takim jak ona, nie wolno zbyt szybko się narzucać. Paola opuszcza ramiona wzdłuż ciała i spuszcza głowę. Trwa tak przez kilka sekund, jakby zbierając siły. Potem nagle ściąga lateksowe rękawiczki i przeczesuje dłonią włosy, wzdychając, jakby próbowała zrzucić z siebie jakiś ciężar.

– No dobra, przecież i tak już wiesz... – rzuca mi zdecydowane spojrzenie. – To koniec, Eleno. Wczoraj rozstałyśmy się z Gabriellą.

Potem, niczym wezbrana rzeka, zaczyna wylewać z siebie żal, opowiadając poruszającą historię swojego związku z Borraccini, który zaczął się w czasach uniwersyteckich i trwał, utrzymywany w tajemnicy, aż do wczorajszego burzliwego finału.

– Całymi latami czekałam cierpliwie i pozostawałam w cieniu. Staralam się pogodzić z tym, że ona prowadzi dwa równoległe życia, ale w końcu kazałam jej wybrać: albo ja, albo jej mąż. Chciałam, żebyśmy razem zamieszkały, żebyśmy zostały normalną, prawdziwą parą. Ona poprosiła o czas do namysłu. W końcu przedwczoraj pojawiła się niespodziewanie w Rzymie, nawet mnie nie uprzedzając.

Bierze głęboki oddech, po czym kontynuuje opowieść.

– Wczoraj wieczorem dała mi odpowiedź. Wybrała swojego męża. W głębi duszy spodziewałam się tego. Choć wiem, że podjęła tę decyzję nie z miłości, tylko ze strachu.

– Przykro mi.

Tylko to jestem w stanie powiedzieć. Brakuje mi innych słów, a w każdym razie tych właściwych. Nic nie jest w stanie ukoić takiego bólu. Przytulam Paolę, usuwając jak gąbką dzielący nas dotąd dystans. Czuję, że w tej chwili właśnie to

jest jej potrzebne. Zresztą to jedyne, co mogę jej dać. Ona pozostaje nieco sztywna, lecz pozwala się objąć. Tylko przez chwilę, potem natychmiast zbiera się w sobie i przywdziewa z powrotem swoją zbroję.

– To moja wina – zbyt długo ulegałam złudzeniom. Teraz wreszcie mogę zamknąć za sobą ten rozdział i iść naprzód – mówi z wymuszonym optymizmem, czyszcząc okulary z takim pietyzmem, jakby była to najważniejsza rzecz na świecie.

– Ja jestem tutaj, gdybyś mnie potrzebowała – mówię.

Nagle zaczynam patrzeć na nią w inny sposób. Do wczoraj była dla mnie żelazną damą – chłodną i nieprzystępną. Dziś wydaje mi się delikatną i bezbronną dziewczynką. Głęboko wzrusza mnie fakt, że Paola pokazała mi się z tej strony. Mam wrażenie, że nie jest już tylko koleżanką z pracy, lecz przyjaciółką.

Urwałam się dziś trochę wcześniej, bo o czwartej mam być na stacji Termini, by pożegnać się z Gaią. Rusza do Neapolu w pogoni za Belottim, który w tym tygodniu ściga się wraz ze swoją drużyną na południu Włoch. Moja przyjaciółka chce go zaskoczyć swoim przyjazdem i nie mam pojęcia, jak on może na to zareagować – nie przepada za niespodziankami, szczególnie kiedy ma zawody. Ale mam dobre przeczucia.

Odprowadzając ją na peron, myślę o tym, jak dobrze było mi w jej towarzystwie w ostatnich dniach i jak bardzo będzie mi jej brakowało. Gaia jako jedyna zna całą prawdę o Leonardzie i być może tylko ona jest w stanie w pełni mnie zrozumieć.

– Co według ciebie powinnam zrobić? – pytam, zanim wsiądzie do pociągu. – Mam iść na otwarcie restauracji czy nie?

Czuję się gotowa, by iść. Nadałam mojemu życiu jasny kierunek, a zobaczenie Leonarda nie sprawi, że zmienię zdanie. Nie tym razem.

Osiągnęłam pewien poziom samoświadomości – a przynajmniej mam taką nadzieję – i sądzę, że będę umiała zachować się godnie.

– Chcesz mojej rady? – Gaia unosi brwi.

– Właśnie o nią poprosiłam...

– Lepiej, żebyś nie szła.

– Czemu? – pytam, kręcąc głową.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi.

– Posłuchaj mnie: nie jesteś jeszcze gotowa.

Po tych słowach zgniata mnie w jednym z tych swoich żywiołowych uścisków i wsiada do pociągu. Z okna przedziału rzuca mi jeszcze ostatni uśmiech, a z jej zielonych oczu wyczytuję myśl: „Uważaj, Eleno, nie igraj z ogniem”.

Od samego rana zaczęłam odliczanie. Dziś wieczorem odbędzie się otwarcie nowej restauracji Leonarda, a ja nie postanowiłam jeszcze, co zrobię. Obiecałam Filippowi, że z nim pójdę, ale od wyjazdu Gai nie odstępuję mnie wątpliwości.

Muszę to przemyśleć. Im bliżej do tej chwili, tym bardziej obawiam się spotkania z Leonardem. A jeśli to ona ma rację? Jeśli on rzeczywiście potrafi podważyć każdy mój pewnik?

Tak naprawdę z Filippem układa nam się dobrze – także w łóżku, nie mogę zaprzeczyć – ale czasem mam wrażenie, że nie czuję się dość żywa. A przynajmniej nie tak żywa, jak sprawiał Leonardo. Boże, mam teraz taki zamęt w głowie! Chciałabym porozmawiać z Gaią, ale od rana próbuję się do niej dodzwonić, a ona nie

odpowiada. Kto wie, co wyprawia w Neapolu ze swoim kolarzem!

Właśnie wchodzę przez bramę Villi Borghese, tę od strony galerii. Mam się spotkać z Martinem – obiecał mi wygłosić wykład o dziele Caravaggia, które teraz studiuje.

Jest. Przyszedł punktualnie, w przeciwieństwie do mnie, i czeka na schodach przed wejściem. Ma spodnie w kolorze wypłowiałego błękitu, białą koszulę z krótkim rękawem i – nie wierzę! – wzorzystą muszkę.

Całkowicie wczuł się w swoją rolę – młody Philippe Daverio z twarzą Roberta Pattinsona. Podchodzę do niego, śmiejąc się już z daleka.

– A więc wzięłeś sobie do serca to, co ci powiedziałam.

– Tylko dla ciebie – oznajmia, rozkładając ramiona i obdarza mnie uśmiechem od ucha do ucha. Potem całuje mnie w oba policzki. – Tylko dla ciebie odważyłem się włożyć koszulę z krótkim rękawem.

– Co za zaszczyt! Mam najbardziej eleganckiego przewodnika na tej planecie!

– Wiem. Myślałem nawet, żeby zacząć nosić ją zawsze – poprawia muszkę z wyniosłą miną.

– Idealnie pasuje do spodni biodrówek i tenisówek – potwierdzam.

– A zatem – zaczyna, robiąc głęboki wdech – jesteś gotowa na śmierć z nudów? – i podaje mi ramię jak prawdziwy dżentelmen.

– Nie mogę się doczekać – uśmiecham się i mrugnawszy okiem, biorę go pod rękę.

Wchodzimy po kamiennych schodach i triumfalnie wkraczamy do willi – to miejsce jest świątynią sztuki i niemal się wstydzę, że przeżyłam trzydzieści lat, a nigdy tu nie byłam. Na szczęście Martino zadbał o to, bym nadrobiła te zaległości!

Już w pierwszej sali, pośród innych skarbów włoskiej sztuki, wystawiona jest *Madonna z węzem*.

Przystajemy przed obrazem i przez chwilę mam wrażenie, że zemdleję: nogi lekko mi drżą, serce zaczyna przyspieszać, a w brzuchu mam wir emocji. Nie wiem, czy są to objawy syndromu Stendhala, ale na pewno coś się we mnie poruszyło. Analizowałam ten obraz w książkach, ale na żywo robi na mnie poruszające wrażenie, mimo że temat nie ma w sobie nic szczególnego; Madonna z Dzieciątkiem depczą węża – grzech pierworodny – w asyście świętej Anny.

– Piękny, prawda? – pyta Martino.

– Wręcz nieziemski – odpowiadam osłupiała.

Namalowano go pięć wieków temu, lecz wydaje się tak nowoczesny, tak... prawdziwy.

– Pomyśl, że miał znaleźć się nad jednym z ołtarzy w Bazylice Świętego Piotra, ale potem został odrzucony przez zleceniodawców – wyjaśnia Martino z miną kogoś, kto wiele wie na ten temat.

– Jak to?

– Ten obraz wywołał skandal. Uznano go za heretycki.

Chcę wiedzieć więcej. Zachęcam go spojrzeniem, żeby kontynuował.

– Spójrz na Jezusa – mówi, wskazując na niego palcem. – Jest dzieckiem, ale wydaje się już duży, albo przynajmniej za duży, żeby zostać przedstawionym kompletnie nago.

Rzeczywiście, ma zarysowane mięśnie i zaznaczoną płeć – szczegóły podkreślone dzięki stworzonej przez malarza nieprawdopodobnej grze światła.

– Popatrz teraz na Madonnę – ciągnie Martino. – Wygląda jak kobieta z ludu, ma szeroki dekolt, obfite, wyraźnie widoczne piersi...

– To prawda, jej piękno jest wręcz zmysłowe – komentuję, nie odrywając oczu od płótna. – Niemal przytłaczające.

Martino potakuje.

– Mówi się, że modelką była Lena, słynna prostytutka, która pozowała mu też do *Madonny pielgrzymów*.

– Biorąc pod uwagę biografię Caravaggia, wcale nie jestem zaskoczona... – uśmiecham się na myśl o tym szalonym artyście, wiecznie otoczonym przez kobiety. – Ale nie da się ukryć, Maria i Jezus są wyjątkowo realistyczni. Dużo bardziej żywi, ludzcy niż święta Anna.

– No właśnie – twarz Martina się rozpromienia. Widzę, jak przypisy z przeczytanych książek wyświetlają mu się na czole. – Według niektórych ekspertów prawdziwego powodu odrzucenia dzieła należy szukać w zbyt zdystansowanej postawie świętej, teoretycznie będącej uosobieniem bożej łaski.

– Rzeczywiście przypomina statwę z brązu. Przygląda się z założonymi rękami i niesmakiem na twarzy, ale nie robi nic konkretnego, żeby zabić węża – zauważam, jak gdyby scena rozgrywała się naprawdę na moich oczach.

– Być może przez postać świętej Anny Caravaggio chciał opowiedzieć coś o każdym z nas, o ludzkości – zastanawia się Martino. – Bo w obliczu zła nikt nie jest gotowy i zdecydowany jak Madonna. Wręcz przeciwnie, najczęściej ulegamy jego urokowi.

Kiwam głową, przez chwilę odnajdując w jego słowach siebie. Tak się stało z Leonardem, który teraz jest moim grzechem pierworodnym, pełzającym węzem, jadowitym, a jednocześnie mającym nieodparty urok.

– Tak czy inaczej prawdziwą bohaterką obrazu jest Maria – kontynuuje Martino z uczoną miną.

– Nie ulega wątpliwości – wtóruję mu.

– Zwróć uwagę na wyraz jej twarzy – kładzie mi rękę na ramieniu, wskazując podbródkiem bohaterką obrazu. – Jest nieugięta. To ona podejmuje decyzję, ona wie, co robić. Bierze Jezusa pod pachy, podtrzymuje, nakierowuje go, instruuje. I to ona popycha jego stopę, by zgnieść głowę węża.

– Jezus jedynie ją naśladuje, stawiając swoją stopę na stopie matki – dokańczam wyjaśnienie.

– Uczy się, jak to zrobić – tłumaczy Martino. – Tak jakby Maria mówiła mu, że aby zgnieść zło, najpierw należy spojrzeć mu dobrze w twarz. Trzeba je rozpoznać, żeby podjąć odpowiednie środki.

– A następnie ostatecznie się od niego uwolnić – kończę. Coś z tej rozmowy pobrzmiwa głęboko we mnie.

Nagle jakbym i ja wiedziała, co i jak robić. Myślę znowu o dzisiejszym otwarciu i w mojej głowie wszystko staje się jaśniejsze – nie powinnam iść. To głos Gai, sumienie mówi do mnie przez nią. Odrzucenie tego zaproszenia to jedyny sposób, by oprzeć się pokusie. Tańczyłam z diabłem, a teraz wiem, że muszę trzymać się od niego z daleka.

Martino ciągnie swój wykład, mówiąc o świetle, udrapowaniu szat, grze cieni, ale już go nie słucham. Myślami jestem gdzie indziej,

zastanawiam się nad możliwie bezbolesnym sposobem zakomunikowania Filippowi, że dziś wieczorem z nim nie pójdę.

Po wizycie w Galerii wychodzimy do należącego do willi parku i siadamy na ławeczce w cieniu drzewa. Kręci mi się w głowie, jak często po wizycie w muzeum albo w kinie, a sierpniowy upał jeszcze wzmacnia ten efekt.

– Jesteś zamyślona – mówi Martino.

– Tak?

– Mhm.

– Po prostu zmęczona – mamroczę. – Na dłuższą metę sztuka męczy, wiesz? – dodaję z westchnieniem.

– Nie wiem – Martino kręci głową i przygląda mi się. – Wydajesz się zdołowana, Eleno. Już od dawna jesteś jakaś przygaszona.

Ratunku... ten chłopak ma niesłychaną wrażliwość, w jakiś tajemniczy sposób potrafi przeświecić mi duszę.

– Od jak dawna? – pytam.

Kiepska próba odsunięcia uwagi od właściwego tematu.

Ale Martino ma już gotową odpowiedź:

– Dobrze pamiętam ostatni raz, kiedy wyglądałaś na naprawdę szczęśliwą... To było w dniu, w którym wyszłaś z San Luigi z tym mężczyzną.

Spuszczam wzrok, czując, że robię się czerwona aż po cebulki włosów. To było, kiedy Leonardo porwał mnie nad morze, w jeden z najpiękniejszych dni, jakie spędziliśmy razem.

– Kim był ten facet? – pyta Martino. W jego głosie słychać więcej odwagi. – To nie był twój chłopak, prawda?

– A skąd wiesz?

– Cóż, domyślałam się, że gdyby to był twój chłopak, przedstawiłabyś mi go.

– No tak. To nie był mój chłopak – przyznaję. W końcu jego nie ma sensu okłamywać. Wiem, że temu czystemu spojrzeniu mogę zaufać. – Miałam

trudny okres i byłam rozdarta między dwoma mężczyznami. Filippem, moim chłopakiem, i Leonardem, którego wtedy widziałeś – nie potrafię znaleźć bardziej adekwatnych słów, by opisać minione miesiące. – Ale teraz to już przeszłość. Dokonałam wyboru, wybrałam Filippa – oznajmiam, choć może bez większego przekonania.

Martino przygląda mi się, jakby nie do końca mi wierzył.

– Wiesz, tego dnia, kiedy widziałem cię z... Leonardem – wymawia to imię, jakby chodziło o jakieś zagadnienie natury egzystencjalnej – w twoich oczach było coś takiego... jakieś inne, żywe światło.

Mówi gorzką prawdę, ale zamknęłam moje serce w pancerzu, od którego słowa się odbijają i odlatują jak bumerang. Proszę, Martino, nie stawaj się i ty węzem kusicielem.

– Tak, może to nawet prawda – staram się sprawiać wrażenie, że odnalazłam już wewnętrzną

równowagę. – Ale dużo przez niego wycierpiałam. I nie chcę wpaść w to znowu.

– Rozumiem. Skoro tak postanowiłaś... – podnosi ręce w geście kapitulacji. Potem jego spojrzenie przysłania smuga rozzalenia. – Wiesz, żałuję tylko jednego.

– Czego?

– Ja chciałbym sprawiać, żeby twoje oczy błyszczały w ten sposób... – mówi, nie patrząc na mnie, lecz w jakiś odległy punkt.

Uśmiecham się. To wyznanie uczynił na paluszkach, bez żadnych pretensji, jakby już pogodził się z faktem, że nie może mnie mieć. Och, Martino! Jesteś tak różny od Leonarda, który był w stanie poruszyć niebo i ziemię, by zaspokoić swoje pragnienia. Choć przecież i ten jego opór, i ta nieposkromiona pasja tak bardzo mi się w nim podobały.

Spoglądam na niego z tkliwością.

– Ty zawsze sprawiasz, że moje oczy błyszczą, na swój sposób – daję mu prztyczek w ramię.

– No tak. Na swój sposób.

Po powrocie do domu zaczynam się przygotowywać do mojej wielkiej inscenizacji. Wykładam się na kanapie z opaską do spania na oczach oraz wypełnioną ziarnami lnu poduszczką na brzuchu i oczekuję powrotu Filipa.

Około siódmej słyszę, jak otwierają się drzwi i w powietrzu rozbrzmiewa dźwięk mojego imienia. Głos Filipa jest pełen energii, jakby właśnie wziął regenerujący prysznic.

– Tu jestem – stękam, jakbym była umierająca.

– Co się stało? – spogląda na mnie bezradnie i podchodzi bliżej.

– Mam okropny ból głowy, Fil – unoszę lekko opaskę. – Chyba zbliża mi się okres, sama nie wiem.

– Cholera. Akurat dzisiaj, Bibi – pochyła się i łagodnie głaszcze moje czoło. Opuszczam powieki, nie wytrzymałabym jego czułości z otwartymi oczami. – Wzięłaś coś?

– Tak, środek przeciwbólowy, ale nie pomógł – mówię cienkim głosem, powtarzając sobie w głowie, że kłamię w dobrej intencji. Robię to dla nas (a do tego jestem świetną aktorką, sądząc po jego reakcji). Otwieram oczy i natrafiam na jego spojrzenie, wciąż tak niezdolnie zatroskane. – Słuchaj, nie miej mi za złe i nie znienawidź mnie, ale nie czuję się dziś na siłach, żeby z tobą iść.

Filippo siada na brzegu kanapy i przygląda mi się zrezygnowany.

– Jeśli chcesz, zostanę z tobą w domu.

– Nie, daj spokój – podnoszę się trochę. – Powinieneś tam iść. – Wiem, że zależy mu na tym wieczorze i nie zniosłabym, gdyby zrezygnował przeze mnie.

– I mam zostawić cię samą? Nie bardzo mi się to podoba.

– Przestań. Nie ma problemu. To nic poważnego – nalegam.

– Tak mi zależało, żebyś poszła ze mną.

– Wiem, Fil. Mnie też zależało – wzdygam. – Ale naprawdę nie dam rady, nie nadaję się do niczego – obejmuję głowę dłońmi, udając zombie. – Spójrz na mnie, jestem potworem, blada jak ściana.

– Nie powiedziałbym – całuje mnie czule w czoło. – Dobrze, postaraj się odpocząć. Ja idę się przygotować.

– OK – mówię i przykrywam z powrotem opaską szklące się oczy.

Czuję, że podjęłam słuszną decyzję i przygotowuję się do spędzenia wieczoru w samotności przed telewizorem. Przebrałam się w strój nocny: szorty, bawełniany podkoszulek w paski i japonki hawai-anas na nogach. Wzięłam z zamrażarki kubełek lodów Häagen-Dazs i teraz siedzę po turecku na kanapie, oglądając powtórki *Gotowych na wszystko* i całymi łyżkami pochłaniając stracciatellę. Dziś wieczorem nie objęłabym umysłem filmu pełnometrażowego.

Patrzę roztargnionym wzrokiem na kolejne sceny, nie zaprzatając sobie głowy fabułą. Eva Longoria inscenizuje seksowny taniec w salonie, w nieprawdopodobnych ewolucjach owija się wokół rury i nagle z hukiem spada na dywan, a ja wybucham głupim, spontanicznym śmiechem. No właśnie, nie rozumiem, o co chodzi w tym odcinku, ale przynajmniej sytuacje komiczne – z którymi nie potrafię się nie utożsamiać – nadal do mnie trafiają. Jeszcze nie zamknęłam mózgu w szufladzie, wyrzucając kluczyk...

Jest już po dziesiątej, opróżniłam prawie całe opakowanie lodów i puściłam drugi odcinek serialu, kiedy ktoś dzwoni do drzwi. Wyłączam telewizor, żeby się upewnić, czy dobrze słyszałam. Dzwonek rozlega się znowu. Nie ten u bramy, lecz do mieszkania, który odgrywa coś w rodzaju starodawnej melodii na instrumencie przypominającym ksylofon. Nie spodziewam się gości i nie mam pojęcia, kto to może być. Odkładam łyżkę do kubelka po lodach, podnoszę się z kanapy i człapię

do drzwi z niedobrym przeczuciem. Spoglądam przez wizjer i gdy tylko moje oko łapie ostrość, odskakuję do tyłu. To niemożliwe! On! W pierwszym odruchu mam ochotę skulić się przy drzwiach i udać, że nie ma mnie w domu, ale zaraz potem robi mi się wstyd za samą siebie. Dalej, Eleno, staw mu czoło.

Naciskam klamkę i uchylam drzwi do połowy. Moim oczom ukazuje się Leonardo, charyzmatyczny i niepokojący. Jest bardzo elegancki. Ma na sobie białą koszulę ze srebrnymi spinkami, lekko rozpiętą na opalonym torsie, ciemne spodnie, białe, błyszczące buty, a na szyi szarą jedwabną chustę. Włosy zaczesane do tyłu, może trochę nażelowane – nigdy nie widziałam go z taką fryzurą – brodę nieco krótszą niż zwykle i te diaboliczne oczy, tak czarne, że wydają się niemal umalowane.

Czuję, jak miękną mi nogi, ale pewnym krokiem wychodzę na próg. Krzyżuję ręce,

prostuję plecy. Staję w obronie swojego terytorium i nie pozwolę mu go zająć.

– Po co, do cholery, tu przyszedłeś?

On patrzy mi w oczy, ma rozszerzone źrenice. To spojrzenie mnie rozbija.

– Pozwól mi wejść, to ci wyjaśnię.

– Nie. Nie pozwolę ci wejść. – Na samą myśl o tym, że mógłby zbeczcześcić to miejsce, ogarnia mnie zgroza. – Jeśli masz coś pilnego do powiedzenia, powiedz to teraz – przełykam ślinę. – W przeciwnym razie możesz sobie iść.

Nagle zaschło mi w gardle. Czuję się silna, ale nie na tyle, by rzucić wyzwanie temu kolosowi, który stoi przede mną, i zapanować nad emocjami, które kłębią się we mnie. A na dodatek jego intensywny zapach wyraźnie, z całą mocą dociera do moich nozdrzy. To zew, któremu nigdy nie byłam w stanie się oprzeć.

– No już, Eleno, otwórz te drzwi.

– Nie. Równie dobrze możemy rozmawiać tutaj.

Ręką dotyka futryny, a potem opiera się o nią czołem, zbliżając się niebezpiecznie do mojej twarzy. Sprawia wrażenie wyczerpanego, jak wojownik powracający z bitwy. Piękny wojownik, który ma już dość walki.

– Jesteś twarda, wiesz? – szepcze z rezygnacją.

– W jakim sensie?

– Nie przyszłaś.

Jego słowa docierają do mnie, a ja nie wiem, jaki przybrać ton, jaką pozycję – czy trzymać ręce skrzyżowane czy wzdłuż tułowia, czy przenieść ciężar na prawą czy lewą nogę, czy opuścić wzrok, czy go podnieść, a może patrzeć w jakiś inny punkt.

– Nie, nie przyszłam – odpowiadam, podkreślając oczywistość tego wyboru.

– Impreza była piękna... szkoda... Nawet dobrze się bawiłem, przynajmniej do pewnego momentu – w gorzkim uśmiechu odsłania białe zęby.

– Potem nagle rozejrzałem się wokół i zdałem sobie sprawę, że ci wszyscy ludzie nic mnie nie

obchodzą. – Słowa płyną z jego ust jakby bez jego woli, jakby nie zostawiały mu wyboru. – Jediną osobą, którą chciałem dziś zobaczyć, jesteś ty.

Piękne słowa, ale padają zbyt późno. Wypowiedziane teraz, w ten sposób, ranią bardziej niż obelgi.

– I przyszedłeś aż tutaj, żeby mi to powiedzieć? – podejmuję żalną próbę uśmiechnięcia się. Nadludzkim wysiłkiem zachowuję spokój.

– Tak, to też – odpowiada.

– I co jeszcze? – zaciskam szczękę i przełykam ostatnią reszkę śliny. – No?

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie ma znaczenia, co chciałby mi powiedzieć, i ja nie muszę go słuchać. Już mam zamknąć mu drzwi przed nosem, ale on mnie uprzedza i blokuje je. Jedną ręką otwiera je na oścież i siłą wchodzi do środka. Drzwi zamykają się za jego plecami z mrocznym, głuchym odgłosem.

Podłoga faluje pod moimi stopami. Nie jestem w stanie nic powiedzieć, nie jestem nawet w stanie

na niego patrzeć, bolą mnie uszy i oczy. Przy nim wszystko jest zmysłowe i cielesne, zawsze.

Cofam się aż pod ścianę, a on natychmiast staje obok mnie. Opiera ręce o ścianę, tworząc swoim ciałem klatkę, z której nie sposób się wydostać.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że cię pragnę, Eleno, że nie mogę bez ciebie wytrzymać – jego głos jest jak trucizna, która dostaje się do każdej komórki mego ciała. Jego oczy płoną tak mocno, że niemal parzą moją skórę.

– Idź sobie – warczę na niego. Wyteżam wszystkie siły, mobilizuję instynkt samozachowawczy, by się nie ugiąć.

– Może wszystko zrobiłem źle, może byłem idiotą, ale...

– Ale co, hm? Idź sobie – powtarzam jemu i sobie jak mantrę.

– Mówisz tak, ale wiesz, że chcesz czegoś innego.

Na mojej sile pojawia się rysa, czuję to. Złość, tęsknota, niepewność, uczucia, które długo

walczyły we mnie, a potem zapadły w sen, w jednej chwili obudziły się i wzniesioną ogłuszający hałas.

Zaciskam pięści i uderzam nimi w ścianę za moimi plecami.

– Właśnie że nie! Chcę, żebyś sobie poszedł! – biorę oddech. – Krzywdzisz mnie, Leonardo. A ja nie mam zamiaru więcej cierpieć!

Przed moimi oczami pojawia się wąż z obrazu Caravaggia. Próbuję odepchnąć Leonarda od siebie, ale nie jestem w stanie go poruszyć. Sfrustrowana zaczynam uderzać go w piersi, ramiona, twarz. On nie reaguje.

– Może nasz związek miał sens, bez względu na wszystko.

– Związek? – otwieram szeroko oczy. – A to niby miał być związek? A nie zwykła przygoda i tyle?

Po raz pierwszy widzę, jak Leonardo opuszcza przede mną wzrok.

– Powiedz, że nic do mnie nie czujesz, i sobie pójdę – mówi mi szeptem.

– A nawet gdybym czuła, co by to zmieniło? – krzyczę mu w twarz. – Chcę normalnego życia, normalnej miłości.

– Jesteś z nim szczęśliwa? – prowokuje mnie, jak zawsze.

– Proszę cię... – tym razem to ja spuszczam wzrok.

Być może z Filippem nie łączy mnie ogień namiętności, być może, ale jestem szczęśliwa, tak. Powtarzam to sobie w myślach każdego dnia.

– Nie odpowiesz? – ponagla mnie.

– On mnie rozumie. I jest dobry – mówię pewnie.

– Słyszysz sama, co mówisz? Chcesz z nim być, bo jest dobry?

– Dosyć, Leonardo. Teraz stąd wyjdź, natychmiast. Nie chcę dłużej grać w twoją chorą grę!

– Nie rozumiesz, że dla mnie to już nie jest jakaś pieprzona gra? – jego ochrypły głos zagłusza mój. – Nie mogę się już bez ciebie obejść, Eleno.

Cios sztyletem, prosto w serce.

Nasze twarze są tuż obok siebie, a spojrzenia zlewają się w jedno. Przestrzeń między nami zastyga na długie sekundy, a potem z zadziwiającą prędkością zaczyna się zmniejszać. Nie wiem nawet, w którym momencie jego usta lądują na moich.

Zaciskam wargi i zęby. Nie chcę mu dać satysfakcji, nie mogę ustąpić. Ale Leonardo się nie zatrzymuje, jedną dłonią chwyta moje rękę i przytrzymuje je w uścisku ponad moją głowę, biodrami przyciskając mnie do ściany. Czuję na sobie jego pożądanie. Drugą dłoń zanurza w moich włosach i ciągnie mocno, zmuszając mnie, bym uniosła twarz. Jego usta są już na mojej szyi, a zęby chciwie przebiegają po mojej skórze. W tym porywie jest coś dzikiego, zwierzęcego.

– Przestań... – błagam już niemal.

– Nie mogę – szepcze, a dłonią obejmuje moją szyję i lekko zaciska palce.

Więc ty przestań, Eleno, mówię do siebie. Umiesz już odróżnić, co jest dla ciebie dobre, a co złe. A on da ci tylko to, co złe.

Ale Leonardo znowu przyciska usta do moich, jego oddech jest we mnie, a jego serce bije razem z moim. I przestaję myśleć.

Potem zjeżdża powoli na mój mostek, a następnie do lewej piersi. Naciska tak mocno, że aż boli, jakby chciał wyrwać mi serce i skruszyć.

Wydaję z siebie jęk bólu, a on otacza mnie ramionami i podnosi. Próbuję się wyplątać, lecz jego pożądanie jest zbyt silne, a mój opór zbyt słaby.

Leonardo rzuca mnie na kanapę, szarpnięciem ściąga mi podkoszulek, odsłaniając piersi. Potem zrywa moje szorty, a z jego ruchów przebija jakieś dziwne okrucieństwo. Kładzie się na mnie, unieruchamiając swoim ciężarem, próbuję jeszcze

się wymknąć, ale on jest już między moimi nogami, a jego męskość naciska na moje łono.

Wchodzi we mnie natychmiast i nagle wszystko się zatrzymuje. Przez chwilę, która wydaje się wieczna, leżymy tak – on we mnie, dwa ciała złączone w jedno.

Przestaję w końcu walczyć i kapituluję, najpierw przed samą sobą, dopiero potem przed nim, bo teraz wiem, że to nie Leonardo jest zły, ale jego brak.

Teraz wiem, że my dwoje, nawet walcząc, w pewnym sensie kochamy się ze sobą.

On porusza się powoli, ledwo wyczuwalnie, a ja otwieram się pod wpływem jego pchnięć. Patrzymy sobie w oczy, dziwiąc się samym sobie, pijani pożądaniem, oszołomieni rozkoszą. Zjednoczenie naszych ciał i dusz nigdy nie było tak doskonałe. Gwałtowny, konieczny, nieunikniony orgazm uwalnia się z naszych łon.

– Czuję cię – krzyczę w jego usta, on jęczy w moje, w rozpaczliwej, wspólnej ekstazie, aż do ostatniego tchu.

Potem leżymy razem nago, w ciszy, blisko, jakby nasze nogi i ramiona, włosy, skóra i kości stopiły się w jedno. I wtedy jego usta wypowiadają te słowa:

– Kocham cię.

Ledwo wyszeptane, rozbrzmiewają we mnie z ogłuszającym łoskotem. Te słowa zmieniają wszystko, wywracają cały świat. Pragnęłam, by wyszły z jego ust, bardziej niż czegokolwiek innego, ale nigdy nie miałam odwagi przyznać się do tego nawet przed samą sobą.

– Ja też cię kocham.

Oddycham, wreszcie wolna od ciężaru, którego nie mogłam już znieść.

Cieszę się, a jednocześnie ogarnia mnie niepokój. Po policzku spływa mi łza. Nie robię nic, żeby ją zatrzymać.

– Przepraszam – mówi szeptem Leonardo, ocierając ją palcem. – Próbowałem zapanować nad sobą, próbowałem nie dopuścić, by to się stało, ale nie miałem na tyle siły. Kocham cię i nic nie mogę na to poradzić.

Wpatruję się w przestrzeń między nami i przez chwilę opanowuje mnie smutne przecucie – widzę, jak Leonardo się oddala, a między nami rośnie pustka, której nic nie będzie w stanie wypełnić.

Ale w tej samej chwili on chwyta mnie i przyciąga do siebie, jakby chciał mnie zatrzymać, unicestwić tę odległość. Przytula mnie do siebie i całuje moje włosy.

W tym pokoju jesteśmy tylko my, dwa ciała, dwa narodzone na nowo serca, które chłoną wieczną terażniejszość tej chwili. Nie przeraża mnie to, co się stało, ani to, co będzie.

Leżymy tak nie wiem jak długo, a cienie wciskają się w szczeliny splotu naszych ciał. Nie ciąży mi cisza i nie czuję też potrzeby, by myśleć.

Nawet mój wewnętrzny głos, zwykle tak niespokojny i natarczywy, teraz milczy.

Z zamkniętymi oczami głaszczę plecy Leonarda, wyobrażając sobie wzór jego tatuażu. Ten nieusuwalny znak mówi mi coś o nim, ale nie wiem, co chce powiedzieć, a to nie jest odpowiedni moment, żeby próbować zrozumieć. Leonardo przesuwa nosem po mojej szyi i składa pocałunek na krawędzi obojczyka.

– Chciałbym zostać, ale muszę tam wrócić – szepcze, spoglądając mi w oczy. – Wszyscy pewnie się zastanawiają, co się ze mną stało.

– Wiem.

Delikatnie zakładam mu kosmyk włosów za ucho. Chciałabym, żeby został tak na mnie jeszcze trochę, ale muszę pozwolić mu iść. Filippo może wrócić w każdej chwili. W moich myślach jego twarz nie ma już konturów, nie ma kształtu, nie ma zapachu. Szukam go, ale nie znajduję, jak gdyby zniknął w czarnej otchłani razem ze wspomnieniem wspólnie przeżytych miesięcy.

Patrzę, jak Leonardo się ubiera, sama leżąc wciąż nago na kanapie. Nie mam jeszcze siły się ruszyć.

– Kocham cię, Eleno – mówi to także moim oczom, całując mnie ostatni raz.

– Kocham cię, Leonardo – przytulałam twarz do jego piersi, by jeszcze przez chwilę cieszyć się ciepłem jego serca.

Poszedł. Gdy tylko zniknął z tego mieszkania, poczułam nagle, że ono nie jest już moje. Te ściany, które zbezczęściłam, wdychały jego zapach, widziały jego dłonie, nasze nagie ciała.

Nic już nie jest takie jak wcześniej. Nie mówiliśmy o przyszłości, nie składaliśmy sobie obietnic, ale oboje wiemy teraz, że się kochamy. I po tym wszystkim jestem pewna jednego. Nie mogę tu dłużej zostać. Muszę odejść natychmiast, nim noc minie i poranek zatrzyma moje kroki.

11.

– Jak długo się pani zatrzyma? – pyta recepcjonista.

– Na razie jedną noc. Potem zobaczymy.

– Proszę – podaje mi klucz do pokoju i prowadzi mnie przez korytarz. – To tutaj, drugie drzwi na prawo. Gdyby pani czegoś potrzebowała, jestem na recepcji.

Dochodzi wpół do drugiej, a ja jestem sama w pokoju numer cztery w Mari 1, skromnym hoteliku w okolicach Termini – pierwszym tanim miejscu, na jakie trafiłam w sieci.

W oczekiwaniu na taksówkę, która miała mnie tu przywieźć, otworzyłam na oścież wszystkie okna w mieszkaniu, by ciepły letni wiatr wywiał zapach mój i Leonarda, po czym w pośpiechu spakowałam do małej walizki najpotrzebniejsze rzeczy. To chyba pierwszy naprawdę kompaktowy

bagaż w moim życiu. Potem zamknęłam z powrotem okna, przeszłam do salonu, wyjęłam z drukarki kartkę, usiadłam na stołku, na którym zwykle jadam śniadanie, i wzięłam do ręki długopis.

Fil...

Rozpoczęłam w ten sposób, z rozpędu, a potem się zatrzymałam. W głowie wyświetlał mi się film z naszego związku, od pierwszego pocałunku do dzisiejszego wieczoru, każda spędzona razem chwila, ostatni akt historii miłosnej, która dobiegła już końca. Drżała mi ręka, kiedy przygotowywałam się do zadania ostatecznego ciosu. Wyobraziłam sobie, co by się stało, gdybym została w domu do powrotu Filipa. Jakie słowa mogłyby sprawić mu mniej bólu niż moja nieobecność? A jeśli nawet znalazłabym słowa, jak potem mogłabym zostać z nim pod jednym dachem? Odejść to jedyne rozwiązanie, ale nie mogłam tego zrobić, nie zostawiając choćby strzępka wyjaśnienia.

Nakreśliłam więc kilka słów. Że nie mogę dłużej z nim zostać, bo w moim życiu jest inny mężczyzna, tylko tyle. Sucho, zwięźle, bez przeprosin i usprawiedliwień, bo one nie istnieją. Jeśli ma mnie znienawidzić, znienawidzi do końca.

Złożyłam kartkę na pół i zostawiłam dobrze widoczną na marmurowym blacie, w świetle lampki nad kuchenką – jedynej, którą zostawiłam zapaloną.

Przed wyjściem, już z torebką na ramieniu, rozejrzałam się dookoła po raz ostatni. Mieszkanie, które dzieliłam z Filippem ostatnich pięć miesięcy. Chociaż moje zachowanie może wydawać się tchórzostwem, czasem potrzeba więcej odwagi, by uciec, niż żeby zostać.

Nie boję się spotkania z Filippem, wiem, że prędzej czy później będzie ono musiało nastąpić, ale potrzebuję czasu. Przede wszystkim muszę się od niego odsunąć. Nie mogę już narzucać mu swojej obecności w tym mieszkaniu. Tym razem nie ma odwrotu.

Z tym przekonaniem wymknęłam się przez bramę niczym złodziejka i wsiadłam do czekającej taksówki. Mimo późnej godziny ulice wciąż były pełne samochodów. To miasto nigdy nie śpi, szczególnie w letnią noc, taką jak ta, ale ja spoglądałam na wszystko jak gdyby z nieskończonej odległości.

A teraz jestem w pokoju hotelowym, który próbuje być przytulny, ale mu nie wychodzi. Leżę na łóżku z rękami za głową i wzrokiem utkwionym w sufit. Filippo zapewne już wrócił i znalazł mój liścik. Na samą myśl o tym czuję ból. Ale nie mam prawa narzekać, bo jego zaboli to bardziej. Nie jestem godna miłości, którą mi dał.

Znienawidź mnie, jeżeli tylko dzięki temu poczujesz się lepiej. Proszę cię o to tutaj, Fil, w milczeniu. Naprawdę chciałabym, żebyś nie wylewał łez z mojego powodu. Nie zasługuję na twoje łzy – ja, winna, a zarazem szczęśliwa, bo posłuchałam serca zamiast głowy, bo nie miałam

dość siły, by się oprzeć, bo dopiero teraz postanowiłam być szczerą.

W tym pokoju jest za mało światła. Jak w warowni – małe okienko i sufit tak niski, że aż trudno oddychać. Nie wiem, czy nie dostanę ataku paniki. A w moim kompaktowym bagażu nie mam kropeł na uspokojenie. Chciałabym do kogoś zadzwonić. Do Gai, do mojej matki. Ale wyłączyłam komórkę zaraz po wyjściu z domu, żeby nie widzieć na wyświetlaczu imienia Filippa. Wiem, że już dziesiątki razy próbował się do mnie dodzwonić.

Jest mi zimno, choć na zewnątrz noc nadal ciepła. Mam dreszcze, na szczęście w ostatniej chwili wcisnęłam do walizki moją starą, podartą bluzę adidasa, którą zwykle wkładam, wychodząc do kiosku na rogu po poranną gazetę albo wieczorem na taras. Okazje, które już się nie powtórzą, przynajmniej nie w tamtym domu.

Otwieram minibar i wyciągam buteleczkę Grand Marnier. Odkręcam i pociągam kilka łyków.

Nagle ciepło rozpała mi gardło. Wiem, że to smutne pić samemu, ale odrobina alkoholu jest tym, czego potrzebuję, by nie umrzeć z niepokoju i samotności.

Z buteleczką w dłoni stoję przy oknie i nasłuchuję dźwięków ulicy w gorącym powietrzu. Tam na zewnątrz jest tyle życia i to przynosi mi pocieszenie. Chciałabym spać na tym oknie, wolna od koszmarów, które śnią się w hotelowych łóżkach, i tu doczekać nadejścia poranka. Jutro, kiedy włączę komórkę, będę potrzebować siły, by tłumaczyć i opowiadać, by rozumieć... by powiedzieć prawdę, by powiedzieć: żegnaj, a potem pójść nową drogą, tą, którą wybrało serce. Ale nie boję się. Spoglądam w niebo, całkiem przesłonięte odblaskiem światła, niedosięgłe, za zasłoną mgły. Moje myśli biegną dwie godziny wstecz, do chwili, gdy Leonardo był we mnie, a ja obejmowałam go mocno.

Jestem rozbitkiem, ale rozbitkiem gotowym na szczęście.

Filippo czeka na mnie w Antico Caffè dell'Isola – to ja poprosiłam, żebyśmy tam się spotkali. Dziś rano – powiedziałabym „po przebudzeniu”, gdyby udało mi się zasnąć – włączyłam komórkę i zobaczyłam, że dzwonił do mnie kilkanaście razy. Wysłałam mu więc SMS i umówiłam się w barze na Wyspie Tyberyjskiej – nie byłabym w stanie wrócić do naszego mieszkania, które teraz nie jest już nasze. Może dryfowanie na wyspie, choć wokół nie ma morza, uczyni wszystko łatwiejszym i mniej bolesnym.

Jest niedziela, kilka dni do Ferragosto. W tym okresie Rzymianie opuszczają miasto, na ulicach jest mniej ludzi, a ci, którzy są, to głównie turyści. Czuję się trochę jak jedna z nich – w głowie majaczy mi jakiś cel, ale nie wiem dobrze, która droga do niego prowadzi.

Czuję ból na samą myśl o tym, co będę musiała powiedzieć i co Filippo spodziewa się usłyszeć. Do głowy przychodzi mi film, który widzieliśmy razem, *Pomóż mi, kochanie* z Alberto Sordim

i Moniką Vitti – scena na plaży w Sabaudii, kiedy ona wyznaje mu, że kocha innego i że nie może zrobić nic, by ugasić to uczucie. Mam nadzieję, że wyjdę z tego spotkania w trochę lepszym stanie niż Vitti, nawet jeśli Filippo ma powody, by zbić mnie na kwaśne jabłko.

Jest już na miejscu, widzę go z daleka, czeka na mnie przy stoliku. Siedzi trochę sztywno, oczy ma schowane za ciemnymi okularami, porusza nerwowo nogą. Na mój widok opada na oparcie i bierze głęboki oddech. Czekam, mówi, jestem gotowy. A teraz wbij ostrze. Tu, prosto w serce.

Rozmawiamy od pół godziny i wciąż jesteśmy żywi, nie ma zadrapań i łez. Zamówiłam kawę, on szklankę wody. Wyglądamy na dwie osoby, które nie spały przez całą noc, odurzając się myślami i bólem.

Filippo nie nienawidzi mnie tak, jak się spodziewałam, albo przynajmniej nie daje tego po sobie poznać. Jego ból nie przemienił się jeszcze

w gniew, domyślałam się, że to zajmie trochę czasu. Nie robi sobie większych nadziei, że mnie odzyska, nakłoni do zmiany zdania. Dobrze mnie zna i wie, że nie jestem dziewczyną, której czasem po prostu coś strzela do głowy. Skoro podjęłam taką decyzję, znaczy, że jestem pewna i już jej nie cofnę.

Przekonuję siebie samą, że facet, który starannie składa serwetkę na czworo, nie może być bardzo wkurzony. Nie wiem jeszcze, czy ten fakt jest pocieszeniem, czy raczej dowodzi okrutnej prawdy, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Teraz nie jestem już pewna tego, kim byliśmy, Leonardo zdołał rzucić swój cień nawet na moją przeszłość z Filippem. Może nigdy nie łączyła nas nieujarzmiona namiętność, a jedynie pokrewieństwo dusz, miłe i pełne troskliwości, to prawda, które jednak zostawiło po sobie pewną zadrę i gorycz.

– Mogę chociaż wiedzieć, kto to jest? – pyta w pewnym momencie.

Chciałabym oszczędzić mu tego upokorzenia, lecz z drugiej strony wydaje mi się, że dużo bardziej upokarzające jest nie wiedzieć do końca. A Filippo zasługuje na całą prawdę bez względu na to, jak jest bolesna.

– Leonardo.

Nie potrafię odczytać jego miny za ciemnymi okularami, ale widzę, jak przygryza wargę, a jego dłonie zaciskają się na papierowej serwetce, którą składał i rozkładał przez ostatni kwadrans.

– Tuż pod moim nosem – podsumowuje zachrypniętym głosem i ciska ją na bok w wyrazie wściekłości.

– Nie mów tak, Fil.

– Dlaczego nie, skoro to prawda? – podnosi głos, a na jego twarzy pojawia się zbolwały uśmiech. Potem pogrąża się na chwilę w myślach. – Teraz zacznym rozumieć wiele rzeczy.

Chciałabym powstrzymać go, nim zacznie wyciągać kolejne wnioski i sprawi sobie jeszcze większy ból.

– Zanim wróciłam do ciebie, postanowiłam, że nie chcę go więcej widzieć – mówię w nadziei, że mój głos zapanuje nad jego myślami. – Ze wszystkich sił starałam się go unikać, ale nie byłam w stanie.

– To dlatego wczoraj nie poszłaś na imprezę?

– Tak – przyznaję, choć wiem, że w jego oczach to nie zmniejszy mojej winy.

Filippo kiwa głową i przez chwilę milczymy. Wsłuchuję się w muzykę wiatru, dobiegającą od strony platanów rosnących wzdłuż Tybru.

– Zamieszkacie razem? – pyta po chwili.

Czuję, jak krew ścina mi się w żyłach. Nigdy nie zastanawiałam się nad tą możliwością, a teraz, wypowiedziana w ten sposób, wydaje się jeszcze bardziej absurdalna. Jak mam wyjaśnić Filippowi, że zostawiam go dla mężczyzny, który być może nigdy nie będzie naprawdę mój?

– Nie wiem – odpowiadam. – W tej chwili nic w moim życiu nie jest pewne. Wiem tylko, że nie mogliśmy być dalej razem.

– Ty nie mogłaś być dalej ze mną. Ja zostałbym przy tobie do końca życia – tymi kilkoma słowami ukazuje mi nagą prawdę.

Wie, że uczucie, które wciąż żywi do mnie, jest najostrzejszą bronią, jaką może mnie zranić. Dobrze, zasłużyłam na to. Z tej potyczki nikt nie wyjdzie bez szwanku, tak zapisano w regułach gry.

Spuszcza wzrok, wpatruje się w blat stołu i bierze kolejny wdech.

– Co teraz zrobimy? Wrócisz do domu? Po swoje rzeczy i w ogóle... – przechodzimy już do zagadnień praktycznych, tych najbardziej przykrych.

Poranieni i krwawiący, mamy przystąpić do podziału książek i DVD.

– Na razie nie. Spędziłam noc w hotelu i...

Mój wielokropek poruszył w Filippie jakąś strunę.

– I chcesz tam zostać?

– Poradzę sobie, Fil – ucinam.

Nie chcę, żeby wciąż się o mnie troszczył.

Wstajemy od stolika i wychodzimy. Nie mówimy sobie nic więcej, a gdy docieramy do końca mostu, żegnamy się z zakłopotaniem, jakiego nigdy wcześniej nie odczułam w jego obecności. W każdym razie jeszcze się zobaczymy, dzięki czemu scena staje się mniej melodramatyczna. Ruszam chodnikiem, zastanawiając się, czy Filippo wciąż na mnie patrzy, czy też poszedł już swoją drogą. Nie mam odwagi się odwrócić i przyspieszam kroku. Obok mnie przebiega grupka chłopców w piłkarskich strojach. Nadal wieje lekki i ciepły wiatr, który delikatnym dotykiem łaskocze moją skórę, a nad Tybrem unosi się ten niepowtarzalny zapach morza i zarazem ziemi. Lato to najgorsza pora, by być smutnym.

„Śmiało, Eleno. Idź. Znasz drogę”.

To głos Rzymu, teraz ciepłego i pustego, potężna muzyka, która nakazuje mi odwagę i zabrania zatrzymywać się na pierwszym skrzyżowaniu. Znam drogę, to prawda, nie potrzebuję już mapy, żeby ją odnaleźć. Idę wolnym krokiem, za ciemnymi szklami okularów ukrywam podkrążone oczy, żołądek mam ściśnięty przeszłością, którą zostawiłam za sobą, lecz głowę lekką dzięki przyszłości, której wychodzę naprzeciw. Rozstanie z Filippem – mężczyzną, którego starałam się kochać – było rozdzierająco bolesne. Ale teraz serce prowadzi mnie do domu Leonarda – mężczyzny, którego pragnę i – choć sama myśl o tym mnie przeraża – kocham.

Nie widzieliśmy się od tamtego wieczoru. To było ledwie trzy dni temu, lecz wydaje mi się, że

minął cały wiek. Nie wiem, dlaczego nie dał znaku życia i trochę się niepokoję, ale nie za bardzo – ta cisza jest częścią jego rytmu, którego już się nauczyłam. Ja z kolei obiecałam sobie, że nie będę próbowała się z nim skontaktować, dopóki nie wyjaśnię wszystkiego z Filippem, i tak zrobiłam. Odczekałam nawet jeden dzień dłużej, nim pobiegłam do Leonarda. To, co się ze mną dzieje, do tego stopnia mnie destabilizuje, że chciałam pobyć w samotności, by odzyskać oddech i pozbiierać myśli. Oczywiście, zupełnie mi się nie udało i nawet teraz nie wiem, czy postępuję właściwie, ale postanowiłam zerwać z wątpliwościami i paranoją. Skończył się już czas rozterek, wszystko, co mogło się wydarzyć, już się wydarzyło, a teraz chcę zobaczyć, co szykuje dla mnie przyszłość. Ciekawi mnie to, a zarazem przeraża. Idę do Leonarda, żeby z nim porozmawiać, żeby się dowiedzieć, czy słowa z tamtego wieczora były prawdziwe, czy tylko mi się przyśniły.

I powiedzieć mu jedyną rzecz, której jestem pewna – że go kocham.

Idę dalej wzdłuż Tybru, który wygląda jak długi, złoty wąż, pogrążony w letargu i niegroźny. Na ulicy nie ma prawie nikogo. Jest za gorąco. Słońce praży bezlitośnie, asfalt bucha gorącem, a wiatr, który wiał jeszcze wczoraj, uspokoił się, pozostawiając powietrze ciężkim i nieruchomym. Wytrzymuję to jednak. Już niedaleko i nie mam ochoty zatrzymywać taksówki. Spacer pomaga mi uporządkować myśli. Muszę się przygotować. To spotkanie będzie decydujące.

Na myśl przychodzi mi Gaia. O niczym jej jeszcze nie powiedziałam. Wczoraj w nocy próbowała się do mnie dodzwonić w odpowiedzi na mój poranny telefon. Za późno, droga przyjaciółko. Któregoś dnia opowiem ci wszystko na spokojnie, ale nie dziś. Wysłałam jej SMS z ogólnikowym „wszystko w porządku”, poprzedzającym ogólnikowe „masz jakieś plany na Ferragosto?”. Zazwyczaj

Ferragosto spędzałyśmy razem na plaży na Lido z chłopakami z Muro. Potem zostawało się do późna oglądać sztuczne ognie i pożegnać lato przed Festiwalem Filmowym. W zeszłym roku wypuściliśmy w niebo chińskie lampiony. Myślę o nas sprzed roku. Ona – singielka, ale już uganiająca się za Belottim, ja – długo po zerwaniu z Valeriem, lecz wciąż niezdolna zaangażować się w nowy związek. Nie wiem, czy Gaia będzie zadowolona z mojego ostatniego wyboru, ale na pewno mnie zrozumie.

Zostawiam za sobą Tyber i przechodzę przez ulicę, dokładnie naprzeciwko domu Leonarda. Spoglądam w górę, drzwi na taras są otwarte. Jest w domu.

Idę przez pusty hol wejściowy, gdzie dotyka mnie powiew chłodnego powietrza, a potem wbiegam po schodach.

Jestem. Trzecie piętro. Drugie drzwi na prawo. Zdejmuję okulary słoneczne – jestem trochę spocona, ale jemu to nie będzie przeszkadzać –

i nerwowo poprawiam włosy. Biorę głęboki wdech i dzwonię do drzwi. Potem chwytam dłonią pasek przewieszanej przez ramię torby, starając się stanąć jak najbardziej stabilnie.

Drzwi się otwierają, ale pojawia się w nich ktoś inny. Przede mną stoi kobieta, której nigdy nie widziałam, jakby księżycowe widmo. Przez moment wydaje mi się, że pomyliłam piętra, ale na wizytówce przy dzwonku widnieje nazwisko FERRANTE, a zatem nie, stoję przed właściwymi drzwiami. Kim więc ona jest?

Mogłaby być *Femme Fatale* z piosenki Velvet Underground: wysoka, kobieca, o ciemnym, przenikliwym spojrzeniu, lekko skośnych, podkrążonych oczach, gęstych brwiach, zapadniętych policzkach i mocno zarysowanych wargach. Czarne, długie włosy, w artystycznym nieładzie, ma spięte kościaną spinką. Jej uroda jest dzika i majestatyczna, ale od razu widać, że kryje się w niej jakaś desperacja, coś, co czyni jej postać

tragiczną. Kobieta, która nie potrafiła uratować się przed sobą samą.

Ma na sobie długą, cygańską spódnicę i biały top bez ramiączek, z wiązaniem na szyi. Ta biel dodatkowo podkreśla jej ciemną karnację. Między palcem wskazującym a środkowym prawej dłoni trzyma zapalonego papierosa, którym zaciąga się nerwowo, roztaczając wokół mocny zapach tytoniu. Na palcu serdecznym lewej dłoni ma złotą obrączkę. Z pewnością nie jest to sprzątaczką, a taka była moja pierwsza myśl. Ani ktoś, kto trafił tu przez przypadek.

Z głośnień wieży dobiega chorał gregoriański w rodzaju *Dies Irae*, który dodatkowo rozbudza moją ciekawość, a zarazem niepokój.

Kobieta unosi brwi i przygląda mi się pytająco, nic nie mówiąc, czekając, aż ja odezwę się pierwsza. Przez rysującą się czole zmarszczkę wydaje się jeszcze bardziej intrygująca.

– Dzień dobry – przełykam ślinę. – Szukam Leonarda.

Czuję się skrępowana, jakbym weszła nago do kościoła. Wiem, że nie robię nic złego, ale mam jasne przeczucie, że znajduję się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Leonarda w tej chwili nie ma – ma ochrypły głos i bardzo wyraźny sycylijski akcent. Na dźwięk dzwoniącego w głębi mieszkania telefonu odwraca się. – Przepraszam na chwilę – mówi, po czym idzie odebrać, zostawiając drzwi otwarte.

Kiedy zwraca się do mnie plecami, zauważam coś, co odbiera mi oddech. Na jej nagich plecach widnieje tatuaż, taki sam, jaki ma Leonardo między łopatkami, ten dziwny symbol w kształcie kotwicy, który może jednak wcale nie jest kotwicą... Robi mi się słabo.

– Tak? – odzywa się, podniósłszy słuchawkę. – Zgadza się, z tej strony Lucrezia – pauza. – Ach, cześć Antonio... – to wspólnik Leonarda. Jej ton sugeruje, że dobrze go zna. – Tak, przyjechałam wczoraj...

Lucrezia. Spoglądałam znów na jej plecy, na których wyryta jest niezaprzeczalna prawda. Prawda, której nigdy nie wzięłam pod uwagę, a która teraz w dziwny sposób wydaje mi się wręcz oczywista. Lucrezia jest wyjaśnieniem wszystkiego, brakującym elementem, którego szukałam, odkąd zaczęłam zakochiwać się w Leonardzie.

Zostawiam ją przy telefonie i uciekam bez pożegnania. Zbiegam po schodach niemal w transie, a w mojej głowie wszystkie fragmenty przerażającej łamigłówki układają się w całość. Tatuaż... To nie kotwica! Albo przynajmniej nie tylko kotwica. To monogram, dwie litery L w lustrzanym odbiciu, ze wspólnym dłuższym ramieniem. Dwa inicjały: Leonardo i Lucrezia. Leonardo ma żonę, Bóg wie, gdzie trzymał ją dotychczas, a ja odkryłam to w ten sposób – niemal przez pomyłkę, w dniu, w którym przyszłam złożyć swoje życie w jego ręce.

Wychodzę z budynku i nie wiem, dokąd mam iść, ogarnia mnie panika, kręci mi się w głowie

i czuję, że ziemia osuwa się pod moimi stopami. Gdyby tylko mogła mnie pochłonąć i sprawić, bym zniknęła na zawsze! Opieram się na chwilę o latarnię, żeby nie przewrócić się na środku ulicy.

Obraz nabiera w mych oczach kształtu, staje się coraz bardziej wyraźny, a szczegóły wychodzą z cienia jak w czasie restauracji, gdy się okazuje, że odsłaniany rysunek nie jest taki, jak się spodziewano.

Teraz rozumiem, dlaczego Leonardo zniknął na długo na Sycylii i nie chciał, żeby do niego dzwonić. Może tam ją ukrywał. To dlatego czasami, kiedy rozmawiał przez telefon, miał tak dziwne, tragiczne spojrzenie, w którym odbijały się odległe cienie. To dlatego, gdy tylko wspominałam o tatużu, stawał się chłodny i wznosił między nami mur milczenia. I zachowywał się tak za każdym razem, kiedy próbowałam dowiedzieć się czegoś o jego życiu prywatnym. Ale, przede wszystkim, to dlatego od samego początku zakazał mi się zakochać. Należał już do innej.

Ale dlaczego? Dlaczego powiedział „kocham cię” właśnie teraz? Jaki to ma sens? I właśnie w tej chwili, kiedy łamię sobie głowę nad tymi pytaniami, ogłuszający ryk zatrzymuje wszystkie moje myśli. Odwracam się i widzę go. Leonardo parkuje swoje ducati przed budynkiem i zdejmuje kask. Zauważył mnie i zrozumiał wszystko. Próbuje mu uciec, oddalając się szybkim krokiem. Nie wiem, dokąd iść. Dokądkolwiek, byle daleko od niego.

W pośpiechu potrącam jakąś kobietę z dzieckiem na ręku, lecz nawet nie mówię „przepraszam”. Spuszczam tylko wzrok i idę dalej. On zsiadł z motoru i rusza za mną, jego kroki rozbrzmiewają na bruku. Nie mogę się odwrócić. Nie teraz.

– Eleno! – krzyczy.

Powtarza moje imię trzy, cztery razy, może nawet więcej.

Zatykam dłońmi uszy, by chronić się przed tym natrętnym głosem, i przyspieszam kroku. Nie

chcę go widzieć. Nie chcę go słyszeć. Nie chcę go i koniec. Tylko rozpaczliwie chce mi się płakać, ale nie zrobię tego. Nie dam mu satysfakcji oglądania moich łez.

Wciąż za mną idzie.

– Stój, Eleno! – woła, łapiąc mnie z tyłu z ramię.

– Zostaw mnie! – krzyczę i wyrywam mu się. Przechodnie patrzą na nas, jakby to wszystko było jeszcze nie dość upokarzające.

Niezlomnie kontynuuję swój desperacki marsz, patrzę przed siebie, zaciskam pięści, gotowe do walki, a moje serce jest bezpieczne w żelaznej zbroi. Przechodzę przez ulicę, ryzykując, że wpadnę pod taksówkę. Leonardo zaczyna biec i znów doskakuje do mnie. Tym razem chwyta mnie za nadgarstek i nie pozwala uciec.

– Eleno, proszę cię, porozmawiajmy – w jego głosie pobrzmiwa autorytarny ton, ale też jakaś nuta błagania.

– Teraz? Teraz chcesz rozmawiać?! – syczę, próbując się oswobodzić. – Teraz, kiedy dowiedziałam się o wszystkim?! – chciałabym mieć dwa sztylety zamiast oczu, chciałabym mieć dość siły, by wypchnąć go przez murek, do Tybru.

– Nie chciałem, żebyś dowiedziała się w ten sposób.

– A kiedy miałeś zamiar mi powiedzieć? – ściska mnie w gardle, ale obiecałam sobie, że nie będę płakać, i dotrzymam obietnicy.

Leonardo podnosi ręce, jakby chciał mnie tym uspokoić.

– Proszę cię tylko, żebyś mnie wysłuchała.

– Nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa więcej.
– Ruszam dalej, ale on staje mi na drodze. Wbrew sobie znajduję się centymetr od jego piersi, zanurzona w jego zapachu.

– Proszę – to jego wołanie wydaje się zrozpaczone i szczere. – I tak będziesz mnie nienawidzić, ale przynajmniej pozwól mi wyjaśnić.

– Co tu jest do wyjaśnienia? – pytam wyczerpana, robiąc krok do tyłu. – Wszystko wydaje mi się całkowicie jasne.

– Mylisz się, Eleno. Są sprawy, o których nie możesz wiedzieć. Sprawy, które trzymałem zawsze dla siebie i o których nigdy nikomu nie mówiłem.

Leonardo spogląda gdzieś daleko, a jego jabłko Adama porusza się w górę i w dół. Wpatruję się w nie jak zahipnotyzowana.

Nagle ogarnia mnie przeświadczenie, że w tej chwili Leonardo potrzebuje, abym go wysłuchała, tak samo jak ja potrzebuję jego słów. Które znowu złamią mi serce.

– No mów... – wzdygam w końcu, krzyżując ręce na piersi.

Oparł się o biegnący wzdłuż rzeki murek i spogląda w dół. Wygląda, jakby szukał początku kłęбка, który jest zbyt zaplątany, by można go rozsupłać. Bierze głęboki wdech i zaczyna mówić.

– Lucrezia była moją wielką miłością, dawno temu. Myślałem, że spędzę z nią całe życie. Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak zakładaliśmy.

Jego opowiadanie sięga daleko w przeszłość. Ja staję naprzeciw niego i nie pozostaje mi nic innego, jak uciszyć wszystkie myśli, zastygnąć w bezruchu i wysłuchać go. Dalej, Leonardo, opowiedz mi. Chcę wiedzieć wszystko.

– Poznaliśmy się w liceum w Messynie, a kiedy mieliśmy dwadzieścia lat, wzięliśmy ślub. Kochaliśmy się i nie chcieliśmy czekać, nie widzieliśmy takiej potrzeby.

Uderza się dłonią w łopatkę.

– Ten tatuaż zrobiliśmy sobie niedługo po ślubie: dwie litery L, splecione na zawsze.

Kręci głową i uśmiecha się na myśl o swojej naiwności.

– Byliśmy młodzi i pełni złudzeń, wręcz aroganccy w naszym szczęściu. I naprawdę byliśmy szczęśliwi, przez wiele lat. Potem Lucrezia zaszła w ciążę i w siódmym miesiącu

straciła dziecko. Po tej traumie coś w niej pękło. A może to zawsze w niej było, tylko pozostawało w ukryciu... Okresy mrocznej depresji zaczęły się u niej przeplatać z chwilami prawdziwej euforii. Czasem całymi dniami siedziała zamknięta w domu, nic nie jadła, żyła niemal jak roślina. Potem zbierała się w sobie i znów stawała się wesoła i beztroska. Zawsze miała trochę niestabilny charakter, więc z początku nie przejmowałem się tym zbytnio. Myślałem, że kiedy poradzi sobie z bólem po stracie, będzie znów taka jak przedtem. Ale było coraz gorzej.

Stała się inną kobietą. Nie była już sobą. Czasem, kiedy na nią patrzyłem, nawet jej twarz wydawała mi się zmieniona. Jej serce, które wcześniej było pełne pasji, zgasło, a głowa przestała rozsądnie myśleć. Starłem się jej pomóc, ale ona mnie odpychała. To wtedy zaczęła obsesyjnie podejrzewać mnie o zdradę i o to, że nie dość ją kocham. Nienawidziła mnie, widziała we mnie przyczynę całego zła, które ją spotyka. Raz,

w czasie jednego ze swoich napadów szału, zraniła mnie nożem. Nie wiedziałem, co robić. Nie martwiłem się o siebie, widziałem, że cierpi, i chciałem tylko uwolnić ją od bólu, ale byłem bezsilny wobec tego zła. W końcu sama spróbowała się uwolnić. Któregoś dnia, kiedy została w domu sama, podcięła sobie żyły. Znalazłem ją w wannie umierającą...

Głos zaczyna mu drżeć. Przerywa na chwilę i przetyka ślinę. Czuję, jak jego słowa kruszą moją wrogość i choć wcale tego nie chcę, jego rosnący ból sprawia, że mój gniew zaczyna słabnąć.

– W szpitalu zdiagnozowali u niej chorobę dwubiegunową i poradzili mi specjalistyczną klinikę. Ja wołałem zabrać ją do domu. Była moją żoną, kochałem ją bardziej niż siebie samego i chciałem się nią zaopiekować. Ale powiedziano mi, że przebywanie ze mną pogorszyłoby jej stan i nie pomogłoby jej w odnalezieniu spokoju ducha. Nasza rodzina zaproponowała, że się nią zajmie, a mnie poradziła, żebym wyjechał, także dla

własnego dobra. Nic nie jadłem, byłem na krawędzi załamania. Nawet lekarz, który przyjął ją na leczenie, doradził mi wyjazd.

W końcu się zgodziłem i wyjechałem z Sycylii. To było rozdzierające, ale w tamtej chwili było to jedyne możliwe rozwiązanie.

Nie miałem jeszcze trzydziestu lat, a już byłem skończony. Nie tracąc nigdy kontaktu z Lucrezią, zacząłem pracować jak szalony w kuchniach na całym świecie, aż w końcu zatrzymałem się tu, w Rzymie, gdzie udało mi się otworzyć pierwszą restaurację.

Cierpiałem tak bardzo, że myślałem, że umrę, ale z czasem, ku swojemu zaskoczeniu, powoli zacząłem się odradzać. Na początku czułem się z tego powodu niemal winny, ale wtedy jeszcze nie rozumiałem. Prawda była taka, że już nigdy nie miałem być szczęśliwy, mogłem jedynie odczuwać przyjemność czysto materialną, fizyczną – jedyne antidotum na ból, które zawsze zabierałem ze sobą. To wtedy zacząłem szukać jej wszędzie, z pełną

determinacją. Tak podpowiadał mi instynkt: seks, wino, jedzenie – wszystko, co dostarczało mi jakiejś formy przyjemności, stawało się moim lekarstwem. Nie pomagało mi wyzdrowieć, ale pozwalało nie umrzeć.

Nigdy nie przestałem czuwać nad Lucrezią, ale robiłem to z daleka. Wszyscy doradzali mi, żebym zaczął nowe życie i zażądał rozwodu, ale ja nigdy o tym nie myślałem. Pozostawałem jej wierny i w duchu wiedziałem, że nigdy więcej się nie zakocham. I nigdy nie pragnąłem, żeby inna kobieta zakochała się we mnie.

Po roku Lucrezia zaczęła czuć się lepiej i wyszła z kliniki. Mogłem przyjeżdżać się z nią zobaczyć, ale tylko raz na jakiś czas. To ona trzymała mnie od siebie z daleka. Mówiła, że mnie kocha, ale nie jest gotowa, żeby do mnie wrócić. Była w trakcie terapii i nikt nie potrafił powiedzieć, czy kiedyś wyzdrowieje. Czasem jeszcze miewała kryzysy, chociaż zdarzało się to coraz rzadziej. Kiedy tylko mogłem, jeździłem do niej do

Messyny. Nie obchodziło mnie, co mówią ludzie. Jeśli nie mogłem mieć jej, nie chciałem żadnej innej.

Leonardo przerywa, odrywa wzrok od rzeki i szuka mnie. W jego oczach tli się czarne światło. Zagłębia się w swoją duszę i pokazuje mi, co jest na dnie.

– Potem pojawiłaś się ty. Szybko zrozumiałem, że jesteś inna od pozostałych. Tak delikatna, że można zrobić ci krzywdę pieszczotą, a zarazem tak silna. Wiele razy widziałem, jak się boisz, ale nigdy jak uciekasz. Na początku byłaś tylko wyzwaniem, grą, ciekawszą niż pozostałe, ale tak jak inne, mającą dobiec końca. A jednak... Pamiętasz tamten dzień w Valdobbiadene?

Kiwam głową. Nie jestem w stanie mówić. Jak mogłabym zapomnieć? Każda sekunda pozostała wryta w mojej pamięci: wieś zimą, początek ulewy, my szukający schronienia w tym wiejskim domku i para staruszków-właścicieli, którzy zapraszają nas do środka. Sebastiano i Adele.

– Wtedy zrozumiałem. Tamtemu człowiekowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby dostrzec to, czego ja z uporem nie chciałem zobaczyć: że się w tobie zakochuję. Powiedział to tak naturalnie, nie domyślając się, jaką strunę we mnie poruszył. Zaszedłem za daleko, gra wymknęła mi się spod kontroli i dlatego postanowiłem, że musi się skończyć. Nawet nie wiesz, ile kosztowało mnie rozstanie z tobą, ale to była najwłaściwsza rzecz, jaką mogłem zrobić. W tamtej chwili.

Kiedy Leonardo mówi, wspomnienia wyłaniają się z przeszłości i ukazują w nowym świetle. Teraz wiem, że nie zostawił mnie, bo miał mnie dość, ale dlatego, że zaczął się we mnie zakochiwać i jemu także sprawiło to ból.

– Więc dlaczego wróciłeś? Dlaczego, skoro wszystko zostało już postanowione? – pytam z bezsilną złością.

Byłabym nadal niewinna i łudziłabym się, że mogę być szczęśliwa, gdyby tego przekłętego dnia

w jego restauracji Leonardo nie wrócił do mojego życia.

– Bo to było silniejsze ode mnie. Kiedy cię zobaczyłem, przez chwilę stałem jak sparaliżowany, potem zawarłem coś w rodzaju zakładu z przeznaczeniem. Położyłem na twoim talerzu ziarna granatu. Jeśli zrozumiałabyś ich znaczenie i przyszła do mnie, to byłby znak, w innym wypadku pozwoliłbym ci odejść na zawsze. A potem stało się to wszystko... Wmawiałem sobie, że tak naprawdę wciąż gram, że to nic więcej niż zauroczenie. Ale to była tylko wymówka mająca dać mi prawo, by wracać do ciebie znowu. I znowu... aż do tamtej nocy, kiedy zrozumiałem, że nie ma już sensu wypierać się tego przed sobą. I tobą.

Wspomnienie naszego ostatniego zespolenia przysłała nas niczym cień. Stoimy oboje w ciszy, zakłopotani i z poczuciem winy, jak dwoje uratowanych z katastrofy.

– To, co ci powiedziałem, jest prawdą – oświadcza po chwili Leonardo. – Kocham cię.

I chciałem, żebyś to wiedziała, chciałem spróbować z tobą być, zacząć od nowa...

Jego głos niemal się łamie. Leonardo przejeżdża nerwowo ręką po policzku i ustach, jakby chciał powstrzymać słowa, których teraz nie może już wypowiedzieć.

– Lucrezia przyjechała do Rzymu wczoraj, bez zapowiedzi. Mówi, że jej terapia jest w przełomowym momencie i że chce spróbować być znowu razem. Nie wiesz, jak bardzo pragnęłam usłyszeć od niej te słowa. A teraz są dla mnie jak zimny prysznic. Ale jak mógłbym ją zawieść, po tak długim czasie? Nadal jestem jej mężem, a ona mnie potrzebuje, jestem jej jedyną nadzieją na nowy początek.

Wiem. Rozumiem. A przynajmniej mogę próbować zrozumieć. Ale nie mogę nie czuć się jak skazana na śmierć.

– A więc to koniec – szepczę, prawie nie otwierając ust.

Czuję, jak po policzku spływa mi łza. To cała ja – płacę, choć obiecałam sobie, że nie będę. Nie jestem dobra w dotrzymywaniu obietnic. I nie mogę prosić Leonarda, żeby nie dotrzymał swojej.

Przyciąga mnie do siebie i przytula tak mocno, że aż boli. Kulę się w jego ramionach, przyciskając mokrą twarz do jego lnianej koszuli.

Właśnie teraz, kiedy wiem, że go Kocham, a on kocha mnie, dowiaduję się, że nigdy nie będzie mój. Nigdy. A jeszcze tamtego wieczoru, kiedy był we mnie, wszystko wydawało mi się możliwe. Teraz pozostaje tylko ta prawda absolutna, która unicestwia i miażdży, okrutna i ostateczna niczym wyrok. Nie jestem w stanie tego wytrzymać. Boli mnie kości i mięśnie. Boli mnie każdy centymetr skóry. Serce dudni w jakiejś otchłani i boję się, że w każdej chwili może przestać bić.

Odsuwam się od jego ciała i uświadamiam sobie, że dotykamy się po raz ostatni. Od teraz nie będzie między nami żadnego kontaktu i nigdy już nie przyłgnę do jego piersi i nie zanurzę się w jego

zapachu. Od teraz muszę się przyzwyczajać do życia bez niego.

Przyglądam mu się jeszcze raz. Teraz wydaje mi się delikatny. Mimo że ma wyprostowane plecy, suche oczy i zaciśniętą szczękę, wiem, że cierpi. Jest człowiekiem rozdartym, ale też człowiekiem, który podjął decyzję. I bez względu na usprawiedliwienia, które próbuję znaleźć, jedno pozostaje faktem. To nie mnie wybrał.

– Przykro mi, Eleno.

– Nie, nie mów tego – opuszczam wzrok. – Nie mów już nic więcej.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że moje emocje nakładają się na siebie i mieszają. Ledwie trzy dni temu to ja porzuciłam, a teraz sama zostaję porzucona. Bezlitosna zasada *contrappasso* – to, co przeżywam teraz, naprawdę jest piekłem bez nadziei na wyzwolenie.

Nagle ogarnia mnie zmęczenie. Nadchodzi z daleka i jest tak dojmujące, że muszę przymknąć oczy. Chwieję się, wydaje mi się, że zaraz

zemdleję z gorąca, bólu, braku tlenu i snu. Ale nie chcę upaść. Wyteżam siły, by utrzymać się na nogach, i odwracam się, choć w tym momencie nie pamiętam chyba nawet dobrze, jak się chodzi. Robię krok, potem następny i jeszcze jeden.

Wiem, że on nie będzie próbował mnie zatrzymać.

Żegnaj na zawsze, Leonardo.

Wywróciłeś mój świat i sprawiłeś, że rozbłysł na krótką, cudowną chwilę. Potem światło nagle zgasło i wszystko znów stało się ciemne. Ciemniejsze niż wcześniej.

Tylko kawa w Sant'Eustachio ma moc wybudzenia mnie ze śpiączki, w której pogrążyłam się wiele dni temu i która niestety nie ustępuje, nawet gdy rano idę do pracy.

Niedawno minęła jedenasta i wyszłam z Paolą na przerwę. Teraz, kiedy prace restauracyjne zbliżają się do końca, udało mi się w końcu wyciągnąć ją z tego kościoła. Dziś rano co najmniej cztery razy widziałam, jak ziewa, co nie zdarzyło jej się przez całe poprzednie pięć miesięcy. Odkąd zerwała z Borraccini, zauważyłam u niej drobne zmiany. Kilka razy przyszła do pracy spóźniona, jej fryzura – zwykle w doskonałym porządku – zaczyna domagać się odświeżenia, a do tego ma ciągle zmęczoną i rozkojarzoną minę kogoś, kto sypia mało i źle. A więc Paola ma ludzką

stronę i nikt lepiej ode mnie nie jest w stanie zrozumieć skrywanego przez nią bólu.

Noce w hoteliku nieopodal Termini są dla mnie udręką bez końca. Po przebudzeniu jestem prawdziwym wrakiem, ledwie patrzę na oczy i z trudem trzymam się na nogach. Po wszystkim, co się wydarzyło, czuję się tu rozpaczliwie samotna, mimo że tutejszy portier jest uprzejmy i robi co może, bym czuła się jak w domu. Możliwe, że hotel nie jest najlepszym lokum dla kogoś, kto właśnie zakończył nie jeden, a dwa związki. Muszę jak najszybciej znaleźć drogę ucieczki.

I tak, kiedy Paola popija statecznie swoje mocaccino, ja jednym łykiem wychylam espresso, po czym wyciągam z torebki „Porta Portese” i kolejny raz zaczynam przeglądać ogłoszenia wynajmu. Strony są całkiem wymięte i pełno na nich kółek i podkreśleń fluorescencyjną żółcią. Od trzech dni z zakreślaczem w ręku studiuję tę gazetę, jakby była podręcznikiem do wykucia na pamięć. Znalezienie miejsca, które by mi odpowiadało,

zakrawa na misję niemożliwą. Żadne mieszkanie mnie nie przekonuje. Jedno jest za duże, drugie za małe. To kosztuje majątek, tamto ma łazienkę bez okna, jeszcze inne są w fatalnym stanie albo na przedmieściach.

Mimo wszystko jednego jestem pewna – zostanę w Rzymie, nawet po zakończeniu restauracji. Powrót do Wenecji byłby samobójstwem. Odkąd upadły plany zamieszkania tam z Filippem, nic już nie ciągnie mnie do mojego miasta. On urządzi się sam, otworzy swoją pracownię architektoniczną i zacznie nowe życie. Ja zostanę tu, gdzie jestem, liżąc rany i próbując stanąć na nogi. Wszystko to jest dużo smutniejsze, niż sobie wyobrażałam, ale też bardziej prawdziwe. I każdego dnia, pomimo bólu, nabieram pewności, że właśnie tak powinnam uczynić.

Przewracam stronę i mój wzrok pada na wydrukowane pogrubioną czcionką ogłoszenie: „Do wynajęcia niewielkie mieszkanie na via delle Mura Francesi złożone z: salonu z przedpokojem,

dużej kuchni, aneksu sypialnego, łazienki z prysznicem. Wyremontowane i wykończone z dbałością o szczegóły, doskonale także dla singla, umowa standardowa. Wolne od zaraz”. Zakreślałam natychmiast. Wydaje się niezłe.

Paola przechyla się w moją stronę.

– Co robisz, szukasz mieszkania?

– Tak – odpowiadam, nie odrywając wzroku od gazety.

– Jak to?

Podnoszę wzrok i wzdycham głęboko.

– Mam kłopoty z chłopakiem. Zerwaliśmy i postanowiłam przenieść się gdzie indziej. – Na razie nie chcę mówić więcej.

– Przykro mi. Nie wiedziałam – po jej spojrzeniu wnioskuję, że wyczuła, iż słowo „kłopoty” ukrywa gmatwaninę bolesnych problemów.

Paola jest jednak osobą dyskretną. Nie opowiada wiele o sobie, ale nie zadaje też natrętnych pytań. Może czasem myliłam jej

powściągliwość z obojętnością, ale teraz doceniam ją bardziej niż kiedykolwiek.

– To wygląda ciekawie – komentuję, starając się odpędzić melancholię i zmienić temat. – Choć nie mam pojęcia, gdzie jest via delle Mura Francesi.

Spoglądam na nią w nadziei, że mi pomoże. Zna Rzym jak własną kieszeń.

Tymczasem Paola przechyla głowę, jakby chciała mi się przyjrzeć. Potem ni stąd, ni zowąd pyta:

– Czemu nie wprowadzisz się do mnie?

Otwieram szeroko oczy, całkiem osłupiała.

– Do ciebie?

Wzrusza swobodnie ramionami, po czym, jakby już dawno to przemyślała, mówi:

– Miejsca mam dużo.

Nie wiem, co powiedzieć. Ja w domu Paoli?

– Jesteś pewna? Nie chciałabym ci przeszkadzać...

– Elena, nie przeszkadzasz mi – odpowiada z przekonaniem. – W przeciwnym razie nawet bym ci nie zaproponowała.

– W takim razie zgoda – wciąż jestem skonsternowana, ale czuję, że mogę uścisnąć tę pomocną dłoń, którą ofiarowuje mi wszechświat.

Mam nadzieję, że to znak.

– Możesz przyjść już dziś wieczorem – mówi Paola. – Albo jutro, jak wolisz.

– Niech będzie jutro. – W ten sposób w czasie przerwy obiadowej mogę podjechać do mieszkania i zabrać swoje rzeczy, nie ryzykując spotkania z Filippem. Zwykle w środy jest w pracowni przy via Giulia, a obawiam się, że dziś pracuje na budowie, dwa kroki od domu. Pakowanie się w jego obecności byłoby naprawdę przykre i wolałabym tego uniknąć. Spędzę jeszcze jedną noc w hotelu, trudno, ale ta będzie już ostatnia.

– W porządku – kończy Paola. – Ja w tym czasie się zorganizuję i przygotuję ci pokój.

– Nie, nie ma potrzeby, dziękuję. Zrobię to sama, jutro – po czym dodaję pośpiesznie: – Oczywiście zapłacę za czynsz. Ustalmy to od razu.

– Dobrze, porozmawiamy o tym... Ale na razie o tym nie myśl. Podzielimy się wydatkami. Mieszkanie i tak jest moje. To znaczy, należało do moich rodziców, potem ja wzięłam na siebie remont – Paola spogląda mi w oczy jak starsza siostra. – Będzie nam się dobrze mieszkać. Zobaczysz... A poza tym mnie też dobrze zrobi trochę towarzystwa!

– Dwa złamane serca pod jednym dachem. Będziemy się pocieszać nawzajem – uśmiecham się lekko.

– A w chwilach zwątpienia, bądź spokojna. Umieję robić fantastyczny tort Sachera: najbardziej kaloryczny i skuteczny antydepresant na świecie – mruga do mnie, po czym spogląda na wiszący w barze zegar. – Strasznie już późno! – woła. – Dalej, wracajmy do kościoła, obowiązek wzywa.

Nawet jeśli ostatnio trochę spuściła z tonu, w głębi pozostaje wciąż tą samą Paolą. Wstaję i ruszam za nią, zostawiwszy na stoliku rozłożoną „Porta Portese”. Teraz nie jest mi już potrzebna.

Już następnego dnia urządziłam się w swoim nowym domu. Mieszkanie Paoli jest przepiękne. Nie jest ogromne, ale w lokalizacji naprawdę godnej pozazdroszczenia. Dwie sypialnie, łazienka z podwójną umywalką i duży salon, który wychodzi na Campo de' Fiori. Czuje się, że jego właścicielka obcuje ze sztuką każdego dnia: kolorowe ściany, książki o malarstwie, porozrzucane tu i tam pędzelki i szpachelki. A do tego wszędzie są koty – wszystkich kształtów, rozmiarów i z każdego materiału: poduszki, przyciski do papieru, mydła, popielniczki, filiżanki, talerze. Jest nawet kafetierka w kształcie kota.

Kiedy pytam ją o źródło tej pasji, Paola wyznaje, że jej matka, dziś w podeszłym wieku, opiekowała się niegdyś bezdomnymi kotami.

– W Rzymie są ich tysiące, może więcej niż w jakimkolwiek innym mieście – tłumaczy. – Kiedy pójdziesz na largo Argentina, zobaczysz, jak siedzą jeden na drugim i kłócą się o miejsce w ruinach, miaucząc jak opętane. To bardzo inteligentne zwierzęta i nieprawda, że są niedostępne i się nie przywiązują. Trzeba tylko mieć odpowiednie podejście.

– No cóż, to trochę jak z ludźmi – mrugam porozumiewawczo.

– Dokładnie – na jej twarzy pojawia się uśmiech. – Już prawie pora kolacji. Jesteś głodna?

– Trochę. Ale czekają mnie jeszcze pudła i walizki. – Na samą myśl o nich zaczynam się pocić.

– Mogą poczekać. Potem ci pomogę – wyciąga z kuchennego kredensu paczkę *spaghetti trafilati al bronzo* i macha mi nią przed oczami.

– Masz ochotę na amatricianę?

– Pewnie! – wołam. – Wstyd się przyznać, ale przez te wszystkie spędzone w Rzymie miesiące ani razu jej nie spróbowałam!

– Więc trzeba jak najszybciej to zmienić. To kolejne z moich dań popisowych.

Paola otwiera lodówkę i już ma po coś sięgnąć, kiedy na jej twarzy pojawia się wyraz irytacji.

– O, nie! Nie ma już *guanciale*. Byłam przekonana, że jeszcze trochę zostało.

Wytrzeszczam oczy.

– Co to jest *guanciale*?

Widząc, że także w kuchni jestem rodowitą wenecką, Paola wybucha głośnym śmiechem.

– Powiedzmy, że boczek.

– Ach, *pancetta* – odpowiadam.

– Nie, nie do końca – prostuje. – Wyglądają tak samo, ale to co innego. Do amatriciany potrzebne jest *guanciale*.

Leonardo na pewno by wiedział, myślę sobie. I zaraz zaczynam żałować. Od razu materializuje

się w mieszkaniu. Odpędzam zjawę, kręcąc głową, jakby to był zły sen.

Paola wychyla się przez okno salonu.

– Na szczęście jest jeszcze otwarte! Zejdę na chwilę do sklepu na dole.

– Pójdę z tobą.

Ruszam w ślad za nią. Muszę koniecznie wyjść z tej nawiedzanej kuchni. Mam nadzieję, że kiedy wrócę, Leonarda już tu nie będzie.

Spaghetti all'amatriciana autorstwa Paoli jest przepyszne. Gardło pali mnie od peperoncino, a przez *guanciale* moja wątroba jest w poważnych tarapatach, ale ten talerz makaronu ma wyraźny smak przyjaźni i nic innego się nie liczy. Zwykle „dziękuję” to za mało. Odkorkowałyśmy butelkę cesanese i rozsiadłyśmy się wygodnie, w klapkach, podkoszulkach i krótkich spodenkach. Jak na wakacjach nad morzem: ciepłe, przesycone kuchennymi aromatami powietrze, muzyka Arethy Franklin w tle, pragnienie lekkości i wolności.

Melancholia ma słodszy posmak, gdy popije się ją kieliszkiem wina.

Z każdą minutą przestrzeń wokół nas coraz bardziej sprzyja zwierzeniom – nie ma już sensu dusić wszystkiego w sobie. Jak dwie stare przyjaciółki opowiadamy i słuchamy się nawzajem. Mówienie przychodzi mi naturalnie, gdy odkrywam, że naprzeciwko siedzi ktoś, kto słucha, lecz nie osądza. Z Paolą tak właśnie jest, dlatego wyznaję jej wszystko, łącznie z ostatnimi miesiącami czystego chaosu. Nie mogę powiedzieć, by rozmawianie o tym przynosiło mi ulgę – na to jeszcze nie pora. Jest to jednak sposób, by zbliżyć się do niej i dać jej klucz, który pomoże jej zrozumieć moje stany ducha.

Po kolacji rozpakowuję walizki i pudła w moim nowym pokoju. Jest duży, z podwójnym łóżkiem i szafą wnękową. Okno wychodzi na tarasik zastawiony najrozmaitszymi roślinami – to kolejna z pasji Paoli. Rozglądam się wokół z nadzieją, że te cztery ściany będą potrafiły

przyjąć mnie i chronić. Bo nadchodzące dni będą trudne. Ale jestem zahartowana. I gotowa, by stawiać im czoło.

Nie udało mi się zabrać z mieszkania wszystkiego, nie miałam zresztą ochoty zbytnio go przetrząsać. Paola pojechała ze mną, oferując pomocną dłoń, a przede wszystkim wsparcie psychiczne. Chodziłam niemal na bezdechu, starając się załatwić wszystko jak najszybciej. Zapakowałyśmy parę walizek i trzy pudła, upchnęłyśmy je do jej starego punto i uciekłyśmy, jakbyśmy obrabowały bank. Bez niej nie dałabym rady.

– Wypakuję któreś z tych pudeł, co ty na to? – pyta, widząc mnie przykucniętą na dywanie przed łóżkiem pośród ubrań, butów, książek i płyt kompaktowych.

– Bardzo byś mi pomogła. W tamtym są tylko książki – wskazuję pudło po krakersach. – Gdybyś mogła je wyjąć... Żeby tak nie leżały, bo aż mi ich szkoda.

– OK. Ułożę je na tej półce.

– Dziękuję – mówię i z dwoma wieszakami ubrań odwracam się do szafy.

– Słuchaj, ten przystojniak to właśnie ten chłopak, którego zostawiłaś? – odzywa się po chwili Paola, wynurzając się z wnętrza pudła.

Odwracam się i widzę, że trzyma w ręku moje zdjęcie z Filippem, w objęciach, na tle toskańskich wzgórz. Nasz ostatni romantyczny weekend. Szczerze mówiąc, zabrałam je tylko ze względu na ramkę, prezent od taty – sam ją dla mnie zrobił i szkoda mi było zostawić ją w mieszkaniu Filippa.

– Tak, to on – kiwam głową, podchodząc bliżej.

– W takim razie zupełnie zwariowałaś – uśmiecha się, rzucając na fotografię figlarne spojrzenie.

– Tak... ale to nie moja wina, tylko ktoś zawrócił mi w głowie...

Spoglądałam jeszcze raz na zdjęcie i myślę, że powinnam wyjąć je z tej ramki i może włożyć w zamian coś innego. Ale nie wiem jeszcze co.

Paola także o czymś myśli.

– Wiesz, co ci powiem, Eleno? Naprawdę kiepsko jest być przez całe życie rozsądnym i wyważonym. Zanim poznałam Gabriellę, nigdy nie byłam naprawdę zakochana, dla nikogo nie straciłam głowy. Teraz jest mi źle, ale wiem, że bez niej ostatnie lata nie byłyby takie piękne. W pewnym sensie jestem jej wdzięczna.

Przez chwilę milczę, zastanawiając się nad jej słowami.

– Takie spojrzenie na to wszystko jest naprawdę bardzo zen, Paola, ale ja chyba nie jestem jeszcze gotowa – zagryzam wargę. – Póki co to cholernie boli.

– W takim razie trzeba wytoczyć ciężką artylerię! – spogląda na mnie poważnie, jakby postanowiła zrzucić bombę atomową. – Sacher?

– Jak najbardziej – apróbuję uroczyście.

Zostawiamy na wpuł wypakowane pudła i maszerujemy w kierunku kuchni, by zdobyć swoją rację kalorycznego, sycącego szczęścia.

Czekając, aż tort się upiecze, nakładam farbę na włosy Paoli, która w końcu zdecydowała się rozprawić z odrostami, a potem, czekając, aż kolor złapie, zjadamy naszego sachera. Skuteczność i doskonałe wyczucie czasu – jesteśmy jak prawdziwe żołnierki z twarzami wysmarowanymi czekoladą.

Uświadamiam sobie, że uśmiecham się po raz pierwszy od pięciu dni. Zabawne, że tak prosta rzecz sprawiła, iż poprawił mi się humor. Bo to w prostych rzeczach kryje się szczęście. I tym muszę teraz żyć.

Jest świt, po raz drugi budzę się w mieszkaniu Paoli. Sypiam dobrze w tym łóżku, w pokoju jest cicho, przynajmniej do wczesnych godzin rannych. Miałam poplątane sny, ale nie koszmary i kiedy się obudziłam, przez chwilę mi się wydawało, że

jestem w moim starym pokoju z różowymi ścianami, w domu rodziców.

Promień słońca wpada przez okiennice i trafia w stolik nocny. Nie mam ochoty wstawać z łóżka, tak mi tu dobrze, ale i tego ranka wzywa mnie praca. I najwyraźniej nie tylko ona. Mój iPhone zaczyna dzwonić i na pewno nie jest to sygnał budzika. Wyciągam po niego rękę. To Gaia. W ostatnich dniach opowiedziałam jej wszystko przez telefon: o Filippie, o Leonardzie, o Lucrezii, a także o mojej przeprowadzce do Paoli. Wykorzystałam pięćset minut rozmów i szlochów. Gaia zaczęła potem dzwonić do mnie przynajmniej raz dziennie, by się upewnić, czy wszystko u mnie w porządku.

– Słucham?

– Dzień dobry! – jej głos jest tak przenikliwy, że muszę odsunąć telefon od ucha.

– Gaia, uważasz, że to odpowiednia pora? – mruczę, wciąż jeszcze w śpiączce.

– Wiem, że i tak już miałaś się obudzić.

– Właśnie, miałam – podkreślam. Siadam na łóżku i wyglądam pościel wokół siebie. – A ty co robisz na nogach tak wcześnie?

– W Neapolu o tej porze nie robi się zupełnie nic – śmieje się. – To Samuel nastawia budzik na szóstą, żeby iść trenować, i robi niemożliwy hałas. Odechciało mi się już spać.

– Życie pełne poświęceń...

– Zostanę świętą.

– Chodziło mi o niego, głupia – mówię, uśmiechając się.

Ona śmieje się jeszcze głośniej.

– Więc przyjedziesz do mnie na Ferragosto? – pytam z nadzieją w głosie. – Musisz koniecznie, bardzo chcę się z tobą zobaczyć! – mówię jednym tchem.

– Pewnie, że przyjadę. Nie ma mowy, żebym w takiej chwili zostawiła cię samą.

– Rozmawiałam już z Paolą. Możesz spać ze mną w łóżku małżeńskim.

– A kto śpi w Ferragosto? – żartuje ona w odpowiedzi.

Mieć Gaię przy sobie to naprawdę sposób na każde zmartwienie.

– Ale zostawisz Belottiego samego? – na moment zapomniałam o jej kolarzu.

– I tak następnego dnia ma wyścig – mówi bez śladu zmartwienia. – A kiedy ma zawody, je kolację punktualnie o siódmej, a potem idzie spać, jak starzy ludzie.

– No, tutaj nie będziesz się nudzić. Nie mogę się doczekać, kiedy zadręcę cię moimi dramatami i problemami egzystencjalnymi – oświadczam z całkowicie nieracjonalną radością.

– Doskonale. Ja też mam wieści.

– Mogę już zacząć się emocjonować? O Boże, ale nie jesteś w ciąży?

– Daj spokój... Robimy to tak rzadko, że to musiałyby być niepokalane poczęcie!

– A więc co? – umieram z ciekawości.

– Ćśśś! Powiem ci jutro. Wiedz tylko, że to coś dobrego.

– Dobrze. Cześć, zołzo.

– Cześć.

Ona wie, że teraz potrzebuję tylko dobrych wiadomości i jestem pewna, że mnie nie zawiedzie.

Nazajutrz razem z Paolą poświęcamy poranek na porządkę w mieszkaniu. Potem ona jedzie do swojej matki, która mieszka na wsi, ja natomiast włączę się po Rzymie w oczekiwaniu na przyjazd przyjaciółki. Czas, kiedy zostaję sama, jest najtrudniejszy, bo myśli potrzebują tylko chwili, by pobiec tam, dokąd nie powinny. Niewiele minęło od tamtej szalonej nocy, ale muszę postarać się zapomnieć i wyobrazić sobie, że upłynął już z rok i wszystko układa się jak najlepiej.

Rzymskie słońce mi pomaga. To miasto, jeśli nie brać pod uwagę wspomnień, sprawia, że czuję się dobrze, każdego dnia odkrywam coś nowego,

jakąś starą kolumnę, wyrastającą z asfaltu niczym grzyb, albo statwę, która pojawiła się nagle na środku placu, bo wcześniej jej nie zauważałam. Cieszę się, że tu jestem.

Gaia przybywa zgodnie z zapowiedzią. Podjeżdża taksówką około szóstej po południu. Paola jeszcze nie wróciła, więc sama wprowadzam przyjaciółkę do mieszkania. Gaia jak zawsze wygląda świetnie. A odkąd jest z Belottim – nawet lepiej niż zwykle, muszę to przyznać. Zrezygnowała nawet z obcasów dwunastek!

Oprowadzam ją po mieszkaniu. Gaia piszczy na widok inwazji kotów – ona też je uwielbia. Bierze do ręki kamienny przycisk do papieru o niebieskich, odblaskowych oczach i zaczyna go głaskać, jakby był żywy – OK, teraz już trochę przesadza. Siadamy na moim łóżku. Rzeczywiście, stąd naprawdę wygląda jak kot kartuski.

– A więc, jaką nowinę chciałaś mi przekazać?
– szczypię ją w bok.

– Jesteś ciekawa?

– Bardziej zaniepokojona.

– I mam ci powiedzieć?

– Nie wiem, jeśli chcesz poczekać jeszcze trochę... – nienawidzę jej, kiedy trzyma mnie w niepewności. – I tak już wiem, że chodzi o Belottiego.

Przytakuje, demonstrując uśmieszek zadowolenia.

– Belotti, jak go nazywasz, poprosił mnie o rękę.

– O Matko, Gaia! Gratulacje – ściskam ją mocno.

Tak się cieszę. Potem nachodzi mnie wątpliwość – po niej można spodziewać się wszystkiego.

– Mam nadzieję, że powiedziałaś „tak”.

– Jeszcze pytasz? Oczywiście! Nie zastanawiałam się dwa razy.

– A pierścionek? – pytam, zerkając na jej lewą dłoń.

– Żadnych pierścionków. Samuel mówi, że pierścionek przed obrączką przynosi pecha – Gaia

wzrusza ramionami. – I chyba ma rację. Pomyśl, co się stało z tym od Brandoliniego.

– No właśnie, co się z nim stało? – przychodzi mi na myśl najgorszy scenariusz w stylu rzutu do Canal Grande.

– Nie miałam nigdy odwagi mu go oddać. Podarowałam go kuzynce.

Cóż, nie tak źle, jak się spodziewałam. Wracam do tematu:

– Nie mogę uwierzyć, że wychodzisz za faceta, którego nigdy nie widziałam na żywo!

– Zdążysz, Ele. Spokojnie, poznam cię z nim.

– Mam nadzieję, że przed ślubem. Ustaliliście już datę?

– Powiedzmy, że w przyszłym roku na wiosnę, ale jeszcze za wcześnie, żeby wybrać konkretny dzień. W każdym razie wiedz, że będziesz moją druhną.

– Załatwione! – zapewniam, a w myślach z przerażeniem odliczam, ile miesięcy zostało mi na znalezienie odpowiedniej sukienki. – W jaki

kolor mam się ubrać? – pytam, już ogarnięta paniką.

– Hej, poczekaj! Najpierw musimy wybrać dla mnie. Chociaż jeden raz to ja będę potrzebować osobistej stylistki.

Rozkładałam ręce.

– Chodź tutaj.

Gaia pada mi w objęcia jak mała dziewczynka. Kocham ją jak siostrę. A jej szczęście jest też trochę moim.

Paola wraca o dziewiątej z trzema pudełkami gorącej pizzy. Po zwyczajowych prezentacjach siadamy po turecku na dywanie w salonie, pośród poduszek w kształcie kotów, przy dwóch lampach solnych, w których odbija się granat nieba za oknem. Jemy rękami, bez talerzy i serwetek, a z głośników dobiega głos Gianni Nannini, idolki Paoli.

Kiedy już pizza została zjedzona, Paola wyciąga ze swojej kolekcji win niespodziankę – butelkę Principe Pallavicini rocznik 2006.

– Na specjalne okazje – oznajmia. – Ale nie będziemy pić tutaj. Chodźcie za mną.

Wychodzimy na korytarz i idziemy aż na ostatnie piętro. W każdym razie wydawało mi się, że jest ostatnie... Tam Paola otwiera niewielkie drzwi i prowadzi nas stromymi, spiralnymi schodami. Na końcu są jeszcze jedne drzwi, a potem w magiczny sposób stajemy na dachu budynku.

Z góry widać cały Rzym. Campo de' Fiori jest pod nami, a dalej, na wysokości naszych twarzy, wyłaniają się kopuły kościołów i podświetlone pałace. Jakbyśmy leciały balonem. Mam ochotę rozłożyć ramiona i latać. To niesamowite być tutaj, teraz, z nimi dwiema – to prawda, że wszystko staje się piękniejsze, gdy dzielimy to z osobami, które kochamy.

Paola otwiera wino i nalewa nam do kieliszków.

– Za życie – mówi.

– Za miłość – odpowiada Gaia.

– Za przyjaciółki! – dodaję.

Z placu dobiegają dźwięki akordeonu, a pierwsze sztuczne ognie pojawiają się na niebie, rozświetlając je barwnymi iskrami.

– Poczekajcie – Paola odstawia kieliszek na ziemię. – Przyniosę coś – i znika w środku.

Spoglądamy na siebie pytająco.

Po chwili wraca na taras z polaroidem.

– Musimy uwiecznić tę chwilę.

Opieramy się we trójkę o barierkę. Ja, Paola i Gaia. Mimo że jestem na zakręcie, mimo że nie ma już Leonarda, nie ma już Filippa, nie ma już miłości, dziś czuję się dobrze, z nimi, tutaj. Chcę znowu zacząć wierzyć.

Muzyka gra coraz głośniej, a ja przestaję być smutna.

Paola kieruje obiektyw w naszą stronę.

– Gotowe?

Flesz zaczyna migać. Uśmiechamy się razem, obejmując nawzajem, i uśmiech ten jest prawdziwy, nie pozowany.

Sztuczne ognie wybuchają na niebie. Z aparatu wysuwa się zdjęcie: jesteśmy na nim my, nasze szczęście, nasza nienapisana jeszcze przyszłość.

Teraz w końcu wiem, co włożę w tę pustą ramkę.

Podziękowania

Celestinie, mojej matce.

Carlowi, mojemu ojcu.

Manuelowi, mojemu bratu.

Caterinie, Michele, Stefanowi, latarniom za dnia i w nocy.

Silvii, nieocenionej przewodniczce, oraz wspaniałym osobom, które miałam szczęście spotkać w niedzielę dziesiątego lutego dwa tysiące trzynastego roku.

Całemu Rizzoli, od parteru po ostatnie piętro.

Laurze, Elenie i Al, za ważną obecność.

Wszystkim przyjaciółom, bezwarunkowo.

Vittorii i Santemu (zawsze będziecie w moim sercu!).

Filippowi P. i ciszy, którą wypełnia.

Rzymowi.

Przeznaczeniu.

-
- ¹ Pełne nazwisko Caravaggia to Michelangelo Merisi da Caravaggio.
 - ² Smażone, obtoczone w bułce tartej kulki z ryżu z nadzieniem.
 - ³ Rodzaj sera.
 - ⁴ Zasuszona, utwardzona ikra.
 - ⁵ Rodzaj makaronu w kształcie krótkich, zwiniętych rurek.
 - ⁶ tłum. *Mężczyzna dla mnie*.
 - ⁷ Barokowa fontanna Acqua Paola, zwana też Il Fontanone (dosł. Wielka Fontanna); znajduje się na szczycie wzgórza Gianicolo.
 - ⁸ Droga regionalna prowadząca z Rzymu na południe.

